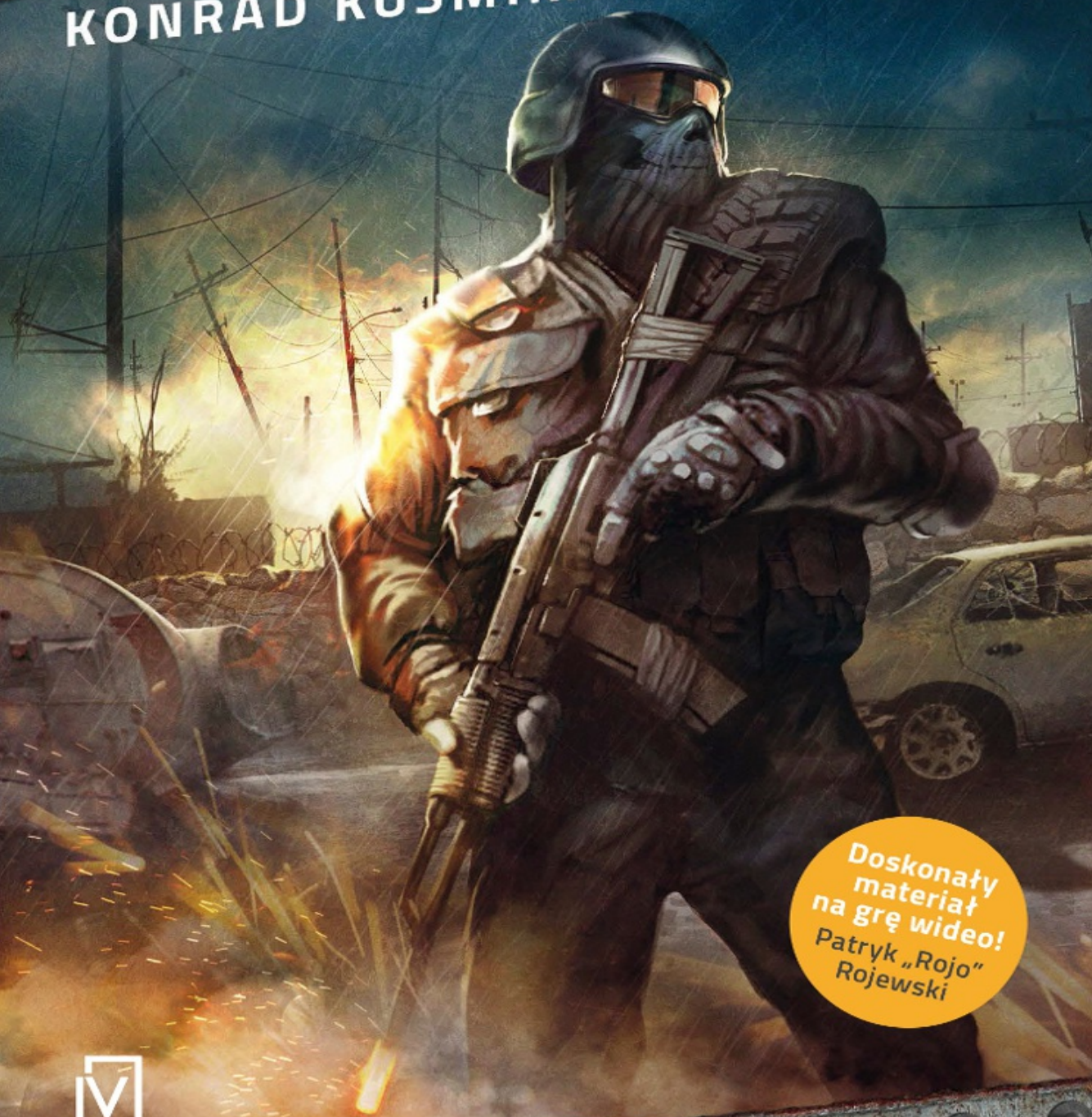


SQUAT. EKSPERYMENT

KONRAD KUŚMIRAK



Doskonały
materiał
na grę wideo!
Patryk „Rojo”
Rojewski



S.Q.U.A.T.
EKSPERYMENT

KONRAD KUŚMIRAK

**S.Q.U.A.T.
EKSPERYMENT**

Twój los to tylko twoja sprawa...



Copyright © Konrad Kuśmirak, 2016
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch
Redakcja: Katarzyna Gwincińska
Korekta: Dominika Pyłczewska
Ilustracja na okładce: Mateusz Wilma
Projekt okładki: Paweł Stelmach / www.nietypowo.com
Opracowanie grafik: Mateusz Wilma
Projekt typograficzny i łamanie: Justyna Nowaczyk
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

eISBN 978-83-7976-469-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-2519
fax: 61 853-8075
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział 1 Coś się zaczyna...

Rozdział 2 Starzy znajomi

Rozdział 3 Nazywam się Benner, Major Benner

Rozdział 4 Coś trwa...

Rozdział 5 Pancerna pięść

Rozdział 6 JW 3466

Rozdział 7 Coś się kończy...

Rozdział 8 Ekstrasensornojewosprijatije

Rozdział 9 Przyjaciół czy wróg?

Rozdział 10 Happy end?

Epilog

Tak zaczęła się apokalipsa...

Czwarta strona fantastyki

W walce idei giną ludzie.

Stanisław Jerzy Lec

Prolog

Śnieżnobiały, falujący obraz na ekranie telewizora zalał na moment pomieszczenie portierni trupim blaskiem, odbił się w pancерnej szybie, oddzielającej część służbową od poczekalni i wywołał wiązaną przekleństw, jakimi funkcjonariusz Służby Więziennej w stopniu sierżanta obrzucił niedziałające urządzenie. Mężczyzna wyłączył odbiornik i opadł na fotel stojący w rogu pomieszczenia. Twardy, niewygodny mebel, na którym miał spędzić większą część nocnej służby, zatrzeszczał niepokojąco. Sierżant westchnął, zmieniając pozycję na bardziej przyjazną kręgosłupowi i zamyślił się. Jediną rozrywką, jakiej mógł się teraz oddać, było gapienie się w podgląd monitoringu zewnętrznej części zakładu karnego. Funkcjonariusz miał cichą nadzieję, że nocna wachta upłynie bez żadnych kłopotów ze strony osadzonych. Ich ekscesy zawsze wywoływały nerwową reakcję dowództwa następnego dnia.

Sierżant znów westchnął i zerknął w okno wychodzące na specjalną, podwójną bramę wjazdową i długi betonowy podjazd ginący w oddali między drzewami. Reflektory zewnętrzne wyławiały z mroku szeroki pas gołej ziemi, otaczający więzienny kompleks ukryty wśród lasów Podlasia. Była jednostka wojskowa, zlikwidowana w 2001 roku, idealnie nadawała się na ośrodek penitencjarny. Przebywali tu na przymusowym urlopie młodociani przestępcy, alimenciarze i skazani po raz pierwszy – głównie „za niewinność”. Strażnik z niesmakiem pomyślał o wygodach, jakie państwo fundowało pensjonariuszom tego

zakładu i z rozrzewnieniem wspominał swoją starą placówkę, w której zdobywał pierwsze szlify pracownika więzienia. Zero wygod dla osadzonych, zero pobłażliwości, zero tolerancji...

Z zadumy wyrwał go brzęczyk do drzwi, prowadzących na teren zakładu. Szybko zerknął w podgląd na monitorze i dostrzegł jednego z wartowników. Funkcjonariusz szczerzył się głupio do kamery i pokazywał paczkę papierosów. Sierżant wzruszył ramionami, z żalem opuścił fotel i podszedł do centralki sterującej zamkami. Włączył odpowiedni przycisk, blokada szczerknęła i mężczyzna z dwoma belkami na pagonach wszedł do środka.

– Co jest, Zdzisiu? – rzucił sierżant.

– Na fajkę przyszedłem. – Kapral wetknął do ust papierosa, włączył służbową latarkę i skierował snop światła na ścianę, na której wisiał kalendarz z najpiękniejszymi funkcjonariuszkami Służby Więziennej roku 2015. – Co tak po ciemku siedzisz? Nieźle te laski, nie? Szkoda, że u nas takich nie ma.

– Przecież jedna jest. Nawet bliżej niż sądzisz.

– Bez jaj. Musiała nam się trafić służba razem z nią.

– Nie jest taka zła. Może trochę gruboskórna, ale wiesz... W tej branży kobita musi być twarda.

– Ja tam swoje wiem – kapral odłożył latarkę i potarł kółko zapalniczki. – Ruda bladź.

– Co? Tu będziesz palił? Wyjdźmy na zewnątrz, pod bramę.

– Jak chcesz – skrzywił się strażnik. – Noc upalna jak cholera. Tutaj przynajmniej masz klimatyzację.

– Ostrowska czasem tu wpada na kontrolę. Ona nie pali, więc szybko wyczuje dym. A ja nie chcę mieć przez nią kłopotów. Doskonale wiesz, że poza palarnią nie wolno...

– Dobra już, dobra. Idziemy na zewnątrz. Panikujesz jak rekrut na pierwszej wachcie.

Ogień zapalniczki na moment oświetlił twarze mężczyzn. Końcówki papierosów rozżarzyły się, dym wypełnił płuca, by po chwili ulotnić się w ciężkim i nieruchomym nocnym powietrzu.

– Cholera, rzeczywiście gorąco – zauważył sierżant.

– Podobno ma być lato stulecia.

– Przydałby się urlop. Człowiek by się wyleżał w słońcu, wypoczął.

– Zbyt zapracowany to ty chyba nie jesteś – zaśmiał się kapral. –

Zwłaszcza na nocnej służbie.

– E, tam. Robota jak każda inna. Słyszałeś, co się na granicy wyprawia?

– Kto nie słyszał? Trąbią o tym na lewo i prawo. Filmu w telewizji nie można obejrzeć, bo puszczają wstawki informacyjne.

– Panika bracie, panika. Znajomy ze Straży Granicznej mi co nieco opowiadał. Podobno mają stan najwyższej gotowości.

– No to nieźle – skwitował kapral. – Ty?

– No?

– Myślisz, że... No wiesz. Będzie wojna?

– Bo ja wiem? – Sierżant wzruszył ramionami. – Już parę lat ci durnie z rządu kłóć się z każdym. Nieważne, sojusznik czy wróg. W końcu ktoś może się zdenerwować. I jak to wszystko pierdyknie... Ech... Lepiej nie myśleć o takich sprawach – zaciągnął się głęboko.

– Myślałem, że rzuciłeś.

– Co?

– Palenie.

– Bo rzuciłem. Ale te nocne warty są tak kurewsko nudne... Sam wiesz.

– Wiem. Na portierni można oszaleć – potwierdził kapral.

– W dodatku wysiadł telewizor. Nie łapie żadnego programu, sam śnieg. Radio też milczy – wyliczał sierżant.

– Przynajmniej masz klimę. A regulamin zabrania oglądania telewizji na służbie. I co ty na to?

– W dupie mam taki regulamin.

– Pieprzone zadupie. Nawet jedyńki nie ściąga? – zainteresował się wartownik.

– Nic, biało jak w grudniu.

– Może kabel antenowy się przełamał albo z wtyczki wypadł. – Kapral rozejrzał się po dobrze oświetlonym terenie zakładu karnego i dostrzegł innego wartownika z ochrony. Machnął ręką w jego kierunku.

– Czego? – krzyknął tamten.

– Chodź na fajkę.

– Niedawno paliłem.

Kapral wzruszył ramionami i wypuścił kłąb dymu.

– Nie to nie. Jego strata.

– Niech zgadnę. – Sierżant spojrział na papierosa. – Zarekwirowane

osadzonemu?

- A jak.
- Nawet nieźle. To z przemytu?
- Coś ty. Sklepowe z banderolą.
- No popatrz, jak się powodzi naszym więźniom.
- Dobra. - Kapral zgniótł niedopałek. - Pokaż ten telewizor.

Funkcjonariusze wrócili do portierni. Sierżant włączył dość już wysłużony odbiornik i kilka razy uderzył pięścią w jego obudowę. Kapral pogrzebał chwilę w gnieździe antenowym i z zakłopotaniem spojrzał na kolegę.

- Kabel jest OK. Może gdzieś na dachu się przełamał. Trzeba w dzień zobaczyć...

- Ty - przerwał mu sierżant, wpatrując się w okno skierowane na główną bramę wjazdową - co to, kurwa, jest?

W odległości kilkudziesięciu metrów, między drzewami okalającymi wykarczowany pas ziemi, otaczający zakład, majaczyły światła pojazdów sunących betonową drogą, prowadzącą wprost do jednostki penitencjarnej. Kolumna poruszała się z dużą prędkością i kiedy prowadzące ją terenowe auto zatrzymało się z piskiem opon przed bramą, sierżant dostrzegł, że kawalkada składa się z kilku ciężarówek wyglądających na wojskowe iveca.

Trzasnęły zewnętrzne drzwi. Do poczekalni wparował mężczyzna w czarnym mundurze i kamizelce taktycznej. Trzy gwiazdki i dwie belki pułkownika na pagonach sprawiły, że obaj wartownicy wyprężyli się jak struny.

- Co tu tak ciemno? - zainteresował się przybysz. - Włączcie jakieś światło, do cholery.

Sierżant mimowolnie skinął głową i po chwili sufitowe oprawy rozjarzyły się zimną bielą świetlówek.

- No, teraz lepiej. Proszę otworzyć bramę, wjeżdżamy na teren jednostki.

- Jak to... wjeżdżamy? - Sierżant powoli odzyskiwał rezon. - To nie parking publiczny. Tu się nie wjeżdża ot tak sobie. Jeśli macie jakąś sprawę poczekajcie do rana. Dyrektor będzie o...

- W takim razie popatrz na to.

Pułkownik podszedł do pancерnej szyby rozdzielającej portiernię od poczekalni, z kieszeni na piersi wyjął pomiętą kartkę i przyłożył do

szklanej tafli. Strażnicy spojrzeli na siebie i wbili wzrok w dokument. Opatrzony był nagłówkiem Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej.

– Na mocy specjalnych uprawnień na wypadek wojny, nadanych mi przez zwierzchnika sił zbrojnych kraju, przejmuję dowodzenie w tym obiekcie – wyrecytował wojskowy.

– Ale... – zająknął się sierżant.

– Czy to, co powiedziałem jest jasne i zrozumiałe?

– No... Tak. Ja muszę jednak zameldować oficerowi dyżurnemu... Dowódcy zmiany... Nie można tak sobie...

– Więc melduj. Byle szybko – warknął pułkownik, najwyraźniej tracąc cierpliwość. – I w podskokach. Nie mam całej wieczności na wasze przekomarzania się.

– Ale...

– Ruchy!!! – ryknął pułkownik.

Dopiero teraz sierżant dostrzegł naszywkę na ramieniu nocnego gościa. Przedstawiała pikującego orła trzymającego w szponach błyskawicę.

* * *

Dowódca zmiany, kapitan Ewa Ostrowska odłożyła hantlę, napięła biceps i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Przyjrzała się swojej niezwykle wysokiej, wysportowanej sylwetce w oknie, które nocą było idealnym lustrem, i sięgnęła po bidon z koktajlem białkowym. Podniosła butelkę do ust i zamarła. Wyraźnie usłyszała dzwonek telefonu w pokoiku oficera dyżurnego. Dźwięk urwał się, ale Ostrowska nadal nasłuchiwała. Dobiegała północ i telefon o tej porze zwiastował ciekawą odmianę w rutynie nocnej służby. „Może jakiś mały bunt osadzonych” – pomyślała przez chwilę z nadzieją. „Może próba ucieczki?” Pani kapitan miała ochotę na jakąś dynamiczną akcję. Zazdrościła swojej młodszej siostrze służącej w białostockim zakładzie, w którym ostatnio pacyfikowano więźniów. Zazdrościła jak cholera. Szybkie kroki na korytarzu zdawały się potwierdzać jej przypuszczenia.

Przedwcześnie posiwiwały oficer dyżurny stanął w drzwiach salki gimnastycznej. Zawsze czuł się zakłopotany w towarzystwie wyższej o dwie głowy pani kapitan, dziś jednak zdawał się nie zwracać uwagi

na porażającą różnicę wzrostu.

- Ewa - powiedział drżącym głosem - mamy gości.
- Kurwa, znów inspekcja z generalnej dyrekcji? - Kobieta wytarła rękami ramiona i głowę z krótko przystrzyżonymi rudymi włosami.
- Nawet w nocy nie dadzą człowiekowi poćwiczyć.
- To chyba nie inspekcja. Musimy iść... Są przy bramie głównej.
- Chodźmy więc. - Narzuciła bluzę mundurową i ruszyła, nie czekając na oficera.

Oficer dyżurny ledwie nadał za swoją podwładną, próbując w biegu nakreślić sytuację. Stanowili dość komiczny duet, gdy obydwójce wpadli do portierni, ale nikomu nie było do śmiechu. Kapitan Ostrowska obrzuciła szybkim spojrzeniem swoich ludzi i wbiła wzrok w żołnierzy za szybą. Wystrojeni jak na wojnę i uzbrojeni po zęby zajęli niemal całe pomieszczenie poczekalni. Wyłowiła wzrokiem najstarszego rangą i niegrzecznie zapytała:

- Co jest?
- To. - Mężczyzna w stopniu pułkownika ponownie przyłożył do szyby swoje upoważnienie i spojrzał na nią uważnie. - Ile godzin zajmie wam podjęcie decyzji i otworzenie bramy?
- Co o tym sądzisz? - zapytała, ustępując miejsca oficerowi dyżurnemu.
- Bo ja wiem? - odpowiedział z ociąganiem.
- Antek, kurwa - warknęła Ostrowska. - Podejmij jakąś decyzję.
- Papier wygląda na oryginał...
- Bo to jest oryginał - przerwał mu pułkownik.
- Oni chyba rzeczywiście nie są przebierańcami - zauważyła funkcjonariuszka, przyglądając się naszywkom na mundurach gości. - Cholera, nigdy nie widziałam prawdziwego operatora GROM-u. Ale i tak będziemy musieli zadzwonić do dyrektora...
- Telefony nie działają - poinformował sierżant. - Sieć komórkowa też padła. Tylko wewnętrzne linie funkcjonują. Sprawdzam.
- Co nam po wewnętrznych liniach! Chyba musimy ich wpuścić... - zasugerowała pani kapitan.
- Aha - zgodził się oficer dyżurny.
- W porządku - pułkownik zabrał upoważnienie, starannie złożył i schował do kieszeni. - Skoro część oficjalną mamy za sobą, to otwierać te cholerne bramy! Ale już!

Metalowe przesła wrót zazgrzytały w prowadnicach, kiedy elektryczne silniki zaczęły je otwierać. Kapitan Ostrowska pierwsza wyszła z portierni. Uważnie przyglądała się wojskowym ciężarówkom wjeżdżającym na dziedziniec więzienia. Szybko oszacowała liczbę żołnierzy, którzy właśnie wypakowywali się z pojazdów i doszła do wniosku, że jest ich więcej niż funkcjonariuszy zakładu karnego razem wziętych.

– Pani kapitan? – usłyszała za plecami głos dowódcy gromowców.

– Tak?

– Gdzie jest budynek sztabu?

– Sztabu? Chodzi chyba o siedzibę dyrekcji? To tam... – wskazała palcem odnowioną niedawno budowlę. – Ale teraz obiekt jest zamknięty, zaplombowany. A tylko dyrekcja...

– Nie szkodzi – uśmiechnął się sztucznie towarzyszący pułkownikowi major, a jego oszpecona bliznami twarz przybrała na moment demoniczny wygląd. – Odplombujemy, otworzymy.

– Major Benner – wyjaśnił dowódca – przejmuje ochronę obiektu. Od tej pory wszyscy podlegacie bezpośrednio jemu. Czy to jasne?

– Jasne. Ale my tu mamy całkiem niezłą ochronę... – powiedziała Ostrowska, zerkając na oficera dyżurnego, który właśnie dołączył do grupy.

– Taaa, widzę – skwitował pułkownik. – Właściwie będziemy musieli ją zorganizować od podstaw, według naszych standardów.

– Według waszych standardów, rozumiem – zgodził się oficer dyżurny i rozłożył ręce. – A co my mamy robić?

– Zasadniczo... Nie wchodzić nam w drogę – ponownie uśmiechnął się major, a blizny na jego policzkach znowu ułożyły się w złowieszczy wzór.

– Chciałbym też, żeby przedstawiciel zakładu towarzyszył nam podczas oględzin i przejmowania tej jednostki – zakomunikował pułkownik.

– Oczywiście – oficer dyżurny wyprężył się jak struna.

– Wolałbym – skrzywił się gromowiec – żeby to była pani kapitan.

– Ach tak... jak najbardziej...

– To idziemy do tego sztabu? – zainteresowała się Ostrowska.

– Jeszcze nie – gromowiec zerknął na zegarek, a następnie na otwartą bramę i ginący w ciemnościach podjazd, na którym

zamajaczyły kolejne reflektory. – Czekamy na kogoś.

Kolejna kawalkada pojazdów wtoczyła się na dziedziniec, ale tym razem nie były to oznakowane wojskowe iveca. Ostrowska ze zdumieniem obserwowała parkujące humvee w pełnym wojennym oprzyrządowaniu. Zagwizdała bezgłośnie i podziwem pokiwała głową.

– To jest to – powiedziała.

– A to – major Benner wskazał wysokiego, dystyngowanego mężczyznę, wysiadającego z jednego z pojazdów – jest generał Starzyński. Pani nowy szef. Idziemy.

Kapitan Ostrowska bezwiednie ruszyła w ślad za oficerami, zerkając na pozbawiony jakichkolwiek oznaczeń mundur rzekomego generała, który dołączył do nich i szedł tuż obok pułkownika. Gromowcy bezceremonialnie wyważyli drzwi budynku dyrekcji, dezaktywowali alarm i zamiast skierować się na wyższe piętra, zeszli do pomieszczeń piwnicznych. Generał zerkał co chwila na kartkę wyjętą z kieszeni. Bystra pani kapitan, której sytuacja zaczęła się podobać, dostrzegła, że jest to schemat rozkładu pomieszczeń.

Starzyński zatrzymał się ostatecznie przed ślepym korytarzykiem.

– To tutaj – oznajmił, oglądając starannie otynkowany mur.

– Wyszadzamy? – Major Benner zaczął obstukiwać ścianę.

– Lepiej rozkuć – rzucił Starzyński. – Tam mogą być jakieś zabezpieczenia. Nie chcemy, żeby dach spadł nam na głowy.

– No raczej.

– Chwila! – Ostrowska złożyła ręce na piersi i pokręciła głową. – Możecie mi coś wytłumaczyć?

– To zależy – generał uniósł brwi – ale proszę pytać. Śmiało.

– Przyjeżdżacie tutaj w środku nocy, machacie świstkami, wchodzicie jak do siebie i teraz jeszcze chcecie kopać sobie ziemiankę w fundamentach tego budynku? O co w tym wszystkim chodzi? I co oznaczają słowa „na wypadek wojny” w tym waszym upoważnieniu? I generałem jakiej formacji pan jest? Bo coś mi tutaj śmierdzi.

– Brzmienie dokumentu wydanego przez głowę państwa jest chyba jednoznaczne.

– No właśnie nie jest – skrzywiła się kobieta. – Przecież nie ma żadnej wojny. Więc wszedł pan tutaj bezprawnie. To się nazywa wtargnięcie.

– Obawiam się... – generał uśmiechnął się dobrotliwie. – Obawiam się, że w to miejsce informacje docierają z opóźnieniem. Dzisiaj,

późnym popołudniem dokonano aktu agresji na nasz kraj. Nieoficjalnie jesteśmy w stanie wojny z naszym wschodnim sąsiadem. Z Wielką Rosją. Rano ta wiadomość zostanie podana do wiadomości publicznej. Tylko że wtedy już będzie za późno.

– Za późno? O kurwa! – pani kapitan zakląła bezceremonialnie. – To mamy problem.

– Dokładnie.

– Tak się składa... – Ostrowska nagle uśmiechnęła się szeroko. – Tak się składa, że problemy to moja specjalność.

Rozdział 1

Coś się zaczyna...

Dopadli ją o świcie, gdy zmęczona wielogodzinną tułaczką po bezdrożach, oszołomiona nadmiarem obrazów, dźwięków i zapachów bombardujących jej zmysły trwała w głębokim śnie. Zupełnie obojętna na wszelkie zewnętrzne bodźce padła bez sił, kiedy tylko słońce schowało się za horyzontem. Zdołała jeszcze wpełznąć do niewielkiej kryjówki utworzonej przez zwałisko skamieniałych drzew i zasnęła zwinięta w kłębek. Przestała już odczuwać drżenie mięśni nienawykłych do długotrwałego wysiłku. Nawet ból rany w udzie, głębokiego rozcięcia, które powstało, kiedy wpadła do jamy pełnej ostrych i twardych korzeni martwego drzewa, zdawał się pulsować coraz słabiej, by w końcu zniknąć zupełnie. Rozcięcie powoli pokrywało się skorupą skrzepłej krwi, a pod zamkniętymi powiekami dziewczyny przewijały się wizje scen zapisanych w umyśle.

Jeden widok ostatecznie zdominował pozostałe. Śniło się jej, że znalazła się w dziwnym pomieszczeniu z oknami zasłoniętymi przez zewnętrzne, szerokie, stalowe żaluzje. Półmrok i szare ściany ozdobione łatami łuszczącej się farby sprawiały, że pokój wyglądał odpychająco, mimo że ktoś starał się nadać mu wrażenie przytulności. Stary, zniszczony fotel, stolik z szachownicą, przypadkowo dobrane obrazki zasłaniające fragmenty nagiego muru i staroświecki regał zastawiony książkami stanowiły cały wystrój wnętrza. Było coś jeszcze. Sięgnęła pod poduszkę i dotknęła palcami zimnego przedmiotu, którego obecność wyczuła już wcześniej. Kiedy wyciągnęła broń

i zacisnęła palce na rękojeści, usłyszała czyjś głos. Nie dobiegał z zewnątrz, jak rozmowy osób, krzątających się wokół niej. Ten głos był inny, zdawał się wypełniać jej głowę, rozlegać gdzieś w środku. Po chwili dostrzegła to coś.

Straszydło wyłoniło się z mroku panującego w pokoju, a ogniki żarzących się oczu były doskonale widoczne między strąkami brudnych włosów zasłaniających twarz. Wizja była wyrazista, a jednak zdecydowanie nierealna. Dziewczyna odbierała obecność tej przerażającej istoty jakby na falach snu. Wiedziała, że wystarczy się zbudzić, by przerwać ten majak, lecz nie miała siły. Czuła się obezwładniona, choć zdawała sobie sprawę, że wpatrujące się w nią oczy nie są prawdziwe. Nagle głos widziadła ułożył się w słowa, które rozległy się wprost w jej głowie i nie sposób było się im oprzeć.

„Uciekajcie!” – usłyszała. „Oni zabiją was wszystkich. Uciekajcie natychmiast!”

Chwilę później przebudziła się w tym samym pokoiku. Dostrzegła znajome kształty nielicznych mebli, ale zmienił się jeden szczegół. Obok okna stała stara kobieta i wpatrywała się w nią pełnym niedowierzania wzrokiem. Dziewczyna z wysiłkiem usiadła na połowym łóżku, na którym spała od tak dawna, zerknęła na stojącą tuż obok szachownicę i z pewnym wahaniem przesunęła dwie białe figurki, dając mata czarnemu królowi. Poczowała nieodparte pragnienie, by wykonać właśnie ten konkretny ruch, chociaż nie wiedziała, jaki jest jego sens, nie pamiętała zasad tej gry.

– Uciekajcie – wychrypiała do kobieciny, która opadła na fotel i nadal wpatrywała się w nią osłupiała i przestraszona. – Oni tutaj idą. – Starła się wyjaśnić przesłanie straszydła ze snu. Sięgnęła pod poduszkę i chwyciła pistolet, który wydawał się znacznie cięższy niż w wizji przed chwilą, po czym spojrzała na kobietę znieruchomiałą na fotelu. – Uciekajcie natychmiast – chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się jedynie szept.

Z trudem wstała i, przytrzymując się ścian, ruszyła ku wyjściu. Bezwiednie chwyciła skórzaną kurtkę, wiszącą obok drzwi i nacisnęła klamkę. Piętro niżej z trudem łapała powietrze, nogi jej się trzęsły, a broń zaczęła ważyć tonę. Zacisnęła usta i postawiła kolejny krok i jeszcze jeden. Po chwili kolejny, następny, piąty i szósty, i dziesiąty. Kiedy opuściła budynek, oślepiające słońce zmusiło ją do opadnięcia

na kolana. Miała ochotę wrócić do pokoiku i pograć się w śnie. Albo obudzić się. Nie umiała rozpoznać tego, co realne. Umysł płątał figle, mieszając jawę ze snem. Pałace powietrze, wypełniające płuca i całkiem materialny, rzeczywisty piasek pod palcami sprawiły, że odnalazła w sobie siłę i ruszyła dalej. Dokąd? Tego nie wiedziała. Wiedziała natomiast, że musi unikać ludzi, przynajmniej dopóki nie dojdzie do siebie i nie ogarnie mętliku w głowie. Jakiś zmysł podpowiadał jej, jaką drogę ma wybrać, gdzie się przyczaić. Kluczyła, zmieniała kierunki, ciągle podążając na zachód, w stronę gasnącego z każdą chwilą słońca. Cały czas czuła, że ktoś nieustępliwie podąża jej śladem, ktoś, kto stanowi śmiertelne zagrożenie i bezwzględnie dąży do zrealizowania swojego celu.

Ten ktoś dopadł ją o świcie.

Zbudziła się zdeorientowana i przerażona, gdy silne dłonie zacisnęły się na jej kostkach i brutalnie wyciągnęły z kryjówki. Zdażyła jeszcze chwycić pistolet i wycelować prosto w głowę napastnika. Dostrzegła zdziwienie w jego oczach. Twarz ukryta za kominiarką pozostała niewidoczna, tajemnicza i groźna nawet wtedy, gdy dziewczyna pociągnęła za spust. Ciszy poranka nie przerwał odgłos wystrzału i dziewczyna zdała sobie sprawę, że ten wystrzał nigdy nie padnie. Inne brutalne dłonie wyrwały jej broń, wbiły głowę w piaszczyste podłoże, wykręciły ręce i zapięły na nadgarstkach plastikowe kajdanki zaciskowe, a usta zakleiły taśmą.

Chwilę później rozpętało się piekło.

* * *

„Wszystko się skomplikowało” – pomyślał długowłosy, brodaty mężczyzna, przyglądając się z zaciekawieniem i fascynacją dziewczynie, leżącej wśród zakrwawionych trupów. Jego intensywnie niebieskie oczy obserwowały, jak to wątłe i kruche stworzenie próbuje obrócić się na bok i usiąść. Skrępowane za plecami ręce skutecznie utrudniały poruszanie, a plastikowe opaski wbijały się w nadgarstki przy najmniejszym ruchu. Przyklęknął przy niej i odgarnął jej jasne, pokryte krwią włosy. Wytarł pojedyncze, czerwone kropelki z ładnej, gładkiej twarzy i szybkim ruchem zdarł taśmę z jej ust. Na moment

zapięły ją wargi, ale on nakrył je dłonią i gestem nakazał milczenie. Zapach jego palców – męski i słodki – obudził w niej jakieś wspomnienia. Przypomniał jej o czymś z przeszłości, czymś nieokreślonym, za czym nagle zatęskniła. Zadrżała, gdy oderwał rękę od jej ust i zbliżył do swoich, jakby również próbując poznać jej smak i zapach. Wyłowił wzrokiem jej spojrzenie i chwilę się sobie przypatrywali. Nagle się poruszył i w jego drugiej dłoni dostrzegła nóż. Miał krótkie ostrze, a w niewielkiej rękojeści otwór, w który prawdopodobnie wkładało się palec wskazujący. Przeszył ją lęk, mężczyzna jednak wstał, a nożyk zniknął gdzieś pod jego ubraniem. Rozejrzał się, jakby szacując straty, i skrzywił się niezadowolony. Znów spojrzał na dziewczynę swoimi nienaturalnie niebieskimi oczami.

– Ręce – szepnęła bezgłośnie, ale on pokręcił głową.

Nie miał najmniejszego zamiaru jej uwalniać. Teraz miał coś ważniejszego na głowie. Musiał przeszukać trupy w czarnych uniformach. Nie czuł wstrętu ani strachu, kiedy obmacywał pokryte krwią ciała. Robił to już dawniej, w czasach, o których wolałby zapomnieć. Westchnął, odegnał nękające go demony przeszłości i skupił się na swojej robocie. Zabrał broń i zawartość kieszeni mundurowych, po czym odciągnął zwłoki na bok. Podobnie potraktował dwóch nieboszczyków w skórzanych kurtkach. Jedną z nich – mniej zachlapaną krwią – postanowił sobie zatrzymać. Jej właściciel, Łata, na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Już nie była mu potrzebna. Kiedy niebieskooki mężczyzna założył ciężką, nabijaną ćwiekami ramoneskę, poczuł się pewniej. Zacisnął pięści i odetchnął głęboko.

Dziewczyna dostrzegła znak, naszywkę na rękawie kurtki przedstawiającą trupią czaszkę ze skrzyżowanymi pod nią dwoma pistoletami. Znajomy, widziany kiedyś symbol, który sprawił jej tyle bólu, tyle cierpienia... Kolejne wspomnienia ożyły w jej głowie, nie mogąc jednak pokonać jakiejś granicy, jakiegoś muru emocji. Nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd pochodziło to odczucie, któremu towarzyszył niepokój, a nawet strach. Jęknęła cicho, ale niebieskooki miał świetny słuch. Spojrzał na nią z uwagą.

Dziwił się, że dziewczyna zaszła tak daleko boso i w porwanej kiecce, przypominającej bardziej koszulę nocną, odsłaniającą jej poranione nogi. Całe szczęście, że miała na sobie starą skórzaną kurtkę...

Mężczyzna wzruszył ramionami i zaczął kopać dół, wykorzystując kolbę jednego z karabinów w charakterze saperki. Z trudem wygrzebał płytką jamę w piaszczystym podłożu i ułożył w niej całą czwórkę sztywniaków. Mogiłę obficie przysypał piachem i poskakał na kopczyku, ugniatając miejsce ich ostatniego spoczynku, które dodatkowo przygniótł kamieniami. Nie chciał, żeby jakieś wygłodzone bestie urządziły sobie kolację i przy okazji zbyt wcześnie wyciągnęły trupy na światło dzienne. Otrzeptał ubranie, jeszcze raz zlustrował pole walki i z zadowoleniem wetknął w usta skręta. Chwytał dziewczynę w pól i zarzucił sobie na ramię niczym szmacianą lalkę. Ważyła niewiele, a on do ułomków nie należał. Drugą ręką podniósł pakunek z bronią i fantami, który zrobił z bluzy mundurowej jednego z truposzy.

Ostrożnie stawiał kroki pomiędzy zdradliwymi pniakami i szerokim łukiem omijał karpy z ich sterczącymi we wszystkich kierunkach, ostrymi i twardymi korzeniami. Zastanawiał się nad nową sytuacją, w której się znalazł. Myślał też o nowej towarzysze podróży, którą zesłał mu los. Mimowolnie uśmiechnął się, bo właściwie nie wierzył w zrzędzenia losu, a już na pewno daleki był od przyjmowania ich z pokorą. Zupełnie inaczej traktował siły natury, będące dla niego wielką tajemnicą, źródłem siły i inspiracją do rozmyślań. Czuł jedność z tą pierwotną energią, która ostatecznie pokonała zgubne skutki Rozbłysku. W końcu nie bez przyczyny mówili na niego Dzikus. Pojawiał się wśród ludzi jedynie wtedy, kiedy musiał. Jego domem był odradzający się las i tam czuł się najlepiej. Tropił, polował na zmutowaną zwierzynę i zabijał te wybryki natury, wymieniając chodliwe części ich ciał na najpotrzebniejsze towary.

Kilkanaście godzin wcześniej nawet by nie pomyślał, że zostanie zwycięzcą pewnej potyczki – jedynym zwycięzcą, który nie kiwnął palcem, by wyeliminować zarówno wrogów jak i sojuszników. A i tak wygrał. Miał dziewczynę, swoje trofeum i cel poszukiwań. O ile to rzeczywiście była ona. Pozostawało mu wierzyć, że Czarni raczej znali się na swojej robocie i wysledzili właściwą osobę. A on wysledził właściwych Czarnych. Nie miał rozeznania w miejscowych rozgrywkach i walce o wpływy. Nie interesowały go te sprawy. Przyjął zlecenie wytropienia dziewczyny i natychmiast pożałował decyzji. Wielokrotnie przeklinał swoją głupotę, ale wewnętrzna dyscyplina

i poczucie ucziwości nie pozwalały mu się wycofać. Przeszukiwał to przekłete miejsce z dwoma rzezimieszkami przydzielonymi przez mocodawcę, choć marzył jedynie o ucieczce ze skamieniałego lasu. Zabawa w podchody zrobiła się na dodatek niebezpieczna, kiedy do gry weszli uzbrojeni po zęby konkurenci.

Dzikus wpadł na ich trop wczesnym popołudniem poprzedniego dnia. Ciesząc się cieniem skamieniałych drzew, razem ze swoimi nowymi kompanami próbował ustalić plan działania. Rozgrzane wewnątrz pomalowanego w maskujące łaty UAZ-a Patriota niespecjalnie nadawało się do spędzania południowej sjesty. Gorąco kabiny potęgowały blachy wspawane w miejsce tylnych szyb. Wzmocniony przedni zderzak pokrywały plamy krwi i strzępy sierści zwierzęcia, które wpadło im pod koła zeszłej nocy. Na szczęście przednią i boczne szyby osłaniała solidna siatka, więc truchło stwora, w którym rozpoznali zmutowanego wilka, nie zmiażdżyło ich w aucie, lecz przekoziółkowało po karoserii ostatecznie wgniatając tylko dach.

Dzikus kupił swojego UAZ-a po drugiej stronie Bufora za sproszkowane jądra właśnie jednego z tych wielkich wilków. Wywar z ich klejnotów rzekomo znacząco podnosił siły witalne mężczyzn, dodając przy tym odwagi i waleczności. Niebieskooki nie wierzył w skuteczność ekstraktu, ale znał jego silne właściwości narkotyczne, przy czym słowo „silne” nie oddawało w pełni efektów skutków ubocznych eliksiru. Oczywiście specyfik należało wzmocnić autorską mieszanką ziół i Dzikus czynił to bez żadnych skrupułów. Słyszał też o pewnym rodzaju wilczego mutantu, przypominającego bardziej człowieka i chodzącego na dwóch nogach. Kiedyś zapuścił się na tereny, na których podobno żyły te bestie i rzeczywiście, coś złapało się w jego wnyk. Niestety po sidłach zostały jedynie strzępy. Zawsze zastanawiał się, ile dostałby za wyciąg z jaj takiego stwora, ale darował sobie dalsze poszukiwania.

Niebieskooki zerknął na sufit kabiny i jeszcze raz ocenił wgniecenia. Po chwili wzruszył ramionami. Uszkodzenia pojazdu były w tej chwili jego najmniejszym problemem.

– Wszystko się skomplikowało. – Dzikus podpalił grubego skręta i wypuścił krąg dymu. – Nic na to nie poradzimy.

– Według mnie jesteśmy tutaj. – Palec mężczyzny, o twarzy pobrużdżonej bliznami i uszach dziwnie przylegających do skóry

głowy, spoczął na zniszczonej mapie, którą studiował od dłuższego czasu.

– Kurwa – jego kompan, o skórze pokrytej plamami podobnymi do pozostałości oparzeń, splunął. – Znaczą się znalazł! Ta mapa leży do góry nogami, kurwa twoja mać!

– Zamknij twarz – warknął ten z bliznami, ale odwrócił wymiętoszony plan.

– Gównem się znasz na nawigacji. Nie znalazłbyś śladu po kopniaku na własnym zadku. Nie wiem, dlaczego muszę się męczyć z takim bezużytecznym kmiotem. Bo tym właśnie jesteś. Bezużytecznym kmiotem.

– Nie, Łata. – Pokręcił głową Dzikus i zaciągnął się głęboko. – Ryba przynajmniej próbuje coś zrobić. A ty jedynie klniesz i żłopiesz gorzałę.

– Właśnie! – Ryba oderwał wzrok od mapy i wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu. – Właśnie.

– Ogólnie rzecz biorąc, zgubiliśmy się. – Kolejne kółko z dymu zawirowało w powietrzu. – To się zdarza najlepszym.

– Precyzując – wycedził Łata. – To ty się zgubiłeś. Miałeś być naszym pierdolonym przewodnikiem. My jesteśmy od brudnej roboty. Tymczasem ty siedzisz i palisz to gówno. I to na okrągło. Mamy zadanie do wykonania. Przypominam, gdybyś zapomniał.

– Mam doskonałą pamięć – odparł Dzikus, zaciągając się głęboko. – I zawsze wywiązuję się ze zobowiązań. Rozumiem, że w końcu chcielibyście się wyspać w porządnym łóżku, zjeść coś dobrego na obiad i przetrząść czystą dziewczuchę. No... w miarę czystą. Ale, jak już mówiłem, chwilowo się zgubiliśmy...

– A kiedy się już odnajdziemy, spodziewaj się kucia mordy – splunął Łata. – Czy ty, kurwa, nie rozumiesz, że nie chcę oglądać świata z poziomu żerdzi, na którą szef zatknie mój łeb, jeśli wrócimy z pustymi rękami?!

– Dlaczego niby mielibyśmy wrócić z pustymi rękami? – ziewnął Dzikus.

– Bo nie dowierzam twoim umiejętnościom tropiciela?

– To było pytanie, czy stwierdzenie?

– Kurważ jego mać, pierdolony filozof się znalazł.

– Tak, to tutaj jesteśmy – wtrącił Ryba, pukając palcem w mapę. – Jestem pewien.

- Jutro znajdę ich trop – pokiwał głową Dzikus. – Jutro rano.
- Jutro rano może być za późno – zauważył Łata, odganiając ręką kłęb dymu. – Możesz zgasić to śmierdzące gówno? Zaczyna mnie drażnić.
- Ostatnio wszystko cię drażni. Jak już powiedziałem, znajdę trop rano. O świcie świat wygląda lepiej.
- Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że Czarni gdzieś tu są?
- Aha.
- Jeśli znajdą ją wcześniej niż my, mamy przechlapane.
- Szef pewnie będzie niezadowolony... – Dzikus ziewnął.
- Będzie, kurwa, niezadowolony?! – wybuchnął Łata, a plamy na jego twarzy nabrały intensywności. – Niezadowolony?! Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? Że to jakaś pierdolona ciuciubabka?! Pozwól, że ci wyjaśnię, na czym stoimy. Jeśli Czarni dorwą dziewczę przed nami, możemy nie wracać do domu. A i tak ktoś wyśle za nami swoje psy gończe. Te nas znajdą, bo są na tym świecie lepsi tropiciele niż ty.
- Pewnie są. – Dzikus ziewnął ponownie.
- Nie chcę przez ciebie zdechnąć. Potrafisz to zrozumieć? O tak wiele proszę? Dostaliśmy szansę na nowe życie. Gdybyś miał wybierać między zapchlonym materacem i smrodem współskazańców, a własnym kątem, to jaka byłaby twoja decyzja?
- Zależy od wielkości tego kąta... – zauważył tropiciel.
- Nie w tym rzecz – włączył się Ryba, który wysiadł z auta i odszedł kilka kroków, rozpinając rozporek. – Chodzi o sprawiedliwość. Godne życie należy się nam jak kurwa mać. O żeż kurwa mać!
- Co jest? – zainteresował się Dzikus, zaalarmowany nagłą zmianą tonu jego głosu. – Oszczałeś sobie nogawki czy jak?
- Nie, kurwa. Tu są ślady stóp!
- Tak. Twoich idioto – warknął Łata.
- Ja nie chodzę boso – zauważył Ryba.
- Dwaj mężczyźni błyskawicznie dopadli do kolegi i wbili wzrok w naznaczone świeżą plamą moczu podłoże.
- Ma rację – mruknął Dzikus i rozejrzał się czujnie. – Stopa drobnej kobiety. Ślad dosyć świeży.
- To może być ona? – Wzrok Łaty błądził po twarzach towarzyszy. – Dzikus?
- Zbieramy się. – Kolejny kłęb dymu zawirował w powietrzu. – Nie

ma czasu do stracenia. Jeśli my ją wysledziliśmy, to Czarni na pewno są niedaleko. Ryba?

– Tak?

– Może byś tak w końcu schował interes i zapiął rozporek?

Mężczyźni ruszyli od razu, mając świadomość, że każda stracona chwila zwiększa dystans dzielący ich od celu łowów. A cel poruszał się bez jakiegokolwiek marszruty. Wydawało się, że dziewczyna kluczy bezsensownie – albo się zgubiła, albo robi to umyślnie. Tak czy siak, jej zachowanie uniemożliwiało przewidzenie właściwego kierunku podróży. O zmierzchu Dzikus zgubił jej trop i cała trójka jak niepyszna wróciła do UAZ-a, by podjąć dalsze poszukiwania nazajutrz o wschodzie słońca. Ulokowali się w kabinie, która pełniła ostatnio funkcję ich sypialni, jadalni i spiżarni jednocześnie.

– Właściwie... – Tropicieł przełknął porcję mielonki z konserwy, pamiętającej jeszcze stare, lepsze czasy. – Właściwie, co jest grane z tą dziewczyną? Co to za jedna?

– Tatko ci nie mówił? – Łata zerknął na Rybę, który zrobił głupią minę i wbił brudne palce w zawartość swojej puszki.

– Generalnie nie wnikam w podobne kwestie. Robię swoje, kasuję należność i znikam. Ale z powodu tej dziewczyny zrobiło się tutaj dosyć tłoczno i niebezpiecznie. Ja tam bym wolał wiedzieć, kogo szukam. I ile ten ktoś jest wart dla zleceniodawcy. Ot, tak na wszelki wypadek. Skoro komuś tak bardzo na niej zależy, że wysyła za nią trzech ludzi, to albo jest jego kochanką, albo córką.

– Brawo, kurwa! – Ryba z uznaniem pokiwał głową i beknął donośnie.

– Może nie jesteś tak głupi, za jakiego cię miałem – Skrzywił się Łata.

– Szukamy latorośli, dziedziczki, kochanej córuchny ojczulka, psia ją w dupę mać.

– Pokłócili się czy co? – zastanawiał się tropiciel.

– To nie tak. Stary szuka jej od kilku ładnych lat. Dziewucha dała dyla z jednym chłopakiem od nas, dawnych bojowców, starej gwardii. To były czasy! Żyło się intensywnie, wdychało zapach śmierci, gwałciło wszystko, co się rusza i na drzewo nie spierdala.

– Najwyraźniej coś się zmieniło.

– Ten skurwiel, Maksymilian, zdradził naszą sprawę – wycedził Łata.

– I wszystkich nas, noszących z dumą znak czaszki ze skrzyżowanymi

pistoletami, wyrzucił z Białego Miasta. Potraktował nas jak psy, parszywe psy. Teraz mamy szansę zagrać z nim naszymi kartami. I będziemy mieć asa w rękawie.

– Maksymilian? Więc szukamy jego córki?

– Dokładnie. Widzisz, zostało nas – starych bojowników – niewielu. A tylko kilku z nas wiedziało, jak Lena właściwie wyglądała.

– Lena? Więc tak ma na imię?

– Aha. Ładna była z niej dupa. Tego dnia, gdy zniknęła, przypuściliśmy ostatni szturm na Śródmieście. Białe Miasto jeszcze nie istniało, choć miało powstać lada chwila właśnie tam, na gruzach i kościach dawnych mieszkańców.

– Mieszkańcy Śródmieścia raczej nie byli zadowoleni.

– Niespecjalnie okazywali swoje uczucia, kiedy podrzynaliśmy im gardła. Zresztą... Ktoś inny zdecydował o ich przyszłości.

– Przywódcy Śródmieścia sprzedali własnych ludzi Maksymilianowi – wyjaśnił Ryba.

– Sprzedali ich życie, a on kupił ich śmierć. Takie czasy – zauważył Łata, odrzucając pustą puszkę. – Albo my ich, albo oni...

– Głupie myślenie – przerwał mu Dzikus – biorąc pod uwagę, że później sami zostaliście wydymani i wystawieni do wiatru. Może należałoby w końcu zacząć uczyć się na błędach? I nie rozrzucaj puszek po aucie.

– Dobra, rano wyjebię ją na zewnątrz.

– Spróbuj. Nie będziemy robić tu syfu. Natura wystarczająco nas ukarała.

– Ten znów swoje – beknął Ryba. – Wiesz, gdzie możesz wsadzić te swoje mądrości? Tak, właśnie tam. W dupę. Słuchałem w życiu różnych bredni, ale najlepsze gadane miał stary, dobry Maksio. Co nie, Łata?

– No. Ten to ściemniał pierwsza klasa. I wszyscy uwierzyli w te brednie o lepszej przyszłości, nowym życiu wyrastającym na ruinach starego świata, ble, ble. Pierdolenie.

– Zawsze mi się wydawało, że ludzie ze Squatu Centrum to ideowcy. Widzę, że znajdowały się wśród nich też zwykłe szumowiny – stwierdził filozoficznie tropiciel.

– Ty! – Zacisnął pięści Ryba.

– Spokój! On ma rację. – Uśmiechnął się półgębkiem jego kompan. –

Zależało nam na dobrym mordobiciu, zabawie i pełnym żołądku. Reszta przestała się liczyć dużo wcześniej. Zanim jeszcze pojawił się Maksio. Dzięki takim jak my stworzył swoje Białe Miasto. Dzięki nam straci wszystko.

– Nie rozumiem – przyznał Dzikus. – To wy nie pracujecie dla niego? Coś mi tu śmierdziało od samego początku.

– Chciałbyś za dużo wiedzieć, tropicielu. – Pokręcił głową Łata. – Wypiliśmy za dużo wody, jęzory się nam rozwiązały. Zrobisz swoje, Tatko przekaże ci należność i pożegnamy się. Interes jest interes.

– Może już dość tego pieprzenia. – Ziewnął Ryba. – Woda się skończyła. Trzeba kimnąć kilka godzin. Kto pierwszy robi za ciecia?

– Ty! – Jednocześnie odpowiedzieli Dzikus i Łata.

Tej nocy jednak spali niewiele, każdy rozmyślał o swej przeszłości i możliwych scenariuszach przyszłości. Następny dzień miał przynieść rozwiązanie najbardziej palącej kwestii – czy Czarni ich ubiegną, czy też uda im się wcześniej przechwycić dziewczynę. Dzikus próbował sobie wyobrazić, jak wygląda ta cała Lena. Wydawało mu się, że kiedyś już słyszał jej historię. Nigdy nie miał nic wspólnego z Białym Miastem, chociaż mieszkał niedaleko, na przedmieściach, gdzie koczowali tak zwani Wolni Ludzie, którzy nie uznawali czyjejkolwiek zwierzchności, jakiegokolwiek władzy. Zerknął na Łatę, który zastanawiał się, jak urządzi obiecane mieszkanko w Białym Mieście, następnie na Rybę aktualnie dłubiącego w nosie, po czym przymknął oczy. Odgłosy żerowania i pomruki jakiegoś drapieżnika sprawiły, że wszyscy zerwali się gotowi do obrony i siedzieli tak, aż do świtu.

Ponownie wpadli na trop dziewczyny zanim pierwsze promienie zdążyły ogrzać poranne powietrze. Dzikus odkrył też, że jednak będą mieć towarzystwo. Odcisnięte w podłożu podeszwy solidnych, wojskowych butów sprawiły, że zdwoili czujność i mocniej ścisnęli w dłoniach noże. W końcu ich dostrzegli. Dwóch uzbrojonych po zęby mężczyzn w czarnych wojskowych uniformach, maszerujących przez niewielką, naturalną polankę powstałą zanim jeszcze okalające ją drzewa przekształciły się w suche kikuty. Dzikus przypadł do skamieniałej karpy, a jego kompani wkroczyli do gry. Podkradli się w ciszy przerywanej tylko jękami ofiary wyciąganej właśnie z nory pod zwaliskiem pni. Ryba błyskawicznie doskoczył do nóg żołnierza ubezpieczającego kolegę, który zakładał swej zdobyczy plastikowe

kajdanki. Szarpnął za buty i kiedy Czarny runął na twarz, przygniótł go kolanami, jednocześnie kilka razy wbijając nóż w szyję leżącego. Ten wierzgał, próbując zrzucić napastnika, ale przecięta tętnica szyjna szybko wypływała krew razem z życiem. Nagle zaterkotał karabinek drugiego z Czarnych, który w śmiertelnym skurczu zacisnął palec na spuście. Podrzynający mu gardło Łata ciął ostrzem coraz głębiej i głębiej, ale mężczyzna dalej strzelał wymachując bronią we wszystkich kierunkach. Bojownik próbował obalić swoją ofiarę na ziemię. Nie wziął pod uwagę, że znacznie cięższy Czarny, któremu karabinek w końcu wypadł z dłoni, przygniecie go i obydwaj upadną ciężko na sterczące za ich plecami skamieniałe ułamki pni.

Dzikus wyjrzał ze swojej kryjówki dobre piętnaście minut po tym, jak usłyszał ostatni jęk zagłuszony bulgotaniem krwi w gardle. Westchnął ciężko i wszedł na pobojowisko. Widywał śmierć nader często, ale nigdy nie przyzwyczyił się do widoku zwłok. Zwłaszcza pokrytych warstwą parującej juchy. Najlepiej wyglądał Łata, jeśli jego plamiasta gęba kiedykolwiek wyglądała dobrze. Umarł chyba najszybciej z całej czwórki, bo sterczący pionowo kamienny ułamek pnia, na który upadł plecami, przebił mu głowę i sterczał z czoła niczym róg. Ryba dostał serię w klatkę piersiową, dwaj Czarni wykrwawili się na śmierć z ran na szyjach. Pozostała jedynie dziewczyna. Dzikus przyklęknął przy niej i odgarnął z jej twarzy sklezione krwią walczących włosy.

„Wszystko się skomplikowało” – pomyślał.

* * *

Tego popołudnia krwawoczerwone słońce obdarzyło Ziemię nierealnym, niemal złowieszczym blaskiem, który zwiastował rychłe nadejście obfitych opadów. Anomalie pogodowe niepostrzeżenie przeszły w kolejną fazę. Po dekadzie nieustannej suszy, podsycanej zabójczym promieniowaniem gamma i drugiej dekadzie powolnego powrotu do klimatu sprzed Rozbłysku, przyroda zdawała się niecierpliwie niedostatkiem wody. Ożywcze, obfite deszcze coraz częściej przechodziły w kilkutygodniowe, tropikalne ulewy, które wymywały skromne, pierwsze uprawy. Pieczołowite próby wyhodowania żywności szły wniwecz. Strugi wody wymywały nasiona

i sadzonki, sprawiały, że dojrzałe płody prymitywnego jeszcze rolnictwa gniły. Dobrodziejstwo stało się przekleństwem i ludzie zaczęli z niechęcią, a nawet lękiem wypatrywać oznak nadciągającego deszczu.

Dzikus osłonił oczy ręką, drugą zacisnął na kierownicy i zwolnił, mijając zardzewiałą tablicę informacyjną z nazwą jakiejś miejscowości. Napis był nieczytelny, więc mrużąc przekleństwa, wdepnął pedał gazu. Spod kół wystrzeliły fontanny piachu i pojazd przemknął przez opuszczoną wioskę, straszącą ruinami domów. Po godzinie kluczenia dotarł do szerokiej asfaltowej drogi i przypuszczał, że kierując się na zachód, trafi w końcu do Białego Miasta. Stamtąd był już rzut beretem do Stacji. Miał tylko nadzieję, że odległość dzieląca go od cywilizacji nie okaże się zbyt duża i z niepokojem zerkał na wskaźnik poziomu paliwa. Zaklął pod nosem, kiedy przypominał sobie Łatę sprzedającego zapasowe kanistry i dzielącego otrzymane w zamian papierosy na trzy równe kupki. Zakupionej w ten sam sposób wódki wystarczyło im raptem na dwa dni.

Kiedy dostrzegł starą stację paliw, uśmiechnął się szeroko i skręcił na podjazd prowadzący na rozległy parking. Po dystrybutorach pozostały jedynie wyrwy w betonowych stanowiskach, budynek z kasami gapił się pozbawionymi szyb oknami, ale jeden szczegół sprawił, że Dzikus zdecydował się tutaj zajechać. Tym szczegółem był migający nieregularnie neon na przylegającej do stacji paliw restauracyjce. Jakiś żartowniś usunął z niego część logo, reklamującego orzeźwiający gazowany napój znany kiedyś jako coca-cola i dopisał słowo „suka”.

– Suka-cola – przeczytał na głos Dzikus.

Kręcąc głową, zaparkował UAZ-a obok wielkiego, czarnego, czteroosobowego holownika z przyciemnionymi szybami, wyposażonego w domowej roboty orurowanie, chroniące przód auta przed niespodziewanymi przeszkodami. Tuż przy holowniku stał imponujący motocykl. W jednoślądzie zamontowano szerokie, terenowe opony, metalowe gmole i kratownicę, zabezpieczającą kierowcę przed obrażeniami w razie upadku oraz dodatkowy zbiornik paliwa, niezbędny przy dalszych wyprawach. Cmokając z uznaniem, Dzikus zatrzasnął drzwi UAZ-a i podszedł do motocykla. Zawsze chciał sobie sprawić takie cacko i postanowił, że po skończonej robocie i odebraniu

wynagrodzenia zamówi podobne чудо u jakiegoś mechanika.

Odwrócił się i ostrożnie zbliżył do sterty łańchmanów leżącej obok wejścia do budynku, a będącej w rzeczywistości włóczęgą odpoczywającym w cieniu dawnej restauracji. Poczł się nieswojo na jego widok. Jakies odległe wspomnienie sprawilo, że mimowolnie zadrzał. Znał kiedyś podobnych ludzi, nawet się do nich przyłączył, ale nie był to zbyt chlubny okres w jego życiu i robił wszystko, by o nim zapomnieć. Prawie mu się udało. Obdartus kopnięty w podeszwę zniszczonego buta nie zareagował i nawet nie uniósł na wpeł przymkniętych powiek, spod których obserwował przybysza.

– Dobry człowieku, jak się nazywa to miejsce? – zapytał uprzejmie Dzikus, ale odpowiedziało mu milczenie.

Tropiciel wzruszył ramionami i wetknął do ust papierosa. Podpalił go i ruszył ku wejściu do restauracji.

– Miejsce jak każde inne – usłyszał za plecami chrapliwy głos, a sterta łańchmanów w końcu się poruszyła. – Daj papierocha.

– Nie ma nic za darmo. Popilnuj auta.

Rzucił włóczędze kilka sztuk i pchnął masywne, obite blachą drzwi. Uderzył go zaduch niewietrzonego pomieszczenia, odór moczu, zatęchłego piwa i tytoniowego dymu. Dawno temu szyby w oknach zastąpiono płytami pilśniowymi, więc nie docierało tu światło słoneczne. Panujący w środku półmrok rozświetlały jedynie gołe żarówki, pokryte grubą warstwą kurzu. Gdzieś na zapleczu terkotał agregat prądowłrczy, a jakimś cudem nadal działająca chłodziarka zapełniona była wątpliwej jakości szaszłykami nabitymi na coś przypominającego szprychy rowerowe. Pojawienie się Dzikusa natychmiast przyciągnęło uwagę dwóch typów o powierzchowności i posturze goryli, siedzących przy barze wykonanym z nieheblowanych desek. Mężczyźni najwyraźniej mieli w dupie dobre maniery i bezczelnie wbili wzrok w nieznanomego, który jakby nigdy nic usiadł na przeciwległym końcu wyszynku i z zainteresowaniem oglądał nieliczne butelki stojące na wystawie.

– Coś podać? – Rudy barman o gębie pokrytej krostami pojawił się nagle tuż przed Dzikusem.

– A co tu się nadaje do picia?

– Wszystko – uśmiechnął się szeroko barman. – Księżycówka, siwucha, karbidówka, krzakówka, zwykły bimber, do wyboru do

koloru. A masz czym zapłacić?

Na nieheblowanym blacie pojawiły się fanty. Rudzielec wybrał kilka drobiazgów i wyszczerzył się z zadowoleniem.

– Pasuje – oznajmił. – To co podać?

– Bo ja wiem? Jest coś, co nie spali mi żołądka?

– Się robi szefie!

Przed Dzikusem wylądowała brudna szklanka pełna mętnego płynu. Mężczyzna wlał w gardło palącą zawartość i zakrztusił się. Kaszlnął kilka razy, a po policzkach pociekły mu łzy. Dwa goryle w ludzkich skórach zarechotały i bez mrugnięcia okiem opróżniły swoje stakany.

– Domyślam się – Dzikus z trudem odetchnął – że nie był to najmocniejszy trunek w tym lokalu?

– Słabsza od tego bimbru jest jedynie kranówa.

– Taaa, jasne.

– Nalać jeszcze?

– Nie, nie. Macie coś do jedzenia, oprócz tych... – wskazał na witrynę chłodziarki.

– Przykro mi – nieszczerze uśmiechnął się barman. – Wiesz jak to jest w tych czasach. Z braku laku i kit dobry.

– Niech będzie. Wezmę dwa na wynos. Da się to podgrzać?

– Aha. Już wrzucam na ruszt.

– Gdzie ja właściwie jestem?

– Co to, zgubiliśmy się? – Rudzielec znacząco zerknął na dwóch mężczyzn, którzy ponownie skupili uwagę na obcym.

– Tak jakby.

– Niedaleko stąd jest Bufor.

– Jak niedaleko?

– Całkiem niedaleko.

– Aha. Rozumiem – skinął głową Dzikus. – No to nieźle zbłądziłem.

– Zdarza się – obojętnie stwierdził barman. – Tutaj nie ma dróg, nie ma drogowskazów, tutaj nie ma niczego.

– Jeśli ta droga prowadzi do granicy, to jadąc w przeciwną stronę dotrę w okolice Białego Miasta.

– Dotrzesz.

– Ile to będzie kilometrów?

– Jakieś... – Barman (...) odległość. – Pięćdziesiąt. Może więcej.

– Niedobrze. A gdzie tu można kupić trochę paliwa?

– Musiałbyś zawrócić w stronę granicy i skręcić w lewo, jak tylko zjedziesz z wiaduktu. Tam jest miasteczko... Dalej się dopytasz. Na pewno ktoś ci sprzeda. Wiesz, oni wszyscy żyją z przemytu – dodał konfidencjonalnym szeptem.

– Każdy jakoś musi sobie radzić.

– Niedługo się ściemni. Podróż po zmroku może nie należeć do najprzyjemniejszych. Proponuję zajechać do hoteliku, znajduje się w centrum miasteczka. W budynku dawnego dworca.

– Nie boję się bestii – zaśmiał się Dzikus. – Mam specjalny zderzak powitalny na takie okazje.

– Nie miałem na myśli bestii – zauważył barman. – To pogranicze. Tutaj się roi od bandytów bez czci i wiary.

– Będę miał to na uwadze. Powiedz mi jeszcze, do którego z dżentelmenów przy barze należy ten motocykl, stojący przed wejściem.

– Do żadnego – barman wskazał najciemniejszy kąt w lokalu. – Tam siedzi właściciel.

– Chyba postawię mu drinka.

– Obawiam się, że on ma już dość. Jest cokolwiek... hmm... wstawiony...

Słowo „wstawiony” nie oddawało stanu, w jakim znajdował się ponury zakapior w motocyklowej kurtce, wpatrujący się tępo w pustą butelkę, leżącą na stoliku przed nim. Właściciel motocykla był nawalony jak stodoła, zalany w pestkę i pijany w sztok, a mimo to podniósł głowę, kiedy Dzikus przysiadł się do niego i odkorkował kolejną butelczynę.

– Czzegooo... – beknął motocyklista.

– Niczego. Napić się nie można?

– Moźżż...

– Masz fajną motorynkę. Nie chcesz sprzedać?

– Nnnieeee...

– Tak myślałem – uśmiechnął się sam do siebie tropiciel.

– Zapalić maszszsz...?

– Mam.

Trzasnęła zapalniczka i nikły płomień na moment oświetlił twarze rozmówców. Dzikus pomiędzy długimi włosami, zasłaniającymi twarz motocyklisty, dostrzegł zasnute mgłą oczy, które na moment odzyskały

blask i ożywiły się.

– Oooo. – Mężczyzna chwycił tropiciela za rękaw i pociągnął. – Co toojezzzd...

– Co?

– To, kurrwa... – Jego palec wbił się w naszywkę z trupią czaszką. – Białe Miastoo... Skąd to masz?

– Znalazłem. – Odtrącił rękę.

– Znalazłeś, ty... Kurr... – Zakapior próbował wstać, ale alkohol płynący w jego żyłach sprawił, że zwałił się bez czucia, łamiąc przy tym plastikowe krzeselko, na którym siedział.

– Cholera! – Dzikus szybko zabrał butelkę i wstał. – Szajba ci odbija czy jak? Może czas odstawić gorzałę?

– Eeee... – odpowiedział mu jęk nieprzytomnego motocyklisty.

– Najwyraźniej komuś tu się urwał film – stwierdził tropiciel.

Wzruszył ramionami i wrócił do baru. Zwinął szaszłyki, odliczył należność, po czym opuścił lokal. Zanim zatrzasnął za sobą drzwi, usłyszał jeszcze rechot dwóch goryli. Przed budynkiem znów natknął się na stertę łachmanów, która tym razem paliła papierosa.

– I jak? – wymamrotał włóczęga, zaciągając się głęboko.

– Nijak. Gówniane trunki i wszawe towarzystwo.

– Lepiej, żeby Ryży tego nie słyszał – zachichotał obdartus. – Mógłby się tego... Wkurwić.

– Pewnie tak. Nadal nie wiesz, gdzie właściwie jestem?

– W złym miejscu. Lepiej... – zająknął się kloszard i wyciągnął szyję jakby czegoś nasłuchując.

Po chwili również Dzikus usłyszał dźwięk silnika, a chwilę później dostrzegł poobijaną i przerdzewiałą terenówkę w kolorze zgniłej zieleni zajeżdżającą na parking. Pojazd, ciągnący za sobą warkocz spalin, ze zgrzytem hamulców zatrzymał się na odległym końcu placu. Wysiadło z niego dwóch małych najwyraźniej szukających kłopotów. Uważnie przyjrzeni się zaparkowanym pojazdom, poprawili pistolety zatknięte za paski i ruszyli w stronę baru.

– Lepiej stąd spierdalaj – dokończył łazęga i wyrzucił niedopałek. – Ci dwaj nie wyglądają na grzecznych chłopców. Założyłbym się, że mają na swoim koncie niejedno odebrane życie.

Dzikus nie skomentował, zostawił obdartusa jego sprawom, minął obojętnie przyjezdnych, którzy obrzucili go pełnymi wrogości

spojrzeniami, po czym wsiadł do swojego UAZ-a. Zerknął w lusterko wsteczne i odetchnął z ulgą, kiedy małodaci zniknęli za obitymi blachą drzwiami. Burdy z awanturnikami nie były mu w tej chwili potrzebne. Musiał zająć się dziewczyną.

– Jesteś głodna? – zapytał cicho.

– Tak. – Usłyszał westchnienie.

– Zatrzymamy się gdzieś po drodze. Tutaj raczej nie jest bezpiecznie. Kupiłem coś dobrego i gorącego. Mam nadzieję, że nie wystygnie.

Włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił. Silnik ożył i auto wytoczyło się powoli z pokrytego piachem parkingu, wzniesając chmurę pyłu. Kiedy koła dotknęły asfaltu, Dzikus dodał gazu i wbił wzrok w drogę przed sobą. Jego kręgosłup domagał się normalnego łóżka, a i dziewczyna musiała się w końcu doprowadzić do porządku. Mimo to postanowił wracać do Tatki natychmiast po zatankowaniu. Czas uciekał, ktoś mógł im deptać po piętach, tym bardziej że odgłos strzałów oddanych przez konającego Czarnego zapewne świetnie niósł się po lesie. Lena, przykuta do wspornika tylnego rzędu siedzeń jęknęła, kiedy autem rzuciło na wybojach.

Zanim opuścili leśne bezdroża wyrzucił jej zakrwawioną koszulę nocną i kazał założyć swoje zapasowe spodnie wojskowe oraz niezbyt świeżą podkoszulkę, wszystko o trzy rozmiary za duże. Z niezadowoleniem przyjęła fakt, że ponownie skrępował jej ręce, tym razem zardzewiałymi kajdankami, które przełożył przez metalowy kabłąk tylnego fotela. Nie powiedziała jednak ani słowa i posłusznie położyła się na siedzeniu, podczas gdy on pakował do UAZ-a zdobyczne fanty.

Asfaltowa droga wiodąca od stacji szybko się skończyła i Dzikus ponownie błędził, przeklinając pieprzone bezdroża. Niebawem natrafił na kolejną asfaltową nitkę i teraz pewnie trzymał kierownicę. Powoli opuszczało go napięcie wywołane wydarzeniami kilku minionych dni. Po chwili nawet nie był w stanie przypomnieć sobie gąb dwóch goryli z przydrożnej speluny. Uśmiechnął się i w ostatniej chwili dostrzegł linię torów kolejowych, przebiegającą poniżej wiaduktu, na który właśnie wjechał. Gwałtownie zakręcił kierownicą, omijając wielką dziurę w asfalcie na samym środku jezdni. Pojazd zatrzęsł się, a koła zapiszczały, tracąc przyczepność. Dziewczyna krzyknęła, uderzając boleśnie o drzwi auta. Tropiciel wdepnął hamulec, bardziej martwiąc

się o stan auta niż poobijane ramiona pasażerki. Dalej jechał ostrożniej, wbijając wzrok w zszarzałą drogę. Dostrzegł kolejną nieczytelną tablicę z nazwą miejscowości. Prawie przegapił zjazd w boczną drogę, o której mówił barman. Zatrzymał UAZ-a i wrzucił wsteczny bieg. Nie usłyszał ryku potężnego, czarnego holownika, wyłaniającego się z tej drogi.

Poczuł uderzenie tarana, jakim w rzeczywistości były grubościennie rury otaczające zderzak potwora na czterech kołach, tarana, który wbił się w drzwi kierowcy z całą mocą rozpędzonych kilku ton wagi, spychając auto z asfaltu wprost na barierki ochronne. Przerdzewiałe profile trzasnęły i pojazd zaczął koziołkować po stromym poboczu. Zatrzymał się kilkanaście metrów niżej na torach kolejowych, opadając na koła. Zachodzące słońce z trudem przebijało się przez jego pokryte krwią szyby, a dwaj goryle rechotali w szoferce czarnego holownika.

* * *

Prawie sześćdziesiąt kilometrów dalej na południowy zachód, Maksymilian, samozwańczy przywódca, który przed laty powiódł lud na barykady, skończył czyścić błyszczący rewolwer, pamiętający jeszcze czasy sprzed Rozbłysku, położył obok skórzanej kabury i podziwiał przez chwilę piękną broń. Piękną i śmiertcioną. Bardziej pasowała do kowboja niż przywódcy ulicznych bandytów, a wśród ruin pewniejszy był karabin maszynowy i duży zapas amunicji, lecz Maksymilian zawsze był sentymentalny. Uśmiechnął się, kiedy refleks odbity od chromowanej powierzchni sześciostrzałowca zatańczył na jego twarzy. Zerknął na zegarek. Doszedł do wniosku, że na zewnątrz na pewno już zapadł zmrok. Sięgnął po cygaretkę tłącą się w popielniczce, zaciągnął się aromatycznym dymem, po czym wypuścił kilka kółek wirujących w powietrzu. Obserwował je do momentu, aż rozwiały się i zniknęły. Chrząknięcie dobiegające z rogu gabinetu sprawiło, że przekręcił biurkową lampę tak, by blask żarówki oślepił siedzącego na skórzanym fotelu mężczyznę w czarnym mundurze bez dystynkcji. Ten wyciągnął rękę, próbując osłonić oczy.

– Przestań! – rzucił ostro.

Maksymilian wrzuszył ramionami, ale usłuchał. Lampa wróciła na

swoje miejsce, a kolejne ulotne kółka zatańczyły w powietrzu.

– Właśnie tak przesłuchiwało się kiedyś ludzi – mruknął. – Świecą im w oczy. Tylko żarówka musiała być mocniejsza. Taki żart. Myślałem, że śpisz.

– Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam problemu z zasypianiem. Nie siedzę po nocach. No, chyba że akurat mam na to ochotę. Lub muszę.

– I teraz właśnie masz na to ochotę? Czy musisz?

– Skończ te gierki słowne. Nie wciągniesz mnie w swoje zabawy. Nie jestem jednym z tych twoich prostackich rewolucjonistów, którzy nabierali się na elokwentne gadki. Wszelkie osobiste wycieczki i docinki też sobie daruj. Nie kupię tego. Aha, skończył mi się ten cierpki sikacz. Masz jeszcze jakieś wino? Albo coś? Chłopcom zasycha w gardłach na tych nocnych służbach.

– Gdyby Cierń się o tym dowiedział... – Wąskie usta Maksa wykrzywił złośliwy uśmiech.

– Ciernia tutaj nie ma – uciał mężczyzna. – Teraz dowodzę ja.

– Do czasu jego powrotu, jak sądzę.

– Rozmawialiśmy już na ten temat – westchnął wojskowy. – Wydawało mi się, że doszliśmy do porozumienia.

– Tak.

– I nie chciałbym do tego wracać. Układ jest układ.

– Zgadza się. A interes jest interes.

– Wróżę nam świetlaną przyszłość.

– Skoro o przyszłości mowa... – Maksymilian zwiesił głos. – Co z radiostacją?

– Robi się.

– Strasznie długo się robi. Postawiliście antenę sięgającą prawie do nieba, a osprzętu nie ma. Sam jestem ciekaw, czy usłyszymy coś w eterze.

– Jak już mówiłem, robi się. Mam niezłego łącznościowca, ale przy braku podzespołów...

Maksymilian wzruszył ramionami i zmienił temat:

– Masz wieści o Cierniu? Gdzie on się właściwie podziewa?

– Co to, już się stęskniłeś? – zaśmiał się mundurowy.

– Cierń – Maksymilian spojrzał w sufit i pokręcił głową – to niebezpieczny przeciwnik. A ty chcesz go wykolegować. Nie boisz się?

– My. My chcemy go wykołegować. Sam mówiłeś, że interes jest interes. Działamy razem. I niby kogo miałbym się bać... – parsknął lekceważąco.

– Więc nie wiesz gdzie jest Cierń i co knuje? Może ma jakąś bazę wypadową?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć?

– A powinienes. Moje oczy i uszy nie mogą być wszędzie. Jako jego godny następca...

– Nie drwij. Czas pułkownika już się skończył. Taka jest kolej rzeczy. Potrzebne są nowe rządy. Nowi ludzie. Sam mi to nie tak dawno tłumaczyłeś. Gdyby wrócił, czekałaby go niemiła niespodzianka...

– On nie może wrócić – przywódca Białego Miasta podniósł głos. – Cały nasz plan rozsypałby się w jednej chwili. Jest już za późno, by dołączył do niego któryś z twoich zaufanych ludzi.

– Wiem – warknął wojskowy. – Trzeba go było zabić od razu, tak jak ci radziłem.

– I co dalej mądralo? Co powiedziałaś swoim żołnierzom? Że Cierń popełnił samobójstwo, strzelając sobie w tył głowy? On musi umrzeć gdzieś na pustkowiach. W tajemnicy, w ciszy. Tak chyba będzie najlepiej. Muszę się zastanowić, jak to zorganizować. Nie będzie łatwo. No, ale przynajmniej my będziemy czysti.

– Doprawdy? Ja mam niejedno za uszami. Ty też. O jakiej czystości mówisz?

– Może i masz rację – zamyślił się Maksymilian. – Jakim człowiekiem trzeba być, żeby spiskować przeciwko własnemu dowódcy? Gdzie podzieli się żołnierze honoru, z dumą noszący biało-czerwone naszywki na ramionach?

– Przecież to był twój plan. Całe to wyjebanie Ciernia w kosmos.

– Ale ty na wszystko się zgodziłeś. To ty jesteś zdrajcą, nie ja. I niech tak zostanie. Z drugiej strony... Ktoś kiedyś powiedział, że zwycięzców się nie sądzi. Więc lepiej, żeby ten pucz ci się udał.

– Lepiej dla kogo?

– Dla wszystkich. – Maksymilian zerknął na zegarek. – Robi się późno. Kiedy ten człowiek się zjawi? On zawsze się spóźnia. Zawsze. Wysłałeś po niego samochód?

– Oczywiście.

– I co?

– Powiedział, że nie skorzysta. Będzie się wymykał tak, żeby nikt z bloku o tym nie wiedział.

– Żeby tylko twoi ludzie przez przypadek go nie odstrzelili.

– Nie ma obawy. Oni wiedzą, że za taką pomyłkę to ja bym ich odstrzelił. A ty ufasz temu... Jak mu tam?

– Małemu? Nie – mruknął Maksymilian. – Nie ufam nikomu, dlatego jeszcze żyję. Ale starzy bojownicy mu ufają.

Mężczyzna w czarnym mundurze zamilkł. Wyraźnie nad czymś się zastanawiał.

– Słuchaj – powiedział po dłuższej chwili – rozumiem pomysł z pozbyciem się twoich kamratów. Ale przyjmowanie tylu ochotników.... Jest ich coraz więcej. Są jak plaga. Nie potrzebujemy aż tylu rąk do pracy. Wygnani bojownicy wystarczą...

– Mylisz się. Potrzebujemy znacznie więcej pracowników. Mam pewne plany budowlane... Ale pozwól, że ja zajmę się kwestiami zatrudnienia. Znam się na tym. Parę lat już tu rządzą.

– Wygnańcy się burzą. Było kilka bójek – zauważył żołnierz. – Nie chcą ochotników. Uważają, że zajmą ich miejsce.

– Bardzo dobrze – rzucił Maks z zadowoleniem. – Właśnie taki był plan. Ani jedni, ani drudzy nie mają tutaj żadnego „miejsca”. Pozbędziemy się ich jak tylko... Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

– Niech ci będzie – wojskowy machnął ręką. – Zdaje się, że Mały właśnie dotarł.

Rzeczywiście, narastający łomot butów potwierdził jego słowa. W eskorcie dwóch Czarnych do gabinetu wszedł solidnie zbudowany mężczyzna w pokrytym pyłem ubraniu, opadł na fotel i odetchnął.

– Macie coś do picia? – spytał.

– Mały – warknął Maksymilian – spóźniłeś się.

– Nie mogłem się wyrwać. Taka robota. Sam wiesz.

– Masz coś dla mnie?

– Nie mam – przybysz rozparł się nonszalancko na fotelu.

– Kurwa! Jak długo to jeszcze potrwa? – Maks szybko opanował wybuch wściekłości.

– Ile będzie trzeba.

– To za długo. Może ludzie byli nieodpowiedni?

– Sam ich wybrałem – powiedział Mały z beczelnym uśmiechem. – To rzezimieszki pierwszej klasy, a tropiciela polecił Tatko.

– Nie podoba mi się mieszanie w tę sprawę pośredników. Mogą pojawić się komplikacje.

– Po jej odnalezieniu i tak trzeba będzie wszystkich uciszyć.

– Wszystkich? – wtrącił się wojskowy. – Ci dwaj bojownicy to twoi ludzie.

– Co z tego? – Mały wzruszył ramionami. – Dla dobra sprawy będą musieli zamilknąć na wieki. Ten Tatko i tropiciel umrą w pierwszej kolejności. Tak trzeba.

– Może i trzeba. – w głosie przywódcy pobrzmiwała wątpliwość.

– Zmiękłeś na starość, Maksiu. Ja bym tego Kamyka, wtedy...

– Dość!

– Mogłem go zatłuc w każdej chwili, ale ty się uparłeś – kręcił głową Mały. – Dopiero on może nam narobić bałaganu.

– Nie narobi. – Maksymilian wetknął do ust nową cygaretkę.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego kazałeś mi wtedy poderżnąć gardło jego współlokatorowi.

– Widocznie miałem w tym swój cel.

– Dobra, nie wnikam.

– Mały, wyślesz kolejnych ludzi. Muszę ją odnaleźć, zanim zrobi to Cierń.

– Jak sobie życzysz. Ale będzie potrzebny następny tropiciel. Może wynająć któregoś z nadgranicznych szmuglerów?

– Nie – skwitował Maksymilian. – Najlepszy będzie wolny strzelec, samotnik. Przemytnicy spod Bufora są zrzeszeni i zorganizowani. Zlikwidowanie jednego z nich po wykonaniu zadania nie wchodzi w grę. Chyba, że chcemy mieć wojnę z pograniczem.

– Racja. Ja bym jednak przycisnął Kamyka...

– Jego zostaw w spokoju. – Maksymilian podniósł do góry palec.

– Ty i twoje sentymenty – wyszczerzył się w uśmiechu Mały. – Coś jeszcze? Muszę niedługo wracać. Ktoś może zacząć coś podejrzewać.

– Co z drugą grupą? – zainteresował się mundurowy. – Kiedy ruszy śladem pierwszej?

– Zająłem się tym. Moi dwaj chłopcy pojechali na rekonesans. To świeżaki, ale mam do nich zaufanie. Są posłuszni, choć nieco narwani. W zasadzie powinni już wrócić...

– Ale jeszcze nie wrócili... – przywódca pokiwał głową. – Jeśli tak dalej pójdzie skończą, się nam ci „twoi” ludzie i zaczniemy werbować

ochotników.

– Te ścierwa? – sapnął Mały. – Nigdy. Wolałbym już wynająć kogoś z Wolnych Ludzi. Niewielu ich zostało i nie sadzę, żeby im się przelewało na przedmieściach. Chętnie najmą się do roboty. Nawet mokrej.

– Nikomu się nie przelewa – skwitował Maksymilian. – Dlaczego akurat oni?

– Bo mają swój honor i swoje ideały. Tak jak my kiedyś. Pamiętasz? Twarz przywódcy Białego Miasta pociemniała z gniewu.

– Przyprawdź mi ją – wysyczał. – Znajdź moją córkę i przyprowadź. Zapłacę każdą cenę.

„Zapłacisz” – pomyślał Mały wstając. „Na pewno zapłacisz”.

Rozdział 2

Starzy znajomi

– Głupia gra. – Szczupła, ciemnowłosa dziewczyna zmrużyła oczy i podrapała się w głowę ozdobioną szczeciną nierówno odrastających włosów. – Nie sposób wygrać.

– Nie jest to łatwe – przyznał Dziaduszką, ustawiając figury na szachownicy. – Ale nie niemożliwe. Przecież ja wygrywam.

– Bo ja przegrywam! – wybuchnęła dziewczyna.

– Panno Kusa – staruszek podniósł palec. – Tutaj liczy się opanowanie i strategia. Tak jak na co dzień.

– Jestem opanowana – wycodziła.

– Właśnie widzę – mruknął Dziaduszką i odsunął szachownicę. – Dość na dzisiaj.

– Nie, chcę jeszcze raz zagrać!

– Dość – mężczyzna wstał i jęknął. – Kręgosłup odmawia mi posłuszeństwa. Nie mogę tak długo siedzieć w jednej pozycji.

Kusa dała prztyczka swojemu królowi, który potoczył się po szachownicy, przewracając inne figury. Dziaduszką skrzywił się, ale nie skomentował zachowania dziewczyny. Początkowo jej obecność go drażniła. Może pojawiła się w nieodpowiednim momencie, a może powierzchowność dzikuski wychowanej wśród miejskich ruin nie przystawała do leśnego schronienia, którego główną zaletą był spokój. Spokój i równowaga. Dziaduszką zawsze starał się postępować według niepisanych zasad, które pozwoliły przetrwać w tym miejscu jemu, żonie i synowi. Przybranemu synowi. Ostatecznie zaakceptował

obecność Kusej w swoim małym królestwie, a nawet na swój sposób ją polubił.

Co innego Babuszka. Natychmiast otoczyła obdartuskę matczyną miłością i przygarnęła pod swoje opiekuńcze skrzydła. Dziaduszka zawsze uważał, że jego żona zbyt ufała obcym. Sam starał się zachować daleko posuniętą ostrożność, nawet w stosunku do niedożywionej brudaski, która być może uratowała życie jego synowi. Polubił ją, ale swoje wiedział.

Dziewczyna interesowała się wszystkim, chociaż szybko się zniechęcała i nudziła. Zachłysnęła się nowym, nieznanym światem. Staruszek starał się jej pomagać i tłumaczyć wszystko, o co zapytała. Nawet cieszył się, że ma nową uczennicę. Jednocześnie obserwował ją i był ostrożny. Przeżył zbyt wiele, by bezgranicznie ufać każdemu spotkanemu człowiekowi. Zwłaszcza dojrzewającej dzikusce.

– Kiedy on wróci? – zapytała niespodziewanie dziewczyna.

– Kto?

– No... Kamyk.

– Ech! – Dziaduszka wzruszył ramionami. – Niedługo.

– A gdzie pojechał?

– Już ci mówiłem. Do starej Zinaidy. To szeptucha.

– A co to jest ta szeptucha?

– Taka – zastanowił się przez chwilę – znachorka. Uzdrowicielka.

– Aha. A jak się zgubi?

– Raczej się nie zgubi. Zna te pustkowia jak własną kieszeń. Zresztą pojechał ze Szczurkiem.

– A jeśli się zgubią? – drążyła temat. – Będziemy ich szukać?

– Nie zgubią się. Kamyk... On zawsze wracał. Raz było lepiej, raz gorzej. Często znikał na wiele dni, ale taki już był. Zawsze coś go gnało w świat, w nieznanie. Czasami dostawał mocno po głowie, czasami nie mógł wytrzeźwieć przez kilka dni. Ale wiedział, że ma dokąd wrócić.

– Szczęściarz z niego. Ja nie mam nikogo. Nigdy nie poznałam swoich rodziców.

– To dlatego jesteś taka...

– Jaka? – zadarła głowę i spojrzała staruszkowi prosto w oczy.

– Harda. I zawsze chodzisz swoimi ścieżkami, prawda?

– To trochę tak jak on.

– Eee – potrząsnął głową Dziaduszka. – Oboje jesteście siebie warci.

Jestem na ogół spokojny, ale tamtego dnia... Kiedy Lena się obudziła, kiedy przyszli ci w czarnych mundurach, poczułem ból w sercu. W duszy, gdzieś wewnątrz mnie, wszystko się zatrzęsło, bo intruz wtargnął do najbezpieczniejszego miejsca na świecie i zniszczył coś liczącego się dla mnie i Babuszki – nienaruszalność tych murów. Wy szukacie przygód, rozrywek i awantury. My pragniemy ciszy. Przez wiele lat tworzyliśmy sobie tutaj bastion, który został zburzony w pięć minut. Ktoś bezceremonialnie wlaź z butami w nasz ogródek i zdeptał grządki. To wyprowadziło mnie z równowagi. To mnie wkurzyło nie na żarty. Nie obraź się, ale widok dzikuski podtrzymującej zakrwawionego... Ech, nie jest to obraz, jaki chciałbym kiedykolwiek oglądać. Mniejsza o to. A te... osoby kryjące się w wokół naszego schronienia, które za sobą przywlekliście? Jeśli o mnie chodzi, to...

– Skończyłeś? – przerwała mu Babuszka, która pojawiła się niespodziewanie w drzwiach. – Myślisz, że jest jej przyjemnie słuchać twoich żalów? Chodź ze mną, moje dziecko. Zrobimy coś do jedzenia. A ty, mój drogi, zajmij się czymś pożytecznym.

Kusa wstała i posłusznie poszła za kobietą, a Dziaduszka westchnął i włożył do ust skręta.

– Tu się nie pali – usłyszał głos Babuszki z korytarza. – To JEJ pokój. Zresztą ten tytoń strasznie śmierdzi. Idź na zewnątrz.

– Żeby człowiek nie mógł we własnym domu... – Staruszek pokręcił głową i podreptał w kierunku klatki schodowej. – Babska ich mać.

– Słyszałam – dobiegł go głos żony. – Wszystko słyszałam.

Kiedy zatrzaskał za sobą drzwi, Babuszka podkręciła żaluzje, wpuszczając więcej światła do kuchni. Zastygła na moment, jakby wypatrując czegoś skrytego w lesie.

– Boję się ich – powiedziała w końcu. – Mój mąż także obawia się ich obecności w tym miejscu. Te istoty są obce i straszne.

– Nie są szkodliwi – wyjaśniła Kusa. – To znaczy... Nie zawsze... Wydaje mi się, że oni są jakby naszymi strażnikami.

– Naszymi? Czy jego?

– No...

– Zrobimy kanapki – zmieniła temat kobieta. – Zaniesiesz je później mojemu mężowi?

– Aha.

– Pokrój ogórki.
– A co to jest?
– Te zielone, podłużne. Własnoręcznie uprawiałam, własnoręcznie zbierałam. U was, tam w mieście, nie ma ogórków?
– Jest coś podobnego. Ludzie hodują to na balkonach i dachach. Smakuje toto jak gówno...
– Hmm – chrząknęła z dezaprobatą Babuszka.
– A... Przepraszam. – Kusa uśmiechnęła się sztucznie. – Tak mi się powiedziało.
– Moje dziecko – kobieta dotknęła ramienia dziewczyny – twój świat jest okrutny i dziki.
– Takie życie – wzruszyła ramionami. – Innego nie znam.
– Co nie znaczy, że nie istnieje. Może kiedyś wróci normalność... – westchnęła. – Weź ten nóż. Tylko nie obetnij sobie palca. Mój mąż go ostrzył, a to oznacza... – urwała, ponownie skupiając uwagę na czymś widocznym z okna.
– Co jest? – zainteresowała się dziewczyna, próbując zajrzeć jej przez ramię.
– Ktoś jedzie – odpowiedziała w końcu Babuszka.
Ale Kusej już nie było w pomieszczeniu. Chwyła zdobyczny MP5, stojący w rogu kuchni i popędziła na złamanie karku przez zimną, betonową klatkę schodową, przeskakując po dwa stopnie naraz. Wypadła na dziedziniec, przeładowując broń.
Dziaduszka też usłyszał warkot zbliżającego się pojazdu i przysiadł na masce gruchota, w którym zwykle popalał swoją machorkę. Z zainteresowaniem obserwował dziewczynę, która ścisnęła w dłoniach karabinek i przestępowała z nogi na nogę, rozglądając się nerwowo.
– Trzeba zaryglować bramę – powiedziała.
– Spokojnie. To tylko Szczurek.
– Skąd wiesz... – zająknęła się, słysząc znaczące chrząknięcie staruszka. – Skąd pan wie?
– Tego rzęcha słyhać na kilometr. A tylko jeden pojazd w okolicy wydaje takie dźwięki i jest nim Szczurowóz.
– Wrócili.
– No.
Rzeczywiście, po kilku minutach w bramie pojawił się niemiłosiernie zardzewiały pickup z sylwetką szczura wymalowaną na masce. Ledwie

widoczne litery układały się w napis: „dezynfekcja, dezynsekcja, deratyzacja”. Kusa nie umiała czytać, więc te znaki nic jej nie mówiły, zresztą i tak nie znała ich znaczenia. Auto zatrzymało się, a towarzysząca mu chmura gryzącego dymu z rury wydechowej na moment przesłoniła sylwetkę pojazdu. Szczurek wygramolił się zza kierownicy i, odgarniając rękami spaliny, pokuśtykał w kierunku Dziaduszki, obojętnie mijając dziewczynę.

– Wróciliśmy – poinformował, sięgając po papierosa zaoferowanego przez staruszkę.

– Widzę – uniósł brwi Dziaduszka. – Chyba nie jest w najlepszym stanie. Czy Zinaida...?

Przerwało mu zgrzytnięcie zawiasów w drzwiach Szczurowozu. Resory auta jęknęły, kiedy wygramolił się z niego mężczyzna w zniszczonej skórzanej kurtce motocyklowej i wytartych dżinsach. Długie, przetłuszczone włosy, zachmurzona twarz i wory pod oczami świadczyły o zmęczeniu wywołanym nie tylko raną postrzałową i ostatnimi wydarzeniami. Dziaduszka dostrzegł pustkę i zniechęcenie, jakie niemal biło od jego przybranego syna.

– Ciągłe o niej myśli, prawda? – szepnął starzec, a Szczurek w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Może mnie zadasz to pytanie, ojczulku? – zachrypnięty głos Kamyka na chwilę wprawił w osłupienie całą trójkę. – Pośrednicy nie są potrzebni, a ze słuchem u mnie całkiem nieźle.

– Owszem – powoli skinął głową Dziaduszka – musimy porozmawiać. Ale nie tutaj.

Kamyk z dziwnym uśmiechem błakającym się na zmęczonej twarzy obserwował staruszkę dziarsko maszerującego w stronę budynku pełniącego funkcję ich domu. Po dłuższej chwili ruszył w tym samym kierunku, kątem oka dostrzegając Kusę, zamierzającą najwyraźniej towarzyszyć obu mężczyznom.

– A ty dokąd? – Jego głos sprawił, że dziewczyna zamarła w pół kroku.

– Myślałam...

– Źle myślałaś – warknął i niechętnie pomaszerował ku wysokiemu budynkowi, trzymając się za zraniony bark.

Chłodne wnętrze klatki schodowej sprawiło, że poczuł się lepiej. Osłabiony organizm źle znosił upał, nadmierny wysiłek fizyczny

i wszelkie pozostałe zbędne czynności niesprzyjające odpoczynkowi. Lenistwo i „nicnierobienie” były najlepszymi lekarstwami, które w połączeniu z kuracją szeptuchy powinny pomóc w powrocie do zdrowia. Mozolna wędrówka po zimnych stopniach nie napawała Kamyka otuchą, raczej wielką niechęcią do tego miejsca. W szczególności obawiał się wizyty w tym jednym pokoiku, który teraz porażał go swoją pustką.

Kiedy dotarł na trzecie piętro, które zostało przerobione na mieszkanie, dostrzegł Babuszkę, stojącą w wejściu. Cmoknął ją w czoło, ale kobieta nie zeszła mu z drogi. Pokręciła głową i wskazała palcem w górę – na poddasze, gdzie Dziaduszka urządził sobie samotnię. Samotnię wyposażoną w milczącą radiostację. Wzruszył ramionami i postawił stopę na metalowej drabince przykrytej do ściany, a prowadzącej do niewielkiej kłapy w stropie. Sapiąc, z trudem wdrapał się po tej konstrukcji i pchnął właz. Naoliwione zawiasy obróciły się bezgłośnie, wpuszczając Kamyka do pustelni starego człowieka. Strych ciągnął się przez całą długość budynku i jedynym sprzętem, który przełamywał pustkę pomieszczenia było biurko ustawione pod oknem szczytowym po drugiej stronie poddasza. Jego blat zajmowały metalowe skrzynki z dziesiątkami pokręteł i przewodów oraz gruszką mikrofonu. Radiostacja była chlubą Dziaduszki, który poświęcił wiele godzin na studiowanie instrukcji i podręczników krótkofalarskich. Zamontował też własnoręcznie skonstruowaną „dopałkę”, zwiększającą zasięg radia. Staruszek siedział teraz na koślawym krześle i kręcił gałkami, uparcie wpatrując się w milczący głośnik.

- Odezwał się ktoś? – głupio zapytał Kamyk.
- Siadaj – rozkazał staruszek i wyłączył urządzenie.
- Gdzie? Tutaj nie ma drugiego krzesła.
- Po prostu usiądź, do kurwy nędzy.

Kamyk zamarł. Po raz pierwszy usłyszał przekleństwo z ust przybranego ojca. Podejrzewał, że Dziaduszka zaklął ten jedyny raz w życiu, ale posłusznie usiadł na belce stropowej.

- Zamieniam się w słuch.
- Mam tylko jedno pytanie. Co ty, do cholery, wyprawiasz?
- O co ci chodzi, ojczulku?
- Kamil!

– Brakuje mi jej – warknął. – To wszystko. Wiesz, jak to jest, kiedy tracisz kogoś bliskiego?

– Wiem. Razem z Babuszką traciliśmy cię zbyt często, ty durniu.

– Ale wracałem. Zawsze wracałem. Lena ... – głos mu się załamał.

– Co Lena?

Kamyk skrył twarz w dłoniach, a jego ramiona zadrżały jak u płaczącego dziecka.

– Nie potrafię cię rozgryźć. – Pokręcił głową staruszek. – W jednej chwili wariujesz, chcesz za nią jechać, błąkać się po pustkowiach. W następnej poddajesz się, jesteś gotów pochować ją nawet nie wiedząc... Ech... Mówiłeś, że ci w maskach, których za sobą przyciągnąłeś, będą jej szukać.

– Bo tak mi się wydawało – szepnął. – Ale nie potrafię z nimi rozmawiać... w myślach. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, czy dotarł do nich sens wypowiedzianych słów.

– Przecież większość odeszła. Może zrozumieli...

– Taaa... Zostało dwóch. Na straży. Lena nie powinna odejść dalej niż na kilometr. Nieużywane mięśnie zanikają. Nie pamiętasz, jak uczyliśmy się utrzymywać ją w jako takiej formie? Nie pamiętasz, co wyczytaliśmy w podręcznikach z tej twojej biblioteczki? Nie rozumiem, jakim cudem w ogóle wstała, w jaki sposób się obudziła. Nie mieści mi się to w głowie.

– A ten ruski doktor? Dał jej jakąś szprycę, może to ją wzmocniło.

– Nie na tyle. – Pokręcił głową Kamyk. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Wyglądasz nie najlepiej – westchnął Dziaduszek. – Powinieneś odpocząć. Przestać o tym wszystkim myśleć chociaż na chwilę. Jest mało prawdopodobne...

– Co jest mało prawdopodobne? Że zżarła ją jedna z tych bestii grasujących w lasach? Nie ma to jak słowa otuchy.

– Tak czy siak, Lena ma niewielkie szanse na przeżycie. Musisz to brać pod uwagę.

– Przynajmniej jesteś szczery.

– Nie dasz rady przeszukać całego pogranicza. Nawet razem ze Szczurkiem.

– Szczurek – parsknął Kamyk.

– Wiele mu zawdzięczasz. To on znalazł ciebie i dzikuskę. Na

piechotę nigdy byście tutaj nie dotarli. Ty straciłbyś przytomność, dziewczucha spanikowałaby już pierwszej nocy spędzonej w lesie. Tak to widzę.

– Źle się stało, że Cierń nie dotarł tutaj, zanim Lena zniknęła. Odbicie jej z Białego Miasta byłoby łatwiejsze...

– Białe Miasto cię w końcu zabije. Zresztą... Nie jest pewne, czy ten Cierń szukał właśnie Leny. Może chodziło mu o kogoś innego?

– Jeśli znalazł ją ktoś inny... – Zdawał się nie słyszeć słów dziadka. – Któryś z przemytników... Sprzedałby ją... Zrobiliby z niej dziwkę. Gwałciłiby ją bez końca, aż błagałaby o śmierć. Kiedy już zostałaby wykorzystana jako kobieta...

– Masz gorączkę, mój synu. – Dziaduszka dotknął rozpalonego czoła Kamyka. – Twoja rana na pewno się zaogniła. Myślę, że nawet antybiotyk w postaci alkoholu spożywanego doustnie nie pomoże. Czas odpocząć.

– Nie, nie. Nie pozwolę, żeby skończyła w bajzlu albo innej zawszonej dziurze. Muszę jej szukać. – Zerwał się, ale nogi ugięły się pod nim i upadł na podłogę, ciężko dysząc. – Muszę ją odnaleźć.

– Jedyne, co musisz w tej chwili zrobić, mój chłopcze – westchnął staruszek – to położyć się do łóżka. I to natychmiast.

* * *

Jej dotknięcie poczuł od razu.

Ogień trawiący odnawiającą się ranę na ramieniu powoli ustępował, głównie za sprawą okładu z mieszanki ziół polecanej przez szeptuchę. Mimo to gorączka, obejmująca całe ciało sprawiała, że tkwił w malignie sennej pełnej pokracyjnych, podobnych do zjaw postaci w maskach przeciwgazowych i kombinezonach OP-1 grasujących po Białym Mieście, mordujących jego mieszkańców. Dowodziła nimi demoniczna dziewczyna w brudnym, szpitalnym kaftanie, przechadzająca się pokrytymi krwią uliczkami. Kamyk ukryty w jednej ze zrujnowanych piwniczek obserwował rzeź, kiedy przywódczyni oprawców zatrzymała się, odwróciła głowę i spojrzała wprost na niego. Wyraźnie dostrzegł oczy błyszczące między skołtunionymi włosami. Sparaliżowany strachem tkwił między filarem i na wpół zawaloną ścianą, aż dopadli

go zamaskowani intruzi i wywlekli na zewnątrz, gdzie już czekała ich pani. Zacisnął powieki, czekając na jej dotyk. Wtedy poczuł znajomy zapach, muśnięcie włosów na twarzy. Z trudem uniósł rękę i dotknął drobnej, kobiecej dłoni. Czy to mogła być Lena?

Swój błąd zrozumiał od razu. To nie była dłoń Leny. To nie Jasnowłosa była obok niego, to nie ona czekała, aż odzyska świadomość, aż wyrwie się z koszmaru.

Odwrócił rękę, chwycił szczupłe przedramię i błyskawicznie szarpnął. Jednocześnie drugą rękę zamknął na szyi intruza i ześlizgując się z fotela, na którym spał, opadł na przeciwnika, wbijając kolano w jego klatkę piersiową i przygniatając go do podłogi. Jakaś piąstka zaczęła go bić po twarzy. Czyjeś nogi wierzgały, próbując go zrzucić, zepchnąć. Ktoś piszczał jak dziewczyna, jak łapiąca ostatni oddech dziewczyna. Oprzytomniał w jednej chwili. Oderwał palce miażdżące gardło Kusej i podniósł rękę.

– Przepraszam – szepnął.

– Kurwa – jęknęła, jedną ręką dotykając krtani, a drugą spychając jego kolano z piersi.

– Szlag... Wzięłem cię za kogoś innego...

– Mogłeś mnie... Co się z tobą dzieje?

– Będiesz miała nauczkę – warknął i ponownie zajął miejsce na fotelu. – Nie trzeba było się skradać.

– Ja tylko chciałam sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku. Babuszka mnie o to prosiła. Kurwa mać! O mało nie zmiażdżyłeś mi... Jak to się nazywa?

– Krtień.

– Co za człowiek. W dodatku, jak wbiłeś mi kolano w cycki to myślałam, że się posikam. Wyluzuj trochę.

– Wyluzuj – mruknął. – Może kiedyś spróbuję.

– Cholera – zakaszłała. – Pewnie zostaną siniaki.

– Do wesela się zagoi.

– Do czego?

– Nieważne.

– Aha! – Usiadła przed nim, masując obolałe gardło.

– Długo spałem?

– Całą noc i pół dnia. Mamy południe. Jak z tobą? Lepiej?

– Tak jakby – odpowiedział i spojrzał na nią z uwagą. – Czego

właściwie chcesz?

– Zagrać.

– W szachy?

– Szachy są trudne i nudne. Wolę to. – Pokazała talię kart.

– Skąd to masz?

– Od Dziaduszki.

– O co zagramy?

– Może... O mnie? – wyszczerzyła zęby.

– Znam gości, którzy by się zgodzili na taką stawkę. Oczywiście ograbiliby cię bez mrugnięcia okiem.

– Hmm, właściwie to chciałam z tobą poćwiczyć.

– Co poćwiczyć, dziewczyno? – zainteresował się.

– Odgadywanie znaków na kartach – wyjaśniła, czerwieniąc się. –

A co myślałeś? Ja patrzę na kartę, a ty odczytujesz w moich myślach...

– To głupota. Nie widzę sensu w takiej zabawie.

– A Łapiduchy? A Hycle? Z nimi tak rozmawiałeś. W myślach.

Zapominałeś już?

– Nie.

– No dalej. Tylko raz.

– Niech będzie. Tylko raz. Bierz kartę.

– W porządku. Niech będzie ta. – Kusa wyciągnęła pomięty kartonik.

– As kier – mruknął Kamyk.

– Eeee...

– Czerwone serce i literka A – wyjaśnił znudzonym głosem.

– Zgadza się! – Dziewczyna z osłupieniem patrzyła na kartę. – Teraz kolejna. Co tym razem?

– Nie wiem.

– Jak to? Pierwszą odgadłeś bezbłędnie.

– Mylisz się – uśmiechnął się. – Znam tę talię na pamięć. Tylko as kier jest tak wymięty i ma pozałamywane rogi.

– Ach, ty... – krzyknęła i rzuciła w niego kartami.

Nie zareagował, kiedy obsypał go deszcz kolorowych kartoników. Wstał i wskazał głową drzwi.

– To jest pokój Leny. Nie ma w nim miejsca dla innej kobiety. Uszanuj to.

– Ale z ciebie dupek – wycedziła i wyszła.

Usłyszał jej kroki dudniące na klatce schodowej i trzaśnięcie

drzwiami. Nie przejął się zbyt fochami dziewczyny. Opadł na kolana i zaczął zbierać karty. Naraz usłyszał skrzypnięcie deski w podłodze.

– Ona miała rację – pokiwał głową Dziaduszka. – Straszny z ciebie dupek.

– Podśluchiwałeś? Nieładnie.

– A ty wprawdzie poczułeś się lepiej, ale nie zmądrzałeś ani o jotę.

Kamykowi cisnęła się na usta cięta riposta, ale seria z karabinu maszynowego oddana gdzieś niedaleko sprawiła, że spojrzał na staruszkę zdezorientowany.

– Głupia smarkula – skwitował i przypadł do okna.

Kusa stała samotnie na dziedzińcu przed budynkiem i rozglądała się bezradnie. Jakby wyczuwając wzrok Kamyka, odwróciła się i spojrzała prosto w okno, w którym wyraźnie odznaczała się jego sylwetka. Stojący obok dziewczyny Szczurek właśnie obmacywał kieszenie, prawdopodobnie w poszukiwaniu granatu.

– To chyba nie ona strzelała. – Dziaduszka osłonił oczy dłonią i wpatrywał się w jakiś punkt widoczny w oddali – tylko tamci.

Na leśnym trakcie właśnie pojawiła się półciężarówka, w której było coś znajomego. Tego kształtu nadwozia, pomalowanego w maskujące pustynne łaty, nie można było pomylić z innym autem z tej prostej przyczyny, że zbliżający się wehikuł istniał tylko w jednym egzemplarzu. Jego twórcą był Kamyk, który natychmiast rozpoznał swój samochód.

– Gdzie masz broń?

– Jaką broń? – zdziwił się staruszek.

– Ten stary karabin, który ci przywiózł Szczurek.

– A, ten zabytkowy rosyjski SWD? Wyczyszczony i naoliwiony leży w szafie.

– Będzie mi potrzebny.

– Teraz?

– Tak.

Dziaduszka wybiegł z pokoju niespodziewanie szybko jak na swoje lata, a Kamyk obserwował nadjeżdżające auto. Kolejna seria z karabinu puszczona przez kogoś z wnętrza półciężarówki trafiła jednego z Hycli, próbującego zatrzymać pojazd. Po chwili kolejna postać w kombinezonie OP-1 padła naszpikowana pociskami, a wehikuł bez przeszkód dotarł do bramy. Jego kierowca wysiadł

i podniósł do góry ręce, pokazując, że nie ma złych zamiarów.

– Broń zostawiamy w aucie – krzyknął.

Zanim Kamyk przyłożył oko do lunety karabinu przyniesionego właśnie przez Dziaduszkę, już wiedział, kto odwiedził leśne schronienie.

Kusa ulokowała się na szczycie ogrodzenia i trzymała na muszce nieproszonych gości, a Szczurek bawił się karbowaną bańką, będącą najwyraźniej granatem przeciwpiechotnym.

– Nie bierzemy ze sobą broni – powtórzył przybysz z charakterystyczną długą, kruczoczną brodę i wygoloną za zero głową.

– Bardzo słusznie. Nie sędzę, żebym cię wpuścił choćby z gwoździem w kieszeni – krzyknął Kamyk. – Nie ruszaj się. Schodzę.

Przystanął na klatce schodowej, próbując uspokoić myśli, krążące w jego głowie. Odetchnął głębiej i wyszedł na zalany słońcem dziedziniec. Uchylił furtkę w bramie i przez szczelinę wysunął lufę.

– Co tu robisz, Przepiór?

– Przyjechałem w interesach – olbrzym skinął głową na powitanie. – Kopę lat.

– Nie jestem pewien, czy jesteś tu mile widziany. Ostatnimi czasy nasza przyjaźń została wystawiona na próbę. Mam trochę pytań, na które możesz nie zechcieć udzielić mi odpowiedzi. Przyjeżdżanie tutaj było ryzykowne, żeby nie powiedzieć głupie.

– Twoje odwiedziny w moim squacie były ryzykowne. Wizyta w Białym Mieście była ryzykowna. A tutaj? Co może mi grozić tutaj?

– Na przykład kulka w łeb – warknęła Kusa, ale Kamyk spiorunował ją wzrokiem.

– Kto z tobą przyjechał? Kto jeszcze siedzi w moim aucie?

– Człowiek, który chciałby zamienić z tobą dwa słowa.

– No to wysiadka. Poznajmy go.

Drzwi po stronie pasażera otworzyły się. Z samochodu wysiadł mężczyzna, który powolnym ruchem ręki położył na dachu pistolet. Wytartą rękojęść i kształt lufy Kamyk zidentyfikował natychmiast. Wesoły Przyjacieli!

– Chciałem oddać twoją własność – powiedział gość. – Pasuje do ciebie bardziej, niż ta fuzja.

– Bardzo powoli położy się na ziemi, Cierń – wycedził Kamyk. – Bardzo

powoli. Z radością strzełę ci między oczy. Ale najpierw odpowiesz na kilka pytań.

Rozdział 3

Nazywam się Benner, Major Benner

Major Krzysztof Benner wpatrywał się w szary punkt na betonowej ścianie, obok której stało jego metalowe kojo, i przeklinał w duchu. Obudził się jakąś godzinę wcześniej. Rytmiczne bębnienie kropel deszczu o zardzewiały blaszany parapet wyrwało go ze snu. Ostatnio coraz rzadziej pozwalał sobie na długi odpoczynek, a tu jeszcze ten pieprzony poranny deszcz... Zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że opad nie przerodzi się w trwającą kilka dni ulewę, która wprawdzie użyźni wyjałowioną glebę, ale wymyje przy okazji drogi i zasadzone uprawy. Owoce i warzywa, rodzące się w niewielkich ogródkach, były nie tylko urozmaiceniem chudej diety, ale w obliczu odradzającego się życia nabierały zupełnie innego wymiaru. Karłowate drzewka wypuszczające zielone listki stawały się niemal obiektem kultu. Benner rozumiał takie podejście do przyrody, która do niedawna jedynie odstraszała i kasała. Rozumiał też kaprysy planety, ale ich nie akceptował. Zbyt długo mieszkał w betonowym bunkrze, żrąc żelazne racje żywnościowe, by znów cierpieć przez kapryśną pogodę wywołującą niesamowity ból kolan i stawów skokowych. W pewnym momencie zrozumiał, że nie jest już młodzieniaszkiem, że sypie się pomimo regularnego katowania ciała na siłowni i wyczerpujących przebieżek wokół miejsca, w którym przyszło mu trwonić życie. Gdyby tylko zechciało mu się wstać i wyjrzeć przez szparę w deskach zabezpieczających okno, dostrzegłby

skąpane w deszczu kształty budynków kompleksu wyłaniające się z szarości świtu.

Nie zamierzał jednak wstawać, rozkład poszczególnych obiektów znał na pamięć. Zamknął oczy i przywołał obraz zespołu zaniedbanych budowli, w większości pozbawionych okien i dachów, które zniszczały i zapadły się do środka. Za jego plecami znajdowały się cztery bloki – typowe wojskowe koszarowce z okresu zimnej wojny. Po przekształceniu obiektu będącego niegdyś jednostką wojskową w zakład karny, otoczono je dodatkowym murem i osadzono skazańców. Tuż obok straszyły ruiny dawnej kuchni i stołówki. Nieco dalej zlokalizowano infrastrukturę towarzyszącą: warsztaty naprawcze, magazyny żywności i amunicji, hydrofornię, izbę chorych. Cały kompleks, ulokowany w środku lasu, został wybudowany na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku, a następnie zapełniony żołnierzami – wówczas jeszcze z powszechnego poboru. Szeregowi mieli dobre kilka kilometrów do najbliższej wioski Czerwony Bór, której nazwa przyjęła się jako określenie schowanej w lesie jednostki o kodzie wojskowym JW 3466.

Nowoczesny, jak na tamte lata, kompleks stanowił jedynie wspomnienie dawnej świetności. Obecnie był niemal doszczętnie zrujnowany. Najlepiej zachował się budynek dawnego sztabu dowództwa jednostki, który aktualnie był domem, główną siedzibą i ewentualnym ostatnim punktem oporu mieszkańców tej tajemniczej agendy byłego Ludowego Wojska Polskiego. Tajemniczej, bo pod bryłą budynku sztabu krył się trypoziomowy podziemny zespół schronów, będący jednym z kilku punktów tak zwanego „cywilnego dowództwa obrony kraju na wypadek wojny”. To właśnie tutaj mógł się ewakuować rząd, gdyby doszło do zmasowanego ataku na kraj, w tym także nuklearnego. Wszystko to było reliktem przeszłości, pozostałością po starych czasach, które w porównaniu z apokalipsą po Rozbłysku wydawały się rajem. Zimna wojna – przyczyna powstania jednostki w Czerwonym Borze – z perspektywy teraźniejszej podobna była bardziej do zabawy w piaskownicy.

Major Benner otworzył oczy i ponownie wbił wzrok w skąpaną w półmroku ścianę, pokrytą łatami odpadającego tynku. Od wielu lat, zaraz po przebudzeniu gapił się w ten sam punkt. Szary i milczący. Kiedy słońce wznosiło się wyżej nad horyzont, przez szczeliny

w deskach chroniących okna wpadało trochę więcej światła, które wyławiało fakturę chropowatej ściany, tańczyło na nierównościach tynku. Zdawał sobie sprawę, że jego koledzy poprzyklejali w podobnych miejscach zdjęcia swoich dziewczyn, żon czy dzieci. Prawdopodobieństwo zobaczenia ich kiedykolwiek równe było zeru, dlatego Benner wpatrywał się w pustą ścianę. Zresztą... Czyje zdjęcie miałoby tam być?

Zakochał się tylko raz. W dziewczynie, której imienia nawet nie znał. W dodatku miała męża. Siedział wtedy na zewnątrz jednej z warszawskich kafejek i mimowolnie obserwował, jak kłóciła się z ze swoim starym, jakiś metr od niego. Kiedy mężczyzna brutalnie popchnął dziewczynę, zrozumiał, że ten gnojek na co dzień tłucze swoją żonę. Mażeńskie kłótnie lub dyskusje wyglądają różnie. Czasami ludzie szarpią się z miłości, a czasami z nienawiści. Małżeństwo jakich wiele – pomyślałby ktoś. Pewnie niedługo się rozwiodą. Jeszcze jest czas, dzieci nie ucierpią, bo ich nie ma. Jest za to konkretny kredyt w konkretnym banku. Rozmowa jakich wiele, zakończenie jakich wiele. Benner był ciekaw, jak dobrze kobieta zamaskowała podbite tego ranka oko. Oczywiście, zawsze mógł się mylić. I właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że dziewczyna zamierza zrobić coś głupiego.

Stała na środku chodnika, potrącana ramionami klnących przechodniów, ale nie zwracała najmniejszej uwagi na otoczenie. Jej mąż gdzieś zniknął. Może to i lepiej, bo Benner mógłby nie wytrzymać i przeciągnąć gościa po krawężniku. Czekał na jej ruch. Wyciągnął rękę i chwycił ją za łokieć, kiedy ruszyła wprost pod nadjeżdżający autobus komunikacji miejskiej. Bezceremonialnie pociągnął, zmuszając dziewczynę, by usiadła na krzeselku. Przez moment patrzyła na niego zdezorientowana.

– Mogę się przysiąc? – spytała.

Poczuł się głupio wzruszył więc ramionami.

– Jak pan ma na imię?

– Krzysiek – mruknął, zastanawiając się, czy powinien je zdradzać nieznajomej.

– Dziękuję, ja... Zamyśliłam się... Jeszcze raz dziękuję.

– Niby za co?

– Wydawało mi się... – zawahała się na moment. – Nieważne.

– Pani mówiła, że jak się nazywa?

– Niczego takiego nie mówiłam – uśmiechnęła się smutno.

– Ogólnie to należałoby myśleć tylko w wolnych chwilach, a nie na ulicy. Nie żebym był z tych, co to uważają, że myślenie boli. Bola skutki błędnych decyzji, podejmowanych pod wpływem chwili. Chwili krótszej niż potrzeba do właściwego przemyślenia... Chyba zaczynam bredzić.

– Nie, skąd – zaprotestowała. – To bardzo pouczające. W ogóle jesteś taki elokwentny.

– Elokwentny? Skoro tak sądzisz. Zaprosiłbym cię na kawę...

– Co stoi na przeszkodzie? Masz ogień?

– Nie palę.

– Ja też właśnie rzuciłam – szepnęła.

– Niezauważalnie przeszliśmy na bliższą formę komunikowania się.

Z pan, pani na ja, ty. Zauważyłaś?

– Jakiś ty mądry – uśmiechnęła się. – A umiesz kłamać?

– Umiem.

– Szkoda.

Przez chwilę milczeli.

– Muszę iść – powiedziała wreszcie. – Mój dom pachnie pustką i nicością, ale innego nie mam. A jak pachnie twój?

– Nigdy nie wahałem. Zamierzasz dziś wrócić do męża?

– Czym się zajmujesz? – zmieniła temat.

– Różnymi rzeczami. A ty?

– Jestem psychologiem.

– Poważnie?

Roześmiała się głośno.

– Trochę to nie pasuję do... tego wszystkiego, prawda? Tak w ogóle to chciałabym wyjechać.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek. Do Argentyny, na przykład.

– Dlaczego akurat tam?

– Bo ja wiem? Mogą być Bieszczady. Byle dalej od tego...

– Smrodu?

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. Zauważył, że zmieniły kolor. Wydawało mu się, że były niebieskie. Teraz wpadały w zieleń.

– Dobrze powiedziałaś. Smrodu. Obiecuj mi...

- Co takiego? – zdziwił się.
- Że pozostaniesz sobą do końca.
- Do końca czego?
- Do końca świata.
- Myślisz, że nastąpi?
- Sądzę, że właśnie trwa.
- Świat czy jego koniec? – pokręcił głową.
- A jak wolisz?
- Spotkamy się jeszcze? Może...
- Chcesz mój numer?
- Dasz mi?
- Oczywiście.
- Kłamiesz.
- Tak, kłamię – uśmiechnęła się smutno. – Jak zawsze.

Benner nie spotkał jej nigdy więcej. Nie zdążył. Wiele razy zastanawiał się, jak dalej potoczyło się jej życie. Czy przetrwała dłużej niż te kilka tygodni po apokalipsie. Rozbłysk zabrał wiele istnień, pokrzyżował plany mnóstwa ludzi.

Major westchnął i przeciągnął się. Trzasnęły stawy, stare metalowe wojskowe łóżko zaprotestowało, skrzypiąc niemiłosiernie, a on zastygł na moment z wyciągniętymi kończynami. Rozkoszował się chwilę reakcją mięśni i ścięgien, po czym usiadł i rozmasował sobie skronie. Czuł zmęczenie, bo krótki sen nie był w stanie zapewnić ciała wystarczającego odpoczynku. Marzył, by w końcu położyć się w dużym i wygodnym łóżku, wyspać się za wszystkie czasy i nie wstawać razem ze słońcem. Od dziesięciu lat on i jego ludzie nie musieli się już kisić w betonowych klitkach, kilkanaście metrów pod powierzchnią nękaną promieniowaniem ziemi. Od dziesięciu lat nie musieli sobie wyobrażać, jak może wyglądać w miarę normalny poranek i w miarę normalny zmierzch. Mimo to Benner wciąż narzekał. Wprawdzie robił to w duchu, przez cały czas, trzymając fason i postawę twardego wojaka, ale sarkanie i bezgłośnie przekleństwa weszły mu w krew.

Pojedyncze uderzenie pięścią w zdezelowane drzwi ze sklejkki wyrwało go z zadumy.

- No? – mruknął. – Co tam?
- Pobudka – usłyszał głos Ostrej.
- Czego chcesz?

– Mogę wejść?
– Przecie nie jest zamknięte.
Drzwi uchyliły się, wpuszczając do klitki nieco światła z korytarza.
– Idziesz na odprawę?
– Jest za wcześnie. Jeszcze czas. Mamy co najmniej godzinę.
– Kurwa, ten zawsze ma czas.
– Weź spadaj.
– Miałam nadzieję, że zaprosisz mnie na śniadanie.
– Nie jadam śniadań – stęknął, schylając się i wbijając stopy w wysłużone wojskowe buty.
– Czy ty nigdy nie zdejmujesz tego munduru?
– Zdejmuję.
– Ale nie do spania.
– Do kąpeli na przykład... W kiblu też mi się zdarza zdjąć gacie.
Usłyszał pełne dezaprobaty westchnienie i kiedy podniósł wzrok już jej nie było.

„Dzięki Bogu” – pomyślał.

Kobiety w wojsku może i łagodziły obyczaje, ale elitarne jednostki wymagały stuprocentowego poświęcenia. Ostra sprawdzała się wystarczająco często. Zarówno podczas walki, jak i przy nielicznych, ale zakrapianych domowej roboty gorzałą imprezach. Ta z wojskowych zapasów skończyła się dawno temu. Ostra pozostawała jednak kobietą. Silnie zbudowaną i wygoloną na zero, ale jednak kobietą. A major Benner nie ufał kobietom w mundurach. Zwłaszcza rudowłosym. Dla niego wojsko czy inne mundurowe formacje były synonimem twardziela, nie twardzielki. I te spostrzeżenia zachowywał dla siebie. Chociaż, może w końcu powinien zacząć z kimś rozmawiać, tak od serca. Może z Ostrą? Szybko odgonił ten durny pomysł. Plotki krążące wśród załogi dawno temu, bo jeszcze podczas pobytu w betonowym kompleksie, połączyły tę dwójkę gorącym romanssem, który charakteryzował się przede wszystkim pełnymi wyuzdania i perwersji stosunkami seksualnymi. Przynajmniej tak słyszał Benner, ale nie za bardzo potrafił sobie wyobrazić, gdzie i kiedy miałyby uprawiać seks z Ostrą. Kobieta jednak najwyraźniej była zadowolona z krążących po jednostce opowieści. Major zawsze uważał, że brakuje jej kilku klepek, chociaż mógł na nią liczyć. Szczególnie sprawdzała się podczas wymiany ognia z awanturnikami, chętnymi do zdobycia

obwarowanej jednostki i jej zapasów, zapasów, o których ponoć krążyły legendy.

„Jeden wyjątek potwierdza tylko regułę” – pomyślał. „Baby nie nadają się do woja”.

Wstał i domknął drzwi, po czym, nie zdejmując butów, ponownie rzucił się na łóżko. Przywołał jeszcze na chwilę obraz dziewczyny i ściągnął brwi. Wzruszył ramionami i odwrócił głowę w stronę okna. Zamknął oczy. Chciał przez chwilę pomyśleć, ale szybko zapadł w drzemkę. Tak sypiało mu się najlepiej – w butach, pełnym umundurowaniu i gotowości.

Obudziło go szturchnięcie w ramię. Gwałtownie otworzył oczy, wyszarpując jednocześnie nóż z pochwy przytroczonej do wojskowego pasa.

– Może byś tak ruszył dupę?! – Ujrzał nad sobą błyszczącą złowieszczo łysą głowę Ostrej. – Mamy stan alarmowy. Zauważono następnych amatorów zabawy w wojnę.

– O świcie? Co oni, zdurnieli? Atakować o tej porze?

– Ja idę sprawdzić wartę na tyłach. Zajmiesz się główną bramą?

– Idę – sapnął, chwytając MP5 stojący koło koja. – Idę.

Zbiegł trzy piętra w dół, następując na pięty Ostrej, która pchnęła drzwi wyjściowe budynku i, nie oglądając się za siebie, zniknęła pomiędzy majaczącymi w deszczu ruinami. Benner zdążył wyskoczyć na dziedziniec, zanim skrzydło drzwi pacnęło w futrynę i ruszył w kierunku budyneczku przycupniętego pomiędzy dwoma bramami. Podwójna brama to system bezpieczeństwa, który pozostał po umieszczonym w tym miejscu zakładzie karnym, będącym spadkobiercą infrastruktury dawnej jednostki JW3466. Od początku spodobał się mu ten patent. W razie potrzeby delikwenta można było bez większego wysiłku uwięzić na niewielkim placyku między przesłami.

Nie zwracając uwagi na salutującego wartownika, Benner wbiegł do pomieszczenia byłej portierni głównej i przylgnął do ściany wyposażonej w szczelinę obserwacyjną w miejscu zamurowanego na jego polecenie okna. Wnętrze przebudowano tak, żeby zwiększyć jego funkcjonalność i obronność. Jedynym elementem, jaki pozostał, był wiszący na ścianie stary kalendarz z 2015 roku, przedstawiający najpiękniejsze kobiety w Służbie Więziennej. Benner rozkazał powiesić

go z powrotem na przekór Ostrej, która z niewiadomych powodów dostawała białej gorączki na sam jego widok.

– Co jest? – zapytał, próbując przebić wzrokiem szarość poranka dodatkowo spotęgowaną padającym deszczem.

– Pojazd na skraju lasu – wyjaśnił wartownik.

– Od jak dawna tam jest?

– Trudno powiedzieć. Zauważyłem o świcie. Wcześniej nie słyszałem nic podejrzanego.

– Chyba go tam nie przypchnęli ani nie przynieśli na plecach.

– Pada deszcz...

– Może i masz rację. Opad trochę wytłumia dźwięki. Widoczność też do dupy. To ciekawe, że na bocianim gnieździe nic nie widzieli – zastanowił się major, myśląc o punkcie obserwacyjnym ulokowanym na starym maszcie z antenami satelitarnymi i radiowymi, stojącym dokładnie na środku terenu jednostki.

– Może się pospali – wartownik wzruszył ramionami.

– Może...

Coś pacnęło kilka razy w ścianę budynekczku.

– Mają broń palną, psia krew – zauważył Benner. – Robi się ciekawie.

Momentalnie wyczuł, że w stróżówce pojawiła się kolejna postać. Nawet nie musiał się odwracać. Bezbłędnie zidentyfikował Ostrą.

– Jak na tyłach? – zapytał.

– Chłopaki wypatrują oczy, ale nic podejrzanego nie stwierdzili. Jak do tej pory.

– Oni za chwilę ruszą. Strzelili kilka razy, licząc, że odpowiemy ogniem. Amatorszczyzna.

– Widać coś? – rzuciła pani kapitan.

Ostra przylgnęła do szczeliny obserwacyjnej i major dostrzegł, że przytachała ze sobą wielkokalibrowy karabin wyborowy Wilk, znany też pod kryptonimem Tor. Ostra lubiła ostrą zabawę z bronią. Uśmiechnął się mimo woli.

– Ruszyli! – krzyknęła nagle.

Pojazd okazał się rozklekotanym kombi, które rozpędzając się coraz bardziej, kierowało się prosto na bramę. Pacnięcia w ścianę rozlegały się coraz częściej.

– Zatrzymaj ich – zakomenderował Benner i zatkał uszy dłońmi. – Wal w koło.

– Aj, aj, sir! – Ostra wyszczerzyła się w uśmiechu.

Bez wysiłku zdjęła z ramienia karabin. Lufę wsunęła w szczelinę i przyłożyła policzek do kolby. Wstrzymała oddech i spokojnie nacisnęła spust. Karabin grzmotnął, pojazd wierzgnął, przekoziółkował jakby wpadł na niewidoczny mur, po czym opadł na betonową drogę i przewrócił się na bok. Sunął jeszcze chwilę i znieruchomiał kilka metrów przed bramą.

– Dobra robota – cmoknął Benner.

– W końcu to ja mam największe jaja w całej naszej wiosce – zarechotała Ostra. – Co nie? A ty tak nie stój! – wrzasnęła na wartownika, gapiącego się na nią z otwartymi ustami. – Łapaj kałasza i jazda. Sprawdź to auto.



– Zaczekaj... – zaczął Benner, ale mężczyzna zacisnął ręce na karabinie i wyszedł z portierni. Właśnie ruszał w kierunku bramy, kiedy kombi wyleciało w powietrze. Siła eksplozji wyrwała metalowe skrzydło wrót, które przeleciało tuż przed nosem wartownika i uderzyło w druga bramę.

– Kuuurwa! – Ostra chwyciła żołnierza za kołnierz i wciągnęła z powrotem do pomieszczenia. – Chowaj się, kurwa!

– Koń trojański! – pokręcił głową Benner. – Tego jeszcze nie było. Samochód pułapka wypakowany materiałami wybuchowymi. Uczą się

skurczybyki... Kurwa! Zasuujemy na tyły.

– Drugiej bramy nie rozwalą. Niby jak...

Przerwały jej trzaski wystrzałów, dobiegające gdzieś z za najbardziej odległej od głównej bramy części więziennej, ulokowanej w koszarowcach.

– Co jest, kurwa!? – Kobieta wyskoczyła na dziedziniec i popędziła w kierunku odgłosów walki, mijając bez słowa dwóch biegnących w stronę portierni żołnierzy.

– Siedzisz tu i prujesz do wszystkiego, co się rusza. – Major wskazał palcem szczelinę obserwacyjną, a błady wartownik potrząsnął kałachem. – No! Do roboty. I żeby mi się tu nawet mysz nie prześlizgnęła. Panowie – wskazał nowoprzybyłym ocalałą bramę – liczę na was. Zabijcie każdego, kto podejdzie na odległość strzału.

– Taaajeee...! – krzyknęli, odbezpieczając broń.

Natychmiast zajęli miejsca za specjalnie przygotowanymi zasłonami, których funkcję pełniły ulokowane na wprost wjazdu betonowe kręgi studzienne. Ich miny świadczyły o tym, że skrupulatnie wypełnią polecenie zwierzchnika.

Kiedy Benner dobiegał do bramy numer dwa, znajdującej się na tyłach kompleksu, usłyszał charakterystyczny dźwięk, wybijający się ponad echo strzałów. Ten dźwięk przypominał warkot silnika.

– Oni tam mają tankietkę – krzyknął ktoś.

Tankietki nie mieli. Przed bramą pojawił się transporter opancerzony pomalowany w maskujące łaty. Ciężki karabin maszynowy na jego wieżyczce ożył i zasypał gradem kul budynek drugiej wartowni i plac obok. Dwóch żołnierzy oberwało – upadli z twarzami zbryzganymi krwią. Pozostali dopadli do ściany stróżówki, zerkając na majora. Benner razem z Ostrą wpadli do środka wartowni i przyczaili się koło wąskich okienek obserwacyjnych. Złowróżbny kształt z lufą dumnie sterczącą z wieżyczki zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów przed bramą i ponownie rzygnął ogniem. Gdzieś obok rozległ się niewróżący nic dobrego gwizd granatnika i brama stała się reliktem przeszłości.

– O kurwa! – Ostra niemal zachłysnęła się z wrażenia.

– Kurwa – potwierdził Benner i gestem wydawał polecenia.

Żołnierze karnie przegrupowali się i czekali.

„Granat dymny” – pokazał ustalony znak major. „Gaz”.

Pozostali założyli maski p-gaz i ruszyli, kiedy tylko usłyszeli

wybuchy. Bez namysłu, bez zbędnego gładzenia. Biegli schyleni, nie wystawiając się na trafienie. Ostra ulokowała się ze swoim karabinem w jednym z okienek i co chwila pomieszczeniem targało grzmotnięcie tej potężnej broni. Kryła ich. Ominęli transporter szerokim łukiem, uciekając poza zasięg jego karabinu. Za stalowym potworem czaiło się dwóch piechurów. Dwa grzmotnięcia sprawiły, że obydwaj padli twarzami w piach. Kolejny grzmot nareszcie unieruchomił transporter. Dym kłębiący się pod stalowymi klapami wróżył trafienie w blok silnika. Gwałtowny wstrząs, nie głośniejszy niż wszystko dookoła, oznajmił zwycięstwo. Transporter płonął. Kurzawa powoli cichła, karabiny milkły. Gdzieś tam któryś z napastników zaczął krzyczeć niezrozumiale, inny rozplakał się. Ludzie majora dobijali rannych powoli, systematycznie. Pozostał płonący transporter. Ostra podeszła do blaszanej bestii i walnęła kilka razy kolbą karabinu w pancierz.

– Wypierdalać stamtąd, to przeżyjecie. Może... – krzyknęła. – Szybciej, kurwy, nie mamy całego dnia.

Właz opadł ze szczękiem. Załoga była wychudzona i przerażona, miała nie więcej niż po 18 lat. Niedopasowane maskujące uniformy wisiały na nich jak na strachu na wróble. Było ich trzech. Właściwie troje, bo jako ostatnia opuściła transporter dziewczyna, równie chuda jak jej towarzysze. Ostra tłukła ich kułakiem po osmalonych twarzach. A pięść miała jak bochen chleba.

– Ruchy!!! – wrzeszczała.

– Zaczekaj – Benner złapał ja za rękę. Podeszedł do dziewczyny z transportera i odciągnął na bok, za budynek wartowni

– Hahaha... użyj sobie – zaśmiała się Ostra.

– Klękaj – rzucił major do dziewczyny. Była posłuszna, zresztą nie miała innego wyboru. Benner wyjął z kabury na udzie glocka, przystawił jej do potylicy i pociągnął za spust. Glock zawsze był niezawodny.

– Gdzie ona jest – spytała Ostra, kiedy wrócił.

– W dupie, ot gdzie jest – odpowiedział major.

– Sentymentalny dureń.

* * *

Stary wpatrywał się w odległy punkt gdzieś na horyzoncie i milczał. Milczał długo, ale nawet pyskata zazwyczaj Ostra nie odważyła się chrząknąć czy choćby głośniej odetchnąć, kiedy nad czymś się zastanawiał. Jego siwe, starannie ułożone włosy i równo przycięta broda sprawiały, że wyglądał dostojnie o każdej porze dnia i nocy. Niektórzy twierdzili, że generał nigdy nie sypiał. Biorąc po uwagę fakt, że jego mundur był zawsze nieskazitelnie czysty i nienagannie wyprasowany, mogła to być prawda.

– Myślicie czasem o przeszłości? – zapytał nagle Stary i odwrócił się do zebranych.

Mundurowi spojrzeli po sobie z zakłopotaniem i pospuszczali głowy, nagle z zainteresowaniem wpatrując się we własne buty. Filozoficzne pytania padały z ust ich dowódcy coraz częściej. Przez te wszystkie lata życia w skrajnie trudnych warunkach zdążyli przywyknąć do gównianej pogody, gównianego żarcia, niewygód i ogólnie nieciekawej sytuacji geopolitycznej. Szkolono ich do różnych zadań. Łączyło ich jedno: zarówno funkcjonariusze byłej Służby Więziennej jak i żołnierze byłego GROM-u podczas wypełniania swoich obowiązków obcowali ze śmiertelnie groźnymi ludźmi. Jedyna różnica polegała na tym, że strażnicy ich pilnowali, a żołnierze likwidowali. Ani jednych, ani drugich nikt nigdy nie uczył odpowiadania na filozoficzne pytania. Tym bardziej na takie, które padają z ust dowódcy w stopniu generała. Nawet emerytowanego.

– Może i macie rację, nie zawracając sobie głowy bzdurami. Mnie wolno rozpamiętywać stare dzieje. Wy macie inne zadania. Te napady są coraz częstsze. Coraz lepiej zorganizowane. Krzysztof? Co o tym sądzisz?

Benner drgnął i rozejrzał się po sali, jakby licząc obecnych. Zauważył, że brakuje jednej osoby i w głębi ducha ucieszył się z jej nieobecności. Odprawa w otoczeniu „samych swoich” była mu bardziej na rękę. Oczy garstki gromowców i klawiszy skupiły się na jego pooranej bliznami twarzy i czekały na sprawozdanie.

– Zaatakowali nad ranem z niedzieli na poniedziałek. Dokładnie cztery godziny temu. Czas wybrano podręcznikowo, akcję przeprowadzono perfekcyjnie. Na początek zmyłka od frontu, będąca dodatkowo pułapką, czyli koniem trojańskim, następnie właściwe uderzenie od zaplecza. Na szczęście byliśmy przygotowani na podobną

ewentualność. Ćwiczyliśmy taki scenariusz zbyt często.

– Właśnie – zauważył generał. – Ćwiczyliśmy. Oni też przygotowują się do kolejnych ataków. Można by rzec – ewoluują. A to oznacza jedno: za wszelką cenę chcą wejść na teren jednostki. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nie można do tego dopuścić. Musimy się tutaj utrzymać za wszelką cenę. Jakie mamy straty?

– Uszkodzone obie bramy. Musimy też wykopać cztery groby.

– Szlag.

– Dwóch chłopaków zginęło przy tylnej bramie, dwóch na bocianim gnieździe zdjęto prawdopodobnie ze snajperki. Dlatego nie zaalarmowali o ataku.

– Jest nas coraz mniej...

– Czasy względnego spokoju skończyły się dawno temu – obojętnie stwierdził Benner.

– I być może właśnie nadchodzą czasy wojny.

– Szykujemy się na nią od dawna. – Ostra zacisnęła pięść leżącą na biurku. – Jesteśmy gotowi.

– To prawda – Stary pokiwał głową. – Jesteście gotowi. Ale doktor Sienkow nie jest gotów. Jeszcze nie.

Obecni na sali spojrzeli po sobie, niektórzy zaczęli szeptać, ale chrząknięcie Starego przywołało wszystkich do porządku.

– To chyba by było na tyle. Dziękuję wszystkim, możecie odejść do swoich zajęć. Krzysztof, ty zostań. Kapitan Ewa Ostrowska niech zaczeka na korytarzu. Mam do niej dwa słowa.

Ostra znacząco trąciła majora Bennera łokciem i jako ostatnia opuściła gabinet generała.

Mężczyźni pozostali sami. Jeden wciąż wpatrywał się w rozkwitający las, widoczny ponad budynkami kompleksu, drugi obojętnie oglądał wypłowiałą okleinę na blacie stołu.

– Ten deszcz oczyszcza – odezwał się w końcu Stary. – Zmywa brud świata. Zgodzisz się ze mną?

– Oby to oczyszczanie nie trwało zbyt długo – zauważył Benner. – Woda zmyje nam zagonki i nie będziemy mieli co jeść. I tak mamy problem z prowiantem.

– Myślę, że sobie poradzimy. Udawało się nam przez tyle lat.

– Wtedy... było inaczej. Obawiam się, że ludzie mogą mieć dość tych ciągłych podchodów, tego nieustannego...

– A ty, Krzysztof? Też masz już dość? – przerwał mu generał.

Benner wzruszył ramionami, ale ręce skryte pod stołem same zacisnęły się mu w pięści.

– A myślisz czasami o przeszłości?

– Mam inne sprawy, nie mam czasu na rozmyślanie.

– A o przyszłości? Zastanawiałeś się kiedykolwiek, co nas czeka – powiedzmy za rok, pięć lat, dziesięć?

Major Benner nie odpowiedział. Pytanie było retoryczne. Stary do czegoś zmierzał i w odpowiednim czasie wytłumaczy, w czym rzecz. Zawsze tak robił.

– Nie. Takie myśli również nie zaprzętają twojej głowy – kontynuował swój wywód generał. – Masz umysł żołnierza, silnie rozwinięty instynkt przetrwania, przeżycia, życia w ogóle. Do tego cię... was szkolono. Jak widać – z dobrym skutkiem. Ale wyszkolenie to nie wszystko. Tamta dydaktyka i trening zdawały egzamin w tamtych warunkach. Tymczasem wszystko się zmieniło. Zgodzisz się ze mną?

– Teoretycznie... tak.

– Teoretycznie? – zaśmiał się Stary.

– Praktyka wojny pokazuje, że strategie dowódców nie zawsze się sprawdzają, a mapy sztabowców są tylko dwuwymiarowe – stwierdził major.

– Ale to dowódcy wygrywają te wojny.

– Ale nie bitwy. Bitwy...

– Bitwy wygrywają szeregowcy – dokończył generał. – Znam tę maksymę. Wiem też, że wojsko działa jak mechanizm. Każde koło zębate odgrywa swoją rolę i musi idealnie współpracować z następnym. Tylko wtedy ich monotony ruch daje efekt. Wyobraź sobie koło zębate kręcące się bez celu – ot, tak sobie. Wykonuje swoją pracę, lecz jako część mechanizmu jest bezużyteczne. Gównno warte, jakby to powiedziała kapitan Ostrowska.

– Jaka jest puenta?

– Nadal nie dostrzegasz analogii? Zaczynasz się zmieniać w samotne koło zębate.

– Ja tylko robię to, co muszę. Kieruję się instynktem. Nie sercem czy sumieniem, ale instynktem właśnie. Instynktem przetrwania. To są pana słowa, generale.

– W porządku. A jak wytłumaczysz to, co zrobiłeś?

- Co konkretnie?
- Zastrzelełeś tę dziewczynę dziś rano.
- To z kolei był humanitaryzm.

Głośny śmiech Starego zadudnił w gabinecie..

- Humanitaryzm? Przecież ty ją zastrzelełeś z zimną krwią. Nie żebym miał zastrzeżenia do twojego postępowania. Albo my, albo oni. Wybór jest prosty. Wytlumacz mi tylko, gdzie tutaj widzisz humanitaryzm?

- Oszczędziłem jej wielu cierpień - wzruszył ramionami Benner. - To wszystko.

- Ona nawet nie była ranna - zauważył Stary.

- Nieważne. Zanim stałaby się kolejnym królikiem doświadczalnym, te chore sukinsyny w podziemiach zdążyłyby ją zgwałcić. A kiedy już wyszłaby spod noża pana doktora, gwałciłiby ją dalej, w nieskończoność.

- Dlaczego ją zabiłeś?

- Powiedziałem już...

- Nie - przerwał Stary. - Twoje wyjaśnienia to jedynie mydlenie oczu. Własnych oczu. Oszukujesz sam siebie. Jesteś świetnym żołnierzem. Co do tego nie mam wątpliwości. Ale stałeś się samotnikiem. Pojedynczym kołem zębatym.

- Ci wszyscy ludzie...

- Zabijamy ich, taka nasza rola. Ich rolą jest być zabijanymi. Łańcuch pokarmowy, silniejszy wygrywa.

- Teraz my jesteśmy silniejsi, ale kiedyś może to się zmienić.

- Jeśli role się odwrócą, w co wątpię, to na pewno nie za mojego życia. - Stary uśmiechnął się i pogładził siwą brodę. - Wiesz, dlaczego ją zabiłeś? Nie dlatego, że stałeś się miękki czy sentymentalny. Ty po prostu zacząłeś myśleć o niewłaściwych rzeczach. Przestało ci się podobać to wszystko, co osiągnęliśmy?

- A co osiągnęliśmy? - Major Benner podniósł głowę i spojrzał prosto w oczy generała. - Przetrwaliśmy i tyle. Niezbyt chlubny wyczyn, bo okupiony mnóstwem istnień. Gdybyśmy mieli pogrzebać wszystkich, których zabiliśmy w obronie kompleksu, w obronie badań tego Sienkowa...

- Dlatego rozkazałem ich spalić - wyjaśnił Stary. - Mogiły zawsze przywołują wspomnienia. Prochy rozwiewa wiatr i po sprawie.

- I po sprawie?

– Wyższe cele zawsze pociągają za sobą krwawą ofiarę.
– Nazywanie eksperymentów tego potwora wyższymi celami jest pewnym nadużyciem.

– Doktor Sienkow jest... był wybitnym psychiatrą i psychologiem. Wierzę w powodzenie jego doświadczeń. Na tym etapie jego wyniki są imponujące. Jedyne, czego mu brakowało, to nowy żeński pierwiastek wprowadzony w cykl badawczy. Umysł męski jest warunkowany potrzebą przetrwania, walki i zdobywania pożywienia. Jest logiczny, powiedziałbym nawet – techniczny. Łatwo go kontrolować, przewidzieć kolejne posunięcia, ale nie da się wycisnąć z niego czegoś więcej. Oczywiście zdarzają się odstępstwa od reguły, ale niezwykle rzadko. Umysł kobiety trudno scharakteryzować i skatalogować. Każda baba jest inna i tyle. Ale żeński umysł posiada jedną cechę, której nie ma męski – niezwykle rozwiniętą intuicję i empatię, zdolność wyczuwania emocji i wczuwania się w nie. Doktor Sienkow jest na finiszu. Potrzebuje jedynie młodej kobiety. Niestety, ty zabiłeś tę dziewczynę i zaczynam się zastanawiać, czy nie zrobiłeś tego celowo.

– Przypominam, że jedna już uciekła. Może nie wytrzymała presji doktora? Parcia na sukces – powiedział z ironią major. – Poza tym, zawsze można znaleźć inną. Ta była zbyt... bojowa. Zanim doktorek by ją pociął, mogłaby zdążyć pociąć jego. Chociaż z drugiej strony...

– Chciałbym więc, żebyś naprawił swój błąd.

– Jaki błąd?

– Osobiście zajmiesz się poszukiwaniami.

– Że co?

– Krzysztof! Przywołuję cię do porządku.

– Tak jest! – Major skinął głową, chociaż Stary znów patrzył na coś za oknem.

– Weźmiesz kilku ludzi i zrobisz wypad, powiedzmy do Łomży czy Zambrowa. Chyba nie muszę cię uczyć, jak to się robi.

– Jurek Cierń – powiedział po chwili Benner – sprzeciwiał się takim eskapadom. Według niego były niemoralne. Takie polowania na ludzi urągają nam jako żołnierzom. Sądziłem, że skończyliśmy z tym procederem. Obrona jednostki to co innego. Ale porywanie...

– Cierń był twoim przyjacielem i dowódcą. Był. Przypominam ci, że to on pierwszy urządził łowy na ludzi, kiedy więźniowie zabrani z zakładu karnego do podziemi w końcu poumierali.

– Robił to na pana polecenie, generale. Jurek ostatecznie zmienił zdanie...

– Pułkownik Cierń przeważnie miał inne zdanie niż ja. Dlatego w końcu odszedł z jednostki. A precyzując – zwiął z podkulonym ogonem jak złodziej, w środku nocy. Z tobą chyba się nawet nie pożegnał? W dodatku sprawa tej dziewczyny, która zniknęła razem z nim... Wszystko, co jest związane z Cierniem, śmierdzi na kilometr. Znałem go jako świetnego dowódcę i fachowca od zadań specjalnych. Nie oznacza to jednak, że był wszechwiedzący i sprawiedliwy dla wszystkich.

– Twardy był.

– Może zbyt twardy. Wydawało mu się, że może zmienić świat na własną rękę, według własnego widzimisie. Zapomniał, że jego podstawowym zadaniem jest wykonywanie rozkazów. Tak jak twoim. Teraz to wszystko. Możesz odejść i zacząć przygotowania do wypadu. Dobierz sobie ludzi i najdalej jutro ruszaj w drogę. I jeszcze jedno. Krzysiek, jesteś świetnym żołnierzem, ale nie popełniaj błędów Ciernia. Nigdy nie zapominaj, że nie jesteś panem losu innych ludzi. Nie do ciebie należy wybór. Ty jedynie masz wypełniać polecenia.

„Mylisz się” – pomyślał Benner, zamykając za sobą drzwi. „Dopóki mam amunicję ich los jest w moich rękach”.

* * *

Stalowa linka zatrzeszczała, obciążniki powędrowały w górę i zatrzymały się na moment, by po chwili opaść z łoskotem. Wyciąg zadygotał, bloczki zapiszczały, a stojąca w drzwiach kobieta złożyła ręce na piersi.

– Nieźle – kapitan Ostrowska z uznaniem spoglądała na naprężone mięśnie Bennera.

– Nie widziałem, kiedy weszłaś – major przełożył blokadę, zwiększając obciążenie wyciągu i ponownie chwycił za uchwyty drażka.

– Katujesz się. Powinieneś zwiększyć liczbę powtórzeń, a nie ciężar.

– Wydaje mi się, że wiem, co robię.

– Jak chcesz – Ewa wydeła wargi.

– Chcę. – Benner z głośnym wydechem pociągnął drażek w dół.

- Robisz to za szybko. Powinieneś wolniej...
- Ostra? – major zwolnił nacisk, a ciężary łomotnęły w metalowe łoże.
- Co?
- Nie przypominam sobie, żebym prosił cię o rady.
- Głupio dobierasz ćwiczenia, to wszystko – wzruszyła ramionami.
- Jak jesteś taka mądra – Benner wstał i wytarł ramiona wypłowiałym ręcznikiem – to pokaż mi, jak się powinno to robić.
- Chętnie. – Ostrowska sprawnie zdjęła lekką polową bluzę i spłowiałą koszulkę z ledwie widocznym symbolem Służby Więziennej – miecz skrzyżowany z pochodnią na tle wieńca z liści dębowych.
- Major uniósł brew na widok specjalnego ochraniacza biustu, w którym ledwie mieściły się jej piersi. Benner był pewien, że cycki Ostrej w stu procentach składały się z tkanki mięśniowej i wcale nie były miękkie i przyjemne w dotyku, raczej twarde jak stal. Oczywiście mógł się mylić, ale nigdy nie przekroczył cienkiej linii oddzielającej służbę od życia prywatnego. Tym bardziej, że przez ostatnie dwadzieścia lat pełnił służbę non stop. Podobnie jak kapitan Ostrowska, która wyłowiła jego spojrzenie i uśmiechnęła się mimowolnie. Zacisnęła ręce na uchwyty, wzięła głęboki oddech i powoli pociągnęła drążek w dół. Zagrały mięśnie jej ramion, bloczki zaskrzypiały, kiedy ciężar zatrzymał się i powoli powędrował w dół.
- Słuchaj – powiedziała Ostra, robiąc przerwę w ćwiczeniach. – Stary kazał mi przygotować raport. Ile mamy zapasów pożywienia, amunicji, ile sztuk broni i tak dalej. Raport ma być dokładny.
- Jak dokładny?
- Kurwa, chyba bardzo dokładny.
- Aha.
- Nie dziwi cię to? Zawsze to ty przygotowywałeś taki raport.
- No i?
- Stary albo zwariował, albo szykuje coś dużego. Pomożesz mi?
- W liczeniu konserw? Nie.
- O! – Ostra na moment straciła pewność siebie. – Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.
- Przykro mi. Powierzono mi inne zadania.
- Jakie?
- Obawiam się, że to tajemnica wojskowa.
- Weź, nie chrzań.

- No dobra. Od tej pory będę się bawił w łowcę.
- Bez jaj! - Ostra wbiła wzrok w Bennera. - Poważne?
- No. - Major skinął głową.
- Wracają polowania na ludzi?
- Na kobiety, Ostrowska. Na kobiety.
- Już to kiedyś przerabialiśmy. Razem z uprowadzeniami okolicznych mieszkańców zaczęły się pierwsze ataki na jednostkę.
- To normalne. Tłumaczyliśmy to z Cierniem Staremu, ale nas spławił. Nazywa się to prawem odwetu. Nikt nie pozwoli bezkarnie zabierać swoich córek, żon, synów i mężów. A że przy okazji, legendy o podziemnych magazynach pełnych żarcia podsycaly ludzką wyobraźnię, tym chętniej wszelakie łobuzerstwo garnęło się do rajdów na jednostkę.
- Raczej frajerstwo. Wszyscy skończyli marnie - wyszczerzyła zęby pani kapitan. - Myślący człowiek uczy się na błędach. Frajer nie.
- Zbyt wiele bezsensownej śmierci... Wiesz, czuję, że nasze siedzenie na tyłkach w tej zatęchłej norze powoli dobiega końca.
- Oby! - Kobieta zacisnęła pięść i podziwiała napompowane mięśnie przedramienia. - Już czas przelać trochę krwi. Słuchaj... Ten doktorek... Co o nim sądzisz?
- Bo ja wiem? - zastanowił się chwilę Benner. - Do tej pory unikałem go jak mogłem. Osobiście nie wierzę w te jego psychologiczne bzdury.
- Ja też nie trawię tego gościa. Jego szczęście, że siedzi w podziemiach.
- Też tam kiedyś siedzieliśmy - mruknął major.
- Na szczęście dostęp do skrzydła szpitalnego był zamknięty. Nawet Stary rzadko tam zaglądał.
- Bo i po co? Nikt przy zdrowych zmysłach z własnej woli nie zapuściłby się do tej rzeźni. Ale krzyki pacjentów Sienkowa i tak niosły się po korytarzach. Pamiętasz, jak ustawialiśmy przy nich materace, żeby choć trochę wytłumić dźwięki?
- Co mam nie pamiętać. A ten doktorek ciągle tam siedzi, w tych bunkrach. Przecież mógł wyjść na powierzchnię, zająć sobie któryś budynek...
- No nie - zaprotestował Benner. - Tego by jeszcze brakowało. Zauważyłaś, że nie było na odprawie tego... Jak się nazywa dowódca ochrony szpitala? Janicki?

– Raczej Janecki. Jego szczęście. Mój but rwie się do skopania jego chudej dupy. Czuje się ważny jak mało kto.

– To stary, emerytowany gromowiec. Jeden z zaufanych ludzi generała. Weź pod uwagę, że tylko oni ochraniają Sienkowa i cały ten zafajdany, podziemny eksperyment.

– Szczać na niego. Pomożesz mi w tym liczeniu?

– Zastanowię się. Ćwiczysz? Jak nie, to zwolnij miejsce.

– Możesz posiedzieć na rowerku – figlarnie zmrużyła oczy. – Byle nie za długo. Ucisk na pewne części ciała bywa... hmm, niepożądany.

– Taaak?

– Właśnie taaak – przekomarzała się Ostra, tym razem kładąc się na ławce do wyciskania. – Musisz mi też przekazać klucz. Od teraz to ja zarządzam zapasami.

– Ostra?

– Co?

– Chcę odejść. Mam dość.

– Odejdźmy razem. Ożenisz się ze mną, zrobimy gromadkę dzieci i będziemy uprawiać ogródek.

– Ale ja mówię poważnie.

– Ja też...

Zaśmiali się oboje.

Rozdział 4

Coś trwa...

Dzikus cierpiał.

Domyślał się, że pulsująca ręka prawdopodobnie jest złamana, ból podczas oddychania zwiastował pęknięte żebra, a zalewająca oczy ciecz mogła być tylko krwią. Jego krwią, która pokrywała wszystko dokoła. Przez moment nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się właściwie znajduje. Gapił się z głupią miną na pokrytą siateczką pęknięć przednią szybę UAZ-a i podejrzewał, że to wszystko mu się śni. Ból ręki sprawił, że oprzytomniał. Nadal słyszał szum w uszach, kręciło mu się w głowie, a biały dym wydobywający się spod maski auta nie wróżył nic dobrego, chociaż silnik jakimś cudem nadal pracował. Nagle zdał sobie sprawę, że dziwny zapach wypełniający jego nozdrza to woń oleju napędowego i z trudem sięgnął do stacyjki, wyszarpując z niej kluczyk. Silnik umilkł, ale paliwo kapiące z uszkodzonego zbiornika wciąż było śmiertelnym zagrożeniem. Dzikus odciągnął klamkę i barkiem napał na pocięte drzwi, które nawet nie drgnęły. Powróciła za to fala bólu. Tropiciel syknął i zacisnął zęby. Nie chciał spłonąć żywcem, uwięziony w kabinie własnego auta. W końcu zawsze był skutecznym pogromcą losu. Ale tym razem pieprzony los sprawił, że ktoś, kiedyś, zamiast dobrą, gównianą farbą pomalował znaki z nazwami miejscowości. Także tej konkretnej miejscowości, znanej przed Rozbłyskiem jako Kuźnica.

Gdyby Dzikus zdołał odcyfrować nazwę na wyblakłym drogowskazie, prawdopodobnie doszedłby do wniosku, że już kiedyś słyszał o tym

miejscu. Być może od razu zawróciłby i opuścił zapomniane przez Boga i ludzi miasteczko, będące nadgranicznym królestwem bimbrowników, przemytników i handlarzy dobrem wszelakim. Dzikus jednak nie zdołał odczytać liter i przekroczył granicę dobra i zła. Granicę płynną i ustalaną zgodnie z widzimisię pewnego mieszkańca tego miasteczka. Mieszkańca, który szwędając się po wszystkich ocalałych siołach i osadach, postanowił osiąść właśnie tutaj. Część miejscowych sama uciekła, inni zostali przepędzeni, większość zdecydowała się przyłączyć do nowego, samozwańczego burmistrza, który zorganizował życie w miasteczku po swojemu.

Nadgryzione zębem czasu rudery skonstruowane ze wszelkich dostępnych materiałów, straszące nagością cegieł ruiny domów i snujące się wśród nich podobne zjawom bełkoczące postaci w łachmanach skutecznie zniechęcały przypadkowych gości do dłuższego postoju. Obcy nie byli tutaj mile widziani, ale jeśli już się pojawili, to przez cały czas czujne oczy starannie lustrowały dobytek przybyszy by – jeśli okazywał się wart uwagi – natychmiast powiadomić o tym fakcie kogo trzeba. Nawet jeśli majątek nieostrożnych podróżników był niewielki, zawsze można było sprzedać ich samych jakiemuś kacykowi. Napaść i rabunek organizowano natychmiast, nie bawiąc się w ceregiele i zachowanie pozorów nieszkodliwości miasteczka i jego mieszkańców, którzy z pewnością nie zajmowali się koszeniem trawników i śpiewem w parafialnym chórk.

Dzikus nie odczytał nazwy miasteczka, którą mógł znać z opowieści, jakie często słyszało się w obozach przemytników, rozlokowanych wzdłuż całego Bufora. Grzejący się przy ogniskach szmuglerzy, przekazywali sobie z ust do ust historię krwawego barona, który dzierżył niepodzielną władzę w Kuźnicy i bliskim pograniczu. Wszystkie okoliczne przemytnicze przejścia przez mur obstawione były jego ludźmi, gorliwie eliminującymi wszelką konkurencję. Ich przywódca wynagradzał i doceniał lojalne oddanie, karząc cwaniactwo, głupotę i bezmyślność. Legendy mówiły, że potrafił gołymi rękawymi wrywać ludzkie serca i wyciskać je niczym gąbkę, chciwie chłepcząc gorącą krew. Dzikus nie dawał wiary tym opowieściom, chociaż w każdej historyjce kryło się ziarno prawdy. Sam znał wielu ludzi, którzy bez mrugnięcia okiem pociągali za spust i z uśmiechem na twarzy wbijali nóż w brzuch adwersarza, nie przerywając przy tym

dywagacji o aktualnej pogodzie.

Niebieskokooki tropiciel wiedział, że coś innego niż strach przyciągało ludzi do okrytych złą sławą samozwańczych kacyków. Tym czymś było wygodne życie w zamian za wierną służbę. Dzikus nie zdawał sobie sprawy, że los w który nie wierzył, od tej pory spoczywał w rękach złowieszczej postaci, której imię na całym okolicznym pograniczu wymawiano z szacunkiem i strachem. Nie zdawał sobie sprawy, że imię to znał zbyt dobrze, ale nie kojarzył z miejscem, w którym właśnie się znajdował. Wiedział za to, że ludzie, którzy właśnie wyłamali drzwi UAZ-a i brutalnie wywlekli go na zewnątrz, to dwaj podobni do goryli džentelmeni poznani tego dnia w przydrożnej spelunie. Dostał solidnego kopniaka w głowę i ponownie odplynał. Odzyskał przytomność kilka minut lub kilka godzin później. Przez dobrą chwilę próbował pojąć, co się właściwie stało i gdzie się znajduje. Kiedy zrozumiał, że jego status zmienił się z „przesrane” na „kurewsko przesrane”, jęknął i spróbował otworzyć zalepione krwią powieki. Udało mu się, ale i tak niczego nie widział, nie był w stanie się poruszyć, nie wiedział nawet czy siedzi, leży, czy też wisi do góry nogami. Zaczął podejrzewać, że podczas wypadku być może uszkodził sobie kręgosłup. A może po prostu dobrze go związano. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać na oprawców, którzy teraz pewnie zajmowali się dziewczyną.

Lena...

Zacisnął usta i zaklął pod nosem. Nigdy by nie pomyślał, że wszystko zacznie się od niewinnej rozmowy w jednej z nielicznych przydrożnych Stacji, będących zarazem punktem skupu i sprzedaży wszelkiego towaru, miejscem wymiany informacji i przekazywania zleceń. Teraz wróciły obrazy zdarzeń, które Dzikus wolałby wymazać, gdyby potrafił cofnąć czas. Ale nie potrafił. Mógł jedynie obserwować przepływające wspomnienia i kłąć. Kłąć na czym świat stoi.

Tamtego pamiętnego dnia postanowił wybrać się do odległej o kilkanaście kilometrów Stacji należącej do niejakiego Tatki. Zdezelowanego UAZ-a załadował bańkami z własnoręcznie pędzoną siwuchą i porcją skrętów wykonanych z autorskiej mieszanki ziół, po czym opuścił swoją leśną kryjówkę, którą nazywał Dziupłą i w której od lat oddawał się rozważaniom duchowym, przy okazji produkując substancje sprzyjające uciechom tegoż ducha. Przedarł się przez coraz

bardziej zarastający trakt i ruszył starą, zniszczoną drogą numer 19, łączącą kiedyś dwa przejścia graniczne: z Białorusią w Kuźnicy i Słowacją w Barwinku. Dzieliło je ponad pięćset kilometrów i Dzikus wiele razy zastanawiał się, jak wygląda życie na drugim końcu Polski. Chciał nawet wybrać się w wielką podróż na południe kraju, ale jakoś nie znalazł na to czasu. Może po prostu zabrakło mu odwagi, może bał się rozczarowania. Terminale zamknięto dawno temu, a Bufor mniej lub bardziej skutecznie izolował przygraniczne społeczeństwo od zewnętrznych wpływów. Ludzie przywykali do mieszkania w cieniu muru, tak jak Dzikus przywykł do samotności, która była jego świadomym wyborem. Nieliczne wyprawy na Stację stawały się jedyną okazją do kontaktu z innymi ludźmi i taka sytuacja mu odpowiadała.

UAZ połykał nierówności i ubytki asfaltu, z każdym pokonanym kilometrem zmniejszając odległość jaka dzieliła mężczyznę od Stacji. W końcu w oddali zamajaczył znajomy neon i kiedy koła zadudniły na nierównej kostce brukowej, Dzikus nabrał głęboko powietrza, jednocześnie przygryzając wargi. Na szczęście na parkingu nie było żywej duszy, co przyjął z ulgą i zadowoleniem. Zatrzymał się obok dystrybutora i pomachał do mężczyzny, siedzącego za pancernym okienkiem. Kasjer podniósł rękę i gestem wskazał tyły Stacji. Dzikus posłusznie podjechał do metalowego ogrodzenia, obitego dodatkowo blachą. Jedno przesło drgnęło i uchyliło się, wpuszczając pojazd na zaplecze budynku. Przybysza powitało dwóch braci: niski i okrągły oraz chudy i wysoki. Kuleczka i Długi byli do siebie tak niepodobni, że nie mogli mieć tych samych rodziców. Zresztą Tatko może wcale nie był ich ojcem, chociaż wszyscy tak uważali. Dzikus nigdy się nad tym nie zastanawiał, bo spędzał na Stacji tylko tyle czasu, ile musiał. Rozładowywał fanty, tankował paliwo, brał paczkę amunicji do sztucera i spadał do Dziupli. Nie tęsknił za towarzystwem ludzi, bo nie przepadał za nimi. Ale tego dnia miało się stać inaczej.

Towar został skrzętnie oceniony przez Kuleczkę, który z zadowoleniem skinął głową i wysłał Dzikusa do Tatki. Ten spojrzał uważnie na swojego kontrahenta i zmrużył oczy.

- Czy ty umiesz tropić?
- Co tropić?
- No... ślady - wyjaśnił Tatko.
- Niby tak.

- To umiesz czy nie?
- Umieć – westchnął Dzikus. – Z tego żyję.
- A wytropiłbyś człowieka?

* * *

Zgrzyt rygli zamka i skrzypnięcie zawiasów wyrwały Dzikusa ze świata wspomnień. Przez zamknięte powieki widział źródło światła, omiatające pomieszczenie i zatrzymujące się na moment, by oświetlić leżącą w kącie postać. Jego postać. Usłyszał chrząknięcie, będące zapewne komendą i zawartość wiadra z wodą wylądowała na jego głowie. Odczuł ulgę i jednocześnie niepokój, gdy ktoś chwycił go za stopy i zaczął bezceremonialnie ciągnąć niczym worek ziemniaków. Dzikusowi pozostało jedynie obserwowanie betonowego stropu przesuwającego się nad głową i liczenie słabo świecących żarówek w matowych kloszach. Naliczył ich dziesięć. Później pokonał klatkę schodową, zaliczając potylicą każdy stopień, a było ich również dziesięć. Szczęknęły jakieś drzwi, ktoś chwycił go za ubranie i posadził na krześle, przytrzymując za ramiona. Ktoś inny skierował w jego stronę lampę i wcisnął włącznik. Oślepiające światło sprawiło, że odruchowo odwrócił głowę, ale czyjeś palce rozwarły jego powieki, brutalnie zmuszając do spojrzenia wprost na żarówkę. Szarpnął się, ale nacisk rąk nasilił się, sprawiając niesamowity ból. Gdzieś, poza granicą widzialności instynktownie odczuł czyjąś obecność. Ten ktoś przyglądał mu się z zainteresowaniem, które lada chwila mogło się zmienić w znudzenie lub – co gorsza – wkurwienie. Dzikus zdawał sobie z tego sprawę i przestał walczyć, poddał się palcom wbijającym się w oczodoły.

- Dość – usłyszał chrapliwy, przyprawiający o dreszcz głos, który wydał mu się znajomy.

Żarówka gasła, ale Dzikus ciągle nic nie widział. Zadawało mu się, że olśnienie miało całą wieczność. W końcu jego wzrok przyzwyczał się do oświetlenia pomieszczenia i dostrzegł go. Niezwykle chudy mężczyzna o zimnych, niemal zwierzęcych oczach wyginał usta w sztucznym uśmiechu. Jego krogulcze, poźółkłe paznokcie bębniły o blat zniszczonego biurka, błyskały pierścienie, ozdabiające

nienaturalnie długie palce. Groteskowa postać zaczęła się podnosić ze skrzypiącego obrotowego fotela, a narzucony na jej ramiona poprzecierany, skórzany płaszcz, który dawno temu zatracił oryginalną barwę i fason, zatrzeszczał. Dzikus zdał sobie sprawę, że właściciel przerażającego głosu jest także niesamowicie wysoki i podobny do znanej mu kiedyś bestii w ludzkiej skórze, znanej jako Kostuch.

– Słyszałem – postać wyprostowała się i spojrzała na gościa uważnie – słyszałem wiele dobrego i wiele złego na temat Białego Miasta. Nie daję wiary plotkom, bo większość z nich to gówno warte pierdolenie. Więc jak to jest z tym Białym Miastem? Śmiało, możesz mówić. Wprawdzie podano ci coś w rodzaju głupiego Jasia, ale dzięki niemu nie oszalejesz z bólu. Masz złamaną rękę i nogę. Z zasady, osoby w takim stanie od razu zakopujemy, nie marnując nawet czasu na ich dobijanie. Ale ty jesteś z Białego Miasta. Dlatego chwilowo jeszcze żyjesz. Śmiało, nabierz powietrza w płuca i mów. Zaspokój moją ciekawość.

– No... – Dzikus wydusił z siebie coś w rodzaju słowa. – Co chciałbyś...

Nagle szarpnięcie za włosy sprawiło, że słowa uwięzły mu w gardle.

– Pan – usłyszał głos wwiercający się w ucho. – To jest Pan Kostuch. I tak się do niego zwracaj, śmieciu.

– Ja... – Dzikusa w jednej chwili oblał zimny pot, a wszystkie włosy stanęły dęba. – Ja przepraszam.

– No więc? – Gigantyczny chudzielec pochylił się nad tropicielem. – Czy ten stary skurwiel, Maksymilian jeszcze żyje?

– Żyje.

– I ma się dobrze, nieprawdaż?

– Różnie... się ma.

– Różnie, powiadasz. – Zwierzęcy wzrok Kostucha zdawał się prześwieślać Dzikusa na wylot. – A dziewczyna?

– Jaka dziewczyna?

Szponiasta dłoń błyskawicznie zacisnęła się na szyi tropiciela i szarpnęła jego ciało do góry. Teraz oczy Dzikusa znajdowały się na wysokości oczu chudzielca i nie był to przyjemny widok.

– Ci, którzy ze mną pogrywali, już nie żyją, chłopcze – nieruchome ślepie zdawały się wnikać w głąb duszy tropiciela. – Mogę ci skrócić kark. W jednej chwili. Myślałeś, że moje psy nie przeszukają twojego

auta? Myślałeś, że upływ czasu i zmiana wyglądu sprawi, że nie rozpoznam cię wśród tobie podobnych? W dodatku, jak widzę, zaciągnąłeś się do bojowników Maksymiliana. Na niewiele ci się to zda w tym miejscu. Więc co z tą dziewczyną? Doczekam się odpowiedzi zanim wyrwę ci język?

– Dziewka – wykrztusił Dzikus – jak każda inna.

– Jak każda?

Kostuch uwolnił jego szyję, a tropiciel opadł niczym szmaciana lalka, skrętnie przytrzymywany przez ludzi chudzielca. Czuł pieczenie na szyi w miejscach, gdzie paznokcie granicznego barona pozostawiły swój ślad w postaci krwawiących ranek.

– Mam doskonałą pamięć – chrapliwy głos znów zmroził Dzikusa. – Pamiętam ją doskonale. Minęło wiele lat, a ona wciąż wygląda tak samo. Wciąż jest podobna do Maksymiliana. Zawsze poprzedzała ją marnej jakości reputacja, która kroczyła przed ludźmi z trupimi czaszkami na kurtkach niczym zły omen. Z drugiej strony trudno się dziwić. U mnie też każdy musi zapracować na miskę stawy i nie jest to praca łatwa. Ryzyko śmierci jest nader duże. Jeśli ktoś chce dla mnie pracować, musi się wykazać. Musi się podporządkować pewnym regułom. Sprawdzi się – docenię to. Da dupy – otrzyma kulkę w łeb. Nie stosuję taryf ulgowych wobec nikogo. Maksymilian był twardym graczem, może zbyt twardym w stosunku do własnej córki. A teraz... – Kostuch zamyślił się na moment. – A teraz ona jest w moich rękach. Co do ciebie, to na razie pozwolę ci gnić w moim lochu. Może później sprzedam cię jakiemuś porąbanemu wielbicielowi męskich wdzięków. Albo... Jednak nie. W końcu w jakiś sposób wszedłeś w posiadanie tej... panny. Jeszcze się zastanowię jak wykorzystać twoje umiejętności. Bo masz pewne szczególne umiejętności. I mimo wszystko nadal masz jaja. Wyczuwam to nawet przez zasłonę twojego strachu. I nie myśl sobie, że zapomniałem o twoich wybrykach i twojej zdradzie. Wiele lat minęło od tamtych zdarzeń, a ja wciąż o nich pamiętam. Ode mnie się nie odchodzi. Chyba, że w zaświaty. Ale chwilowo daruję ci życie.

– Dziękuję Panie Kostuch. Nie pożałuje pan – westchnął Dzikus.

– Ja nigdy nie żałuję. Nikogo i niczego.

* * *

Oglądali ją jak zatechłą kanapkę przed zjedzeniem czy mętny samogon przed wypiciem. Fachowo, ze znanstwem i bezduszną obojętnością.

– Chuda – cmoknęła Gruba Olga. – Za chuda.

– Znajdzie się i na taką amator. – Wzruszył ramionami Ryży. – Sam bym chętnie na nią wlaź.

– Szeff by ci jaja upierdolił – warknęła burdelmama. – Znasz zasady. Zresztą szef zabronił... Ma co do niej inne plany.

– Przecież żartuję – zacisnął usta rudy barman. – Tylko żartuję.

– Jest za chuda – powtórzyła Gruba Olga. – Ale jeśli przeżyje noc z szefem... Chyba się mu spodobała.

– No, he, he...

– Dobra. Ty, Ryży, spadaj do swoich zajęć. A my tu sobie trochę pogadamy. Jak baba z babą.

Mężczyzna niechętnie opuścił pokoik, na odchodnym obrzucając dziewczynę lubieżnym spojrzeniem.

– Ja jestem Gruba Olga – burdelmama dotknęła palcem podbródka Leny – ale to już wiesz. Tak naprawdę nie jestem złą osobą. Po prostu wykonuję takie, a nie inne zajęcie. Jeśli będziesz się mnie słuchała, to obiecuję, że nie spadnie ci włos z głowy. Musisz też nauczyć się przestrzegać specyficznych zasad, które panują w tym miejscu.

– Jakich... – zaczęła dziewczyna, ale przerwało jej siarczyste uderzenie otwartą dłonią w policzek.

– To pierwsza zasada: nie odzywasz się niepytana. Szeff w końcu się tobą znudzi, wtedy będziesz musiała zapracować na swój wikt. A tutaj pracuje się własną dupą. Jeśli klient każe ci jęczeć – jęczysz. Każe stękać – stękasz. Do tego ogranicza się twoja aktywność werbalna. Zrozumiałaś?

Dziewczyna kiwnęła głową, ale na jej twarz spadło kolejne uderzenie.

– Zrozumiałaś?

– Tak – odpowiedziała cicho, z trudem tłumiąc szloch.

– No, uczysz się. Dobrze – Gruba Olga podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. – Mam ci wysłać specjalne zaproszenie? No ruszże się.

Lena posłusznie wstała i, pociągając nosem, ruszyła za burdelmamą, która poprowadziła ją przez duszne korytarzyki dużego domu, należącego zapewne kiedyś do jakiegoś miejscowego milionera

z grubym portfelem i specyficznym poczuciem dobrego smaku. Wymalowane odłóżką, złotą farbą lamperie i wszechobecne rzeźby półnagich amorków współgrały wprawdzie z obecnym przeznaczeniem budynku, ale przed laty musiały wyglądać wręcz groteskowo. W sporych rozmiarów holu czekała na Lenę niemiła niespodzianka. Oprócz dziewczyny siedzącej za barem i śpiącym psem, zobaczyła dwóch, niedawno poznanych przystojniaków. Gęba typa, który wyciągnął ją kilka godzin wcześniej z UAZ-a, pokryta była zaschniętą krwią, a błysk w oczach jego kompana nie wróżył niczego dobrego. Mężczyźni rozsiedli się w olbrzymich fotelach, otaczających jeszcze większy okrągły stół. Na marmurowym blacie spoczywały ich nogi w brudnych butach.

– Olga. – Pierwszy z nich oglądał z zainteresowaniem zawartość trzymanej w ogromnej ręce butelki. – Mieliśmy z nią małe problemy.

– Co z tego? Problemy są wpisane w wasz fach. – Wzruszyła ramionami kobieta.

– Ta kurwa wybiła zęb Jedyńce.

– Kuhwa. – Mężczyzna nazwany Jedyńką podniósł zaciśniętą pięść i językiem wypchnął wargę w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna tkwił ząb.

– Ale co tam. Dziewucha jest *prima sort* – cmoknął pierwszy. – Może... ten... tego... W ramach renko... Jak to się mówi? ...renkopensaty zabawimy się z nią trochę.

– Żadne, kurwa, takie – warknęła Gruba Olga. – Rozporki trzymamy zamknięte, panowie. Rączki przy sobie. Chyba, że chcecie to przedyskutować z Panem Kostuchem?

– No co ty? Na żartach się nie znasz?

– Pan Kostuch raczej się nie zna.

– A ja? – Jedyńka zerwał się na równe nogi. – Ho h moim hębem?

– Będiesz miał jednego mniej – burdelmama wzruszyła ramionami.

– Kurwa, Olga – westchnął pierwszy rozmówca – to był jego ostatni ząb. Dlatego nazywaliśmy go Jedyńką. Jak teraz będziemy na niego mówić?

– Możecie go nazwać jak tam sobie tylko chcecie, na przykład Dwójką, a od dziewczyny wara.

– Przecież to ja jestem Dwójką – zarechotał oprych, pokazując dla odmiany dwa ocalałe zęby na przedzie górnej szczęki. – Dziewucha jest

nerwowa, a szef lubi takie... hmm... temperować. Ale jak już się z nią zabawi...

– Tymczasem weźcie sobie jeszcze po butelce. Na koszt firmy. Dziewczyny również są do waszej dyspozycji. Te dwie co zawsze. Dostaniecie też zniżkę. Zabawicie się, ale jutro. Dzisiejszej nocy lokal jest zamknięty.

– Jak to? – Jedyńka i Dwójka zerwali się na równe nogi.

– To polecenie szefa. Aha, jest z was bardzo zadowolony. Będzie premia...

Gruba Olga szarpnęła dziewczynę za rękaw i poprowadziła w kierunku szerokich schodów z ozdobnymi balustradami. Kiedy znalazły się na drugim piętrze, wyciągnęła pęk kluczy i otworzyła jedne z wielu drzwi, za którymi znajdował się jeden z wielu identycznych pokoików, kłujących w oczy swoją tandetną różowością. Okna zabito od zewnątrz deskami, a jedynym źródłem światła była lampa z czerwonym abażurem. Efekt jaki wywoływało to oświetlenie był przerażająco nieziemski. Podobnie nierealnie wyglądała ciemnowłosa dziewczyna, siedząca na wielkim łóżku, wystrojona jedynie w różowe body i takiego samego koloru kokardkę we włosach.

– To jest nowa – zakomenderowała Gruba Olga i wepchnęła blondynkę do pokoiku. – Przygotujesz ją na nadejście Pana Kostucha.

– Jak to...?

– Głucha jesteś? Przygotujesz ją dla szefa.

– Dobrze – skinęła głową ciemnowłosa i głęboko odetchnęła.

Trzasnęły drzwi, klucz zamknął rygle i dziewczyny zostały same.

– Jak masz na imię? – zapytała różowa.

– Właściwie...

– Jak chcesz – wzruszyła ramionami dziewczyna. – Możesz nie mówić.

– Nie o to chodzi. Ja po prostu nie pamiętam.

– Nie pamiętasz, jak na ciebie mówią? Przespałaś ostatnie lata czy jak?

– Jest to prawdopodobne...

– Nie moja sprawa. Ja jestem Bibi, jeśli cię to interesuje.

– Ładnie.

– Gówny prawda. Gruba Olga tak mnie nazwała i kazała nosić te wstrętne, różowe szmaty. Podobno Pan Kostuch lubi takie klimaty.

Wiem, że on lubi coś innego, ale to szczegóły.

– Ten Kostuch... Kim on jest?

Dziewczyna spuściła wzrok i milczała przez chwilę.

– To najgorszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Niektóre dziewczyny mówiły, że jest mutantem albo demonem. Ja tam nie wiem. W każdym razie ludzie panicznie się go boją.

– A ty?

– Ja mu posłusznie daję dupy. To wszystko. Staram się wtedy myśleć o czymś innym, inaczej bym zwariowała. Jak mu się znudzę, wtedy odda mnie pospolitym łajzom. Ci przynajmniej są na tyle pijani, że poza pogmeraniem mi w majtkach nie za wiele zdziałają.

– Więc jesteś kimś w rodzaju jego... ulubienicy?

– Raczej prywatnej dziwki. A teraz także ty dostąpiłaś tego zaszczytu.

– Cholera.

– Cholera? – Bibi spojrzała w sufit i pokręciła głową. – To jedyne, co przyszło ci do głowy? Zresztą... twoja dupa, twoja sprawa.

– Jesteś strasznie zimna.

– Zimna? – zaśmiała się różowa. – A jaka niby miałabym być? Wytłumaczę ci jedno. Ktoś, kiedyś zniszczył całe moje życie, zabrał wszystko, co kochałam, a następnie zgwałcił niezliczoną liczbę razy i to niby miałyby wywołać u mnie współczucie i miłość do innych? Do innych dziewczyn? Co za różnica, ja czy one? Co za różnica, to miejsce czy inne? Wszędzie śmierdzi tak samo: moczem, potem i czymś jeszcze. Śmiercią. Wiesz dlaczego? Bo wszystkie już jesteśmy martwe. Gwałcą nas bez końca, aż błagamy o śmierć. Kiedy już się do niczego nie nadajemy, pozbywają się nas. Nie powiem ci, w jaki sposób, bo nie wiem. Słyszałam tylko opowieści innych dziewczyn.

– Świat nie składa się z samych... burdeli – zauważyła Lena.

– Zgadza się. Jeśli jakaś dziewczyna ma więcej szczęścia, może trafić na jakiegoś pojebanego dziada, który będzie ją gwałcił na okrągło. Kiedy już mu się znudzi, obedrze ją żywcem ze skóry, ugotuje i zeżre jak świnie. Czy jej los będzie lepszy od naszego? Nie, będzie dokładnie taki sam.

Jasnowłosa usiadła obok różowej i dotknęła jej twarzy, dopiero teraz zauważając bledniejący ślad pod okiem.

– On lubi uderzyć, prawda?

– Uderzyć to mało powiedziane. Kilka razy straciłam przytomność.

Skurwiel jest brutalny i niezwykle silny. No i brzydki.

– W jaki sposób tutaj trafiłaś?

Dziewczyna przez dłuższą chwilę milczała, jakby przywołując w pamięci bolesne obrazy z przeszłości.

– Musieli nas śledzić od jakiegoś czasu. – Bibi podciągnęła kolana do brody i objęła je rękami. – Nie wiem dlaczego tacy ludzie chodzą sobie po świecie, a my... My tylko chcieliśmy lepszego życia. Wiesz, chodzą pogłoski, że na południu kraju coś się zmienia. Podobno tam nie ma Bufora i można uciec jeszcze dalej, do innych krajów, bardziej cywilizowanych.

– Może to tylko ludzkie gadanie.

– Może... Ale my w to uwierzyliśmy. Moja siostra i ja. Nasi mężowie też. Życie stało się zbyt ciężkie, zbyt brutalne. Dlatego zapakowaliśmy dobytek całego życia do dwóch aut i ruszyliśmy w świat. Wszystko było dobrze, dopóki nie wjechaliśmy na drogę numer 19 w okolicy Białego Miasta.

– Białe Miasto – westchnęła Lena. – Gdzieś już słyszałam tę nazwę.

– My też. Dlatego ominęliśmy je szerokim łukiem i zatrzymaliśmy się jakieś pięćdziesiąt kilometrów dalej, na jednej z nielicznych Stacji. Zjedliśmy podłe żarcie, jakie tam serwowali, odpoczęliśmy, zatankowaliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Obserwowali nas już tam, bo zapamiętałam podejrzaną półciężarówkę z przyciemnionymi szybami, która zaparkowała obok naszych aut. Tą samą, która kilka kilometrów dalej zepchnęła nas z drogi. Właśnie nas. Moja siostra i szwagier zdołali uciec, zresztą i tak nie byliby w stanie nam pomóc. Ci, którzy staranowali nasz wóz nie wyglądali na grzecznych chłopców, z którymi można cokolwiek wynegocjować.

– Co było dalej?

– Rozdzielili nas – pojedyncza łza pocięła po jej policzku. – Nie wiem dokąd zabrali mojego męża i pewnie już nigdy go nie zobaczę. Mnie sprzedali Kostuchowi, który część dziewczyn wywoził dalej na wschód, za Bufor. Nie miałam tyle szczęścia, bo wpadłam mu w oko. Tak czy siak, zrobił ze mnie dziwkę. Swoją dziwkę.

– Nie próbowałaś uciec?

– Uciec – usta Bibi wygięły się w delikatnym uśmiechu. – Jak? Dokąd? Gdyby mnie złapali, a stałoby to się prędzej czy później, zatłukliby mnie na miejscu. Kostuch jest niezwykle bezwzględny

i brutalnym bydlakiem. A jego psy służą mu wiernie. Zresztą... Nie sposób opuścić tego miejsca. Okna zabite deskami i tak dalej. Nie jestem sobie w stanie tego nawet wyobrazić.

– No tak. – Jasnowłosa spojrzała wymownie na różowy strój Bibi – w czymś takim raczej trudno podróżować.

– Owinęłabym się prześcieradłem.

– Też jest różowe.

– Kurwa, racja.

Dziewczyny roześmiały się i na moment zapomniały o ponurym pokoiku, groteskowym domu i całej sytuacji, w którą zostały siłą wrzucone.

– A jak z tobą? – odezwała się w końcu Bibi. – Nadal nie pamiętasz swego imienia?

– Przykro mi.

– Masz jakiegokolwiek wspomnienia?

– Nic. Czuję całkowitą pustkę w głowie. Zupełnie jakbym śniła.

– Musze cię rozczarować. Tak wygląda rzeczywistość. Trochę to popieprzone, ale prawdziwe.

– Późno już.

– Może i późno. W tym miejscu upływ czasu nie istnieje. Siedzisz i czekasz, aż Pan Kostuch nadejdzie. Wyobraź sobie, że ten skurwieli...

Przerwał jej szmer dobiegający od strony drzwi. Bibi nerwowo zerknęła w ich kierunku, po czym głośno przełknęła ślinę.

– Skurwieli właśnie przyszedł – szepnęła.

Szczęk klucza, przekręcającego się w zamku, zmroził dziewczyny. Ze strachem wpatrywały się w pokryte łuszczącą się farbą drewniane skrzydło, które właśnie zaczęło się uchylać. W wejściu stanął Pan Kostuch z koszmarnym uśmiechem na pokrytej bladą skórą twarzy. Bibi zaczęła zdejmować body, ale mężczyzna znalazł się koło niej niesamowicie szybko i uderzył ją otwartą dłonią w twarz.

– Nie. – Z jego ust wydobył się chrapliwy głos. – Ty będziesz się przyglądać. Tylko przyglądać. A my już się zabawimy razem z małą córeczką Maksymiliana. Co u tatusia? – Wbił w Lenę niemal zwierzęce oczy, w których odbijało się słabe światło lampy.

– Od tatusia wara – powiedziała cicho, choć bała się jak cholera. – Kimkolwiek by nie był.

Usłyszała jak Bibi wstrzymuje oddech i przygotowała się na

uderzenie, ale Kostuch zaśmiał się głośno, jednocześnie zdejmując długi, skórzany płaszcz. Rzucił go niedbale na podłogę i dopiero wtedy jego dłoń opadła na policzek pyskatej dziewczyny. Zamroczyło ją na moment i zanim szalejący błędnik wrócił do normy, przerażająca postać zdołała już zedrzeć z niej ubranie. Wielka dłoń zacisnęła się na jej twarzy, a druga błędziła po nagim ciele.

– Taaak – zamruczał Kostuch. – O taaak.

Dziewczyna szarpnęła się, ale mężczyzna był niewiarygodnie silny. Zamknęła oczy i kiedy je ponownie otworzyła, nie widziała już różowego pokoiku i dyszącego Kostucha. Zobaczyła za to inne postacie, inny pokój i przypomniała sobie ten sen. Mężczyźni zgromadzeni przy wielkim stole dyskutowali zażarcie, przerzucając się argumentami. Ona podpierała ścianę, obserwując obecnych spode łba. Całe spotkanie przestało się jej podobać, kiedy kacyk Śródmieścia zażądał oddania broni. Niechętnie pozbyła się pukawki, zauważając przy tym, że gospodarze są uzbrojeni po zęby. Takie jednostronne rozbrowienie nie zwiastowało pokojowego zakończenia rokowań. Za chwilę powinna poczuć na ramieniu rękę jednego z obecnych i kiedy naprawdę ją poczuła, odruchowo kopnęła go w kostkę i zacisnęła pięści.

– Jeszcze raz mnie dotkniesz, to zajebię – warknęła.

– Hej, Maksymilian – zarechotał jeden z obecnych. – Co taka nerwowa ta twoja córka?

Jeden z rozmówców odwrócił się i kiedy dostrzegła jego rybie oczy, zrozumiała nareszcie kim jest mężczyzna z jej powracającego koszmaru.

– Uspokój się – skarcił ją ojciec. – Mamy tu ważniejsze sprawy...

Niespodziewane uderzenie w twarz spowodowało ją do poziomu podłogi, a brutalny kopniak w okolice wątroby pozbawił jej płuca powietrza na dłuższy czas. Zaciągnęli ją do obskurnego pokoiku, do ust wepchnęli kawałek brudnej szmaty, a ręce i nogi przywiązali do słupków metalowego łóżka. Jako pierwszy wziął ją grubas, pełniący funkcję burmistrza jeszcze przed Rozbłyskiem. Kiedy go zobaczyła zamknęła oczy, ale i tak przez cały czas pamiętała ostatnie spojrzenie swego ojca paktującego tuż za ścianą.

Gwałtownie otworzyła powieki i, mimo że nad sobą zobaczyła łysą głowę Kostucha, nadal czuła odór tamtego pomieszczenia, słyszała samcze dyszenie tamtych mężczyzn. Wyprężyła się, jej powieki

zatrzepotały, a Kostuch chwycił ją za włosy i szarpnął.

– Żebyś mi tu tylko nie zdechła suko – warknął.

Ale ona z całej siły zgięła nogę, jednocześnie wbijając kolano w jego krocze.

Kostuch znieruchomiał, a jego skóra zrobiła się jeszcze bielsza. Dziewczyna wygramoliła się spod niego i chwyciwszy obrzydliwą łusą głowę wbiła mu kolano w twarz. Mężczyzna zawył, wierzgnął i przewrócił się na bok, plamiąc pościel krwią tryskającą ze zmasakrowanego nosa.

– Właśnie sobie przypomniałam. – Jasnowłosa szybko przeszukała płaszcz Kostucha i z triumfem wyciągnęła pistolet. Szturchnęła Bibi i nakryła jej nagie ramiona skórzanym wdziankiem chudzielca. – W tym ci bardziej do twarzy. Co z tobą?

– Co ty...?

– Skurwiel czy nie, na strzał z kolanka w jaja zareagował jak wszyscy faceci.

– On... się nie rusza.

– Mam nadzieję, że kości nosa uszkodziły mu trochę nerwów. Jeśli miałam szczęście, może nawet oślepnąć. No, zbieraj się. Spadamy stąd.

– Ale jak?

– Na własnych nogach. Szybciej, zanim ten pajac dojdzie do siebie i zaalarmuje swoje psy. Chociaż... Właściwie... Czemu by nie...

Dziewczyna docisnęła kolanami plecy Kostucha i chwyciła jego zakrwawioną głowę.

– Jak już mówiłam, właśnie sobie przypomniałam jak mam na imię.

– No... jak? – spytała drżącym głosem Bibi.

– Lena – odpowiedziała jasnowłosa i skrzyła Kostuchowi kark. – Mam na imię Lena.

* * *

Mały zaciągnął się ostatni raz, upuścił na podłogę żarzącą się resztkę papierosa i zgniótł ją podeszwą buta. Przetarł wierzchem dłoni brudną szybę, próbując dostrzec światła Białego Miasta, lecz otoczone murem budynki ginęły w ciemności. Noc była wyjątkowo pochmurna, księżyc

i gwiazdy niewidoczne. Ale Mały kiwał głową z zadowoleniem. Znajdował się na najwyższym, jedenastym piętrze wieżowca *Gamma* i za dnia mógłby stąd dostrzec najdalsze krańce opuszczonych i zdewastowanych części dawnej stolicy Podlasia. Zajmujący wszelkie możliwe kąty, koczujący nawet na śmierdzącej klatce schodowej wygnańcy raczej nie podziwiali panoramy miasta. Od świtu do zmroku harowali, targając gruz, a nocą spali twardo, wykorzystując każdą wolną chwilę na odpoczynek. Przybywało też ochotników. Bandy włóczęgów ciągnęły nie wiadomo skąd, imaly się każdej roboty, byleby otrzymać dach nad głową i miskę podłej strawy. Mały splunął na samo wspomnienie tej masy ludzkiej bezkrytycznie przyjmowanej w szeregi wyrobników Maksymiliana, odwrócił się, ponuro spoglądając na wychudzonego starca podtrzymywanego przez dwóch przyjemniaczków w wytartych kurtkach.

– To jak, Siwy? – Poświecił latarką na zarośniętą, pokrytą zmarszczkami twarz, oszpeconą dodatkowo szeroką blizną.

– Nijak – wycharczał starzec.

– Obawiam się, że będziesz musiał podjąć decyzję jeszcze dzisiejszej nocy.

– Aż tak ci zależy na moim zdaniu?

– Wyjaśnijmy sobie jedno. – Mały podszedł bliżej i trzepnął Siwego palcem w czoło – jesteś starym dziadem, który ledwo zipie i ledwo chodzi. Nikt tutaj nie będzie po tobie płakał, chociaż jesteś jednym z pierwszych bojowników. Możesz przeżyć swoje ostatnie chwile w spokoju albo zdechnąć tutaj. Starzy towarzysze wiedzą kim jesteś. Pamiętają. Wystarczy, że mnie poprzesz. Jedno twoje słowo.

– Przecież masz za sobą większość.

– Potrzebuję wszystkich. Tych, wśród których masz posłuch, też. Może przede wszystkim ich.

– Ze mną czy bez i tak przegrasz. Wpadłeś na pomysł, którego nie jesteś w stanie zrealizować.

– Tak myślisz?

– No.

– Mylisz się dziadku. Zgniotę Czarnych, Maksymilian wyjedzie na taczce, a miasto będzie znowu nasze. Nasze! Wypędzimy też tych śmierdzieli, którzy złażą się tutaj ze wszystkich dziur. Chociaż może lepiej będzie od razu poderżnąć im gardła. Ostatecznie pozbyć się tego

syfu.

– To już kiedyś było – szepnął Siwy. – Faszysta.

– Kto? Zresztą... Nieważne. To miasto jest dla nas. Prawdziwych bojowników. Nie będzie w nim miejsca dla przybłędów.

– Nawet jeśli ci się uda, zdradzą cię w końcu najbardziej zaufani ludzie.

– Nie odważą się...

– Taaa, jasne. Kamykowi udałoby się zjednoczyć ludzi i pociągnąć za sobą. On miałby posłuch. Tobie się to nie uda. Więc wybacź, ale spadaj.

– Źle wybrałeś. – Mały błyskawicznie chwycił go za szyję i zacisnął palce.

– Kij... ci w oko – wycharczał starzec, z trudem łapiąc powietrze.

Szeroka blizna przecinająca jego policzek zrobiła się wyraźniejsza, odcinała się czerwoną pręgą na siniejącej twarzy. Chwilę później chwyt zelżał. Mały odepchnął słaniającego się na nogach Siwego.

– Zamknijcie tu dziadka. Później podpalcie piętro.

– W porządku. – Jeden z przyjemniaczków kopnął Siwego. – Naznosiliśmy tu wystarczająco dużo szmat, drewna i innego badzewia. Ładnie się zjara. Ogień będzie widoczny z daleka.

– I tak ma być. Na ten znak nasi bracia podpalą kolejne wieżowce. Później zapłonie Białe Miasto. Zapłonie i spłynie krwią. Do roboty panowie...

Nie oglądając się, Mały zszedł na piąte piętro, gdzie czekali na niego mężczyźni o zaciętych twarzach i stwardniałych dłoniach, w których trzymali swoją broń: noże wykonane z zaostrzonych kawałków metalu, pręty zbrojeniowe, nawet deski nabite gwoździami. Zmęczone oczy z napięciem wpatrywały się w dobrze zbudowanego mężczyznę, któremu ktoś podał maczetę zrobioną z kawałka resoru. Na ostrzu tej prymitywnej broni zaśniło światło przenośnych lamp i latarek.

– Panowie, bez zbędnego głędzenia. Rewolucję czas zacząć. I pamiętajcie o jednym. Macie wyrznąć wszystkich. Białe Miasto jest nasze.

Zbiegali po schodach w ciszy. Na wrzaski i krzyki jeszcze przyjdzie czas. Wszyscy od dawna znali swoje zadania. Role zostały rozdzielone, akcja dokładnie zaplanowana. Płonący wieżowiec miał być znakiem dla pozostałych wygnańców. Lada chwila płomienie ogarną dwa pozostałe

budynki – Beta i Delta. Dwa, bo mieszkańcy wieżowca Alfa zostaną potraktowani w szczególny sposób. Tej nocy ochotnicy mieli zostać wyróżnieni w pień.

Przewodzący grupie Mały gestem wstrzymał towarzyszy na parterze. Kopniakiem otworzył drzwi wyjściowe. Na zewnątrz nadzorca budynku właśnie obsikiwał ścianę.

– Kurwa – sapnął mężczyzna, zapinając rozporek – aleś mnie przestraszył.

– Nie śpij, bo cię okradną.

– A niby z czego?

– Z pały.

Facet poprawił tonfę zatkniętą za pasek i chrząknął.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytał. – Jest za wcześnie...

Głos uwiązał mu w gardle, kiedy Mały szybkim ruchem wbił mu ostrze maczety w bok szyi. Wyszarpnął swój oręż i minął obojętnie nadzorcę próbującego powstrzymać krwawienie z przeciętej tętnicy. Funkcyjny z przerażeniem obserwował milczących wygnańców opuszczających wieżowiec. Zanim padł bez życia zdołał jeszcze dostrzec płonący dach sąsiedniego wieżowca.

Rewolucja właśnie się zaczęła.

Rozdział 5

Pancerna pięść

Klucz nasadowy przelatujący koło nosa Przepióreczki i wiązanka przekleństw, dobiegająca z niskiego budynku, będącego warsztatem i garażem jednocześnie sprawiły, że olbrzym zrobił krok do tyłu i zawahał się na moment. Ostrożnie zajrzał przez szczelinę, jaką tworzyły solidne drzwi z futryną, po czym odetchnął i pewniej wszedł do środka. Widok zdemontowanej kratownicy, leżącej obok półciężarówce potwierdził jego obawy. Kamyk brał się za remont auta i najwyraźniej nie był tym faktem zachwycony.

– Hej, brachu – zagadnął Przepióreczka.

– Kto nim jeździł? – stłumiony głos dobiegał z kanału pod samochodem.

– Hmm, głównie ja.

– Naprawdę? Niezły syf zostawiłeś w szoferce. Służyła ci za miejsce do spania, ćpania i wypróżniania się jednocześnie?

– Wiesz...

– Mniejsza o to. Posprząta się. Znaczy, ty to posprzątasz. Najbardziej wkurwiają mnie uszkodzenia zewnętrzne. Na przykład urwane mocowanie zderzaka i kraty.

– Dobra, skończmy z tym ściemnianiem. Auto do niedawna stało w Squacie Czerwonych Latarni, dokładnie tam, gdzie je zostawiliśmy tego pechowego wieczora. Miejscowi nie potrafili go uruchomić, więc urządzili sobie w nim tymczasową melinę. Przód rozwalił pułkownik, podczas przedzierania się przez trakt prowadzący do tego miejsca.

– Niech zgadnę. Niespodziewanie wyrósł przed wami sporej wielkości głaz?

– Zgadza się. – Przepióreczka pogładził swoją czarną brodę. – Domyślam się, że sam nie zawędrował na środek dróżki?

– Moi przyjaciele w kombinezonach OP-1 go tam zataszczyli. Muszę przyznać, że to dobry sposób, zwłaszcza na nieproszonych gości, którzy już raz odwiedzili nasze schronienie. Mam na myśli Czarnych i ich szefa, a twojego nowego przyjaciela.

– Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski – olbrzym zaplótł ręce na piersiach – naprawdę.

– A co? Nie jesteście przyjaciółmi?

– Tak bym tego nie nazwał.

– Wrogami raczej też nie.

– Powtarzam, mylisz się w swojej ocenie sytuacji. Gdybym był na twoim miejscu, przynajmniej postarałbym się zrozumieć pewne... związki między minionymi wydarzeniami i ich ewentualne następstwa.

– Strasznie mądrze gadasz. Podczas pobytu w pierdłu u Czarnych przeczytałeś encyklopedię czy jak?

– Chcę jedynie wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi. Nie będę w stanie tego zrobić, jeśli mi choćby na chwilę nie zaufasz.

– Ależ ufam ci. Jeszcze tego nie zauważyłeś? Gdybym chociaż przez chwilę nabrał co do ciebie podejrzeń, już byś wypoczywał razem z Cierniem w miejscu odosobnienia. Znaczy w chlewiku. Ale dam ci szansę. No dalej, oświeć mnie. – Kamyk wygramolił się z kanału i wytarł czoło wierzchem dłoni, brudząc je przy okazji smarem. – No? Jak to z tobą jest. Grasz na dwa fronty? Komu właściwie służysz?

– Doskonale wiesz, że jestem niezależny...

– Kiedyś może i tak było – przerwał olbrzymowi przemytnik. – Kiedyś mieliśmy swoje ideały, które były ważniejsze nawet niż własne życie. Co z nich pozostało? Wspomnienia. Obawiam się, że nie ma już prawdziwych Wolnych Ludzi.

– Mylisz się – wycedził mechanik. – Zaślepiają cię gniew i żal.

– Wpuszczanie was tutaj było błędem.

– Ale to zrobiłeś – zauważył Przepióreczka. – Pozwoliłeś nam wejść na swoje terytorium, więc tak naprawdę chcesz rozmawiać. Chociaż ta małolata aż paliła się, żeby puścić do nas serię. Skąd ty ją wytrzasnąłeś?

– Białe Miasto ją stworzyło. Jest wyrzutkiem, tak jak my kiedyś. Zresztą... wiem, że mogę na nią liczyć. Udowodniła to. W przeciwieństwie do... – zerknął znacząco na brodacza.

– Taaa... Masz swoją hardość i dumę, ale będziesz ją musiał schować do kieszeni. Dobrze by było, żebyś to zrobił jak najszybciej.

– Przepiór?

– No?

– Mów.

Olbrzym westchnął, zrzucił klucze i śrubki z małego stołka, pełniącego rolę podręcznego stolika na części, po czym usiadł na tej koślawej konstrukcji, która niebezpiecznie zatrzeszczała pod ciężarem mężczyzny.

– Widzisz, pułkownik Cierń dał mi propozycję nie do odrzucenia.

– Niech zgadnę: miałeś mnie zakapować – zauważył sarkastycznie Kamyk.

– Nieprawda. Wprowadziłem cię do Czerwonych Latarni, które są przecież skonfederowane z Białym Miastem. Przecież wiesz jak zmieniło się prawo, kiedy do gry wszedł Cierń i Czarni. I ja złamałem to prawo. Zupełnie nieświadomie.

– Słowo „prawo” jest tutaj trochę nie na miejscu. Wolałbym określenie „widzimi się pana pułkownika”. Przepiór, zdajesz sobie sprawę, że on trzyma w garści Maksymiliana?

– Być może tak trzeba.

– Że co?!

– Słuchaj, ktoś w końcu musiał wziąć Wielkiego Skurwiela za jaja. I nie rozumiem, dlaczego nagle zaczął cię obchodzić jego los.

– Nie jego los mnie obchodzi – wycodził przez zaciśnięte zęby Kamyk – ale tych wszystkich ludzi, którzy budowali Białe Miasto, a teraz budują Mur Zaporowy.

– Jest to niezbędny element prewencyjny – pokiwał głową Przepióreczka.

– No że kurwa. Jakbym słyszał Ciernia. Zrobili ci pranie mózgu? Czy nauczyłeś się podobnych kwestii na pamięć?

– Przemówili mi do rozsądku. – mechanik spojrział przyjacielowi prosto w oczy. – Zdajesz sobie sprawę, że za naszą wschodnią granicą szykuje się zmiana warty? Ktoś wykołegował starą brygadę i szykuje rewolucję. Ktoś zamierza odtworzyć potęgę dawnego bloku

wschodniego i my idziemy na pierwszy ogień. Chcą z nas zrobić niewolników i wyrobników, których jedynym przeznaczeniem będzie tyranie dla panów ze wschodu.

– Taaa, jasne – parsknął przemytnik, ale w tej samej chwili przypomniał sobie ostatnie słowa Aleksieja Fiodorowicza Mroczo. Brzmiały one: „granica z Polską nigdy nie zostanie otwarta”. Nagle to jedno zdanie nabrało innego sensu i Kamyk zrozumiał, że jego białoruski zleceniodawca doskonale znał plany nowej władzy lub domyślał się, jakie będą jej następne kroki.

– Pociąg z paliwem – wypalił.

– Co z nim? – zdziwił się Przepiór.

– Wiedziałeś o nim, prawda? Twoja lokomotywa była sprawna, bo od dłuższego czasu ją naprawiałeś i konserwowałeś. Od samego początku byłeś agentem Ciernia. Czym cię złamali? Szantażem czy przekupstwem?

– Bardzo się myślisz, przyjacielu. Nie jestem i nie byłem niczym agentem. Zgodziłem się pomóc Cierniowi zaledwie kilka dni temu. Przekonał mnie wizją odrodzonej Polski.

Kamyk z niepokojem spojrział na olbrzyma, który z kolei odwrócił głowę i wbił wzrok w punkt gdzieś za drzwiami.

– Mam już dość tego wszystkiego – westchnął w końcu brodacz. – Chcę normalności. Chcę zacząć żyć bez tych wszystkich murów, bez ciągłego oglądania się za siebie i trzymania broni w pogotowiu.

– Nie jestem pewien, czy ja chcę tego samego – zauważył przemytnik.

– Wiesz, na początku podejrzewałem, że to Maksymilian zaczął robić interesy z Aleksiejem Mroczo. Później zrozumiałem, jaką rolę w tym wszystkim pełni Cierń. Niestety pech pokrzyżował jego plany, bo pociąg z towarem zniknął. Jestem pewien, że zrobiliście całą tę zabawę z podstawionym ćpunem i aresztowaniem. Wpierdol też nie był udawany. Muszę przyznać, że dałem się nabrać. Tylko że nadal, przez cały czas coś szło nie tak.

– Co za uparty typ – westchnął Przepiór. – Rzeczywiście. Maksymilian wmieszał się niepotrzebnie...

– A to niby dlaczego?

– Gdyby nie on, nadal gnilibyśmy sobie spokojnie w ciupie. Nie wiem, dlaczego Maksio przeniósł cię do obozu pracy. Oczywiście Cierń wysłał za tobą swojego agenta.

- Mój współlokator...
- Którego zarznął ktoś od Maksymiliana. W ten sposób dostałeś kopa w dupę i poszedłeś na pierwszą linię, z której dałeś dyla przy najbliższej okazji. I tak wysiedziałeś tam dość długo.
- Przez moment bawiła mnie rola eksterminatora. W końcu się znudziłem.
- Musisz przyznać, że Wielki Skurwiel nieźle to wszystko wymyślił. Ostatecznie to jednak ty pomieszałeś wszystkim szyki, szukając zwady z tymi przebierańcami w OP-1.
- Mniejsza o przebierańców. Mówiłeś wcześniej coś o propozycji, jaką złożył ci Cierń. O co chodziło?
- O ten skład z paliwem. Nie zapominaj, że oprócz ciebie tylko ja potrafię obsługiwać lokomotywę.
- Powiedzmy, że rzeczywiście potrafiłbyś nią dojechać dalej niż do starego dworca fabrycznego – skrzywił się Kamyk. – Ale nie przejmuj się, kontynuuj.
- Pułkownik Cierń chciał, żebym odnalazł pociąg, który rozpłynął się w powietrzu, a który w rzeczywistości gdzieś ukryłeś. Prawda?
- I jak. Zgodziłeś się?
- Chyba znasz odpowiedź.
- Słuchaj – wyszczerzy zęby przemytnik. – Kilkadziesiąt ton stali to nie igła. Nie da się tego ukryć w stogu siana.
- Da się – po chwili namysłu odpowiedział Przepióreczka – jeśli ma się odpowiednio duży stóg.
- Nieźle główkujesz.
- Można by, co prawda, prześledzić wszystkie odnogi torów, jakie są po drodze do nieczynnej stacji Zubki, gdzie przerzucaliście podwozia... Tak, wiedziałem o tym. O strzelaninie, jaką tam urządziliście, też. Wieści szybko się rozchodzą...
- Napadli na nas... Ech, szkoda gadać.
- Wracając do tematu, żeby urządzić poszukiwania, trzeba by zorganizować uzbrojony po zęby oddział Czarnych i sporo czasu. Uszczuplenie załogi Białego Miasta byłoby ryzykownym posunięciem, ale wykonalnym. Nadgraniczne tereny nie są zbyt bezpieczne dla obcych, w dodatku obwieszonych bronią, ale w końcu odnaleźlibyśmy te cysterny,
- Pogranicze ma to do siebie – powiedział z namysłem Kamyk – że

uzbrojone oddziały potrafią tam zniknąć jak kamfora. Doskonale o tym wiesz, więc nie ściemniaj. Odrzuciłeś propozycję Ciernia, bo chcesz żyć.

– Jak każdy.

– A z pułkownikiem raczej się nie negocjuje. Wypełnia się jego rozkazy. To człowiek o silnej osobowości, z charakterem. Nie zrozum mnie źle. Nadal uważam, że to bydlak, który nie cofnie się przed niczym w osiągnięciu swego celu. Ja po prostu doceniam przeciwnika. I nie uda mu się mnie zwerbować.

– Nie przyjechaliśmy tutaj, żeby cię werbować. Pułkownik chce cię prosić o pomoc.

– Prosić, powiadasz. – Przemysłownik popatrzył na mechanika spodobał się. – A może mi jeszcze powiesz, po co mu te pieprzone cysterny z paliwem? Będzie organizował zmotoryzowane oddziały samoobrony czy jak?

– Obawiam się, że na to pytanie może odpowiedzieć tylko pułkownik Cierń.

* * *

Kusa skrzywiła się, kiedy Kamyk rozkazał jej uwolnić nowego podopiecznego. Niechętnie opuściła swój posterunek przed drzwiami chlewika i odsunęła solidny skobel, zabezpieczający wejście do dominium Knurka. Świnia z kwikiem przywitała dziewczynę, a pułkownik z ulgą opuścił apartament. Obwąchał rękawy swojej kurtki mundurowej i skrzywił się.

– Tylko bez numerów – warknęła Kusa, poszturchując męczyzną lufą MP5 – bo jaja odstrzelę.

– W porządku. Nerwy nie są wskazane.

– Idziemy do tamtego budynku. Wszyscy już czekają.

Cierń z podniesionymi rękami grzecznie przemaszerował przez dziedziniec, karnie wdrapał się po schodach na trzecie piętro, ponaglany przez dziewczynę wszedł do kuchni i skinął głową obecnym w pomieszczeniu. Dosiadł się do stołu, przy którym siedzieli już Kamyk z Przepióreczką. Kusa z bronią w pogotowiu została przy drzwiach, Babuszka krzątała się po pomieszczeniu. Brakowało tylko Szczurka,

który wolał pilnować bramy. Dziaduszka stał koło okna ze złożonymi na piersiach rękami i obserwował swoich gości ze spokojem.

– No, mateczka – powiedział, kiedy wszyscy zajęli swoje miejsca – przygotuj coś do jedzenia. A my się napijemy. Jak to się mówi: czym chata bogata.

Na stole postawił cztery stakany i natychmiast napełnił je jasnozielonym płynem. Pewna ręka Dziaduszki nie uroniła ani kropli. Przepióreczka wbił wzrok w zawartość swojej szklanki i głośno przełknął ślinę, Cierń wydał wargi, a Kamyk złożył ręce na piersi i skrzywił się.

– Na zdrowie – zachęcił staruszek.

– Co to jest? – zapytał olbrzym, ledwie łapiąc powietrze po wypiciu swojej porcji.

– Samogon z turówką wonną, która nadaje specyficzny kolor i posmak. Turówka to rodzaj trawy, którą kiedyś doprawiano alkohol. Podobno zbierano ją z łąk, na których popasały żubry.

– Bardzo interesujące. – Cierń dotknął ustami szkła i skrzywił się, przełykając niewielką ilość alkoholu.

– Konkretnie – Dziaduszka sięgnął po flaszkę – zbierano je z miejsc, gdzie szczały te żubry. Stąd cały aromat...

– Poważnie? – pułkownik ostrożnie odstawił ledwie napoczęty kieliszek i wytarł usta wierzchem dłoni.

– Chuj tam – Przepióreczka potrząsnął głową. – Ważne, że ma moc. Napijmy się jeszcze.

– Po co ten cały cyrk? – warknął Kamyk, nawet nie dotykając szkła.

– Bo dawno nie widziałem tylu błaznów – westchnął Dziaduszka. – Skoro nie potraficie normalnie porozmawiać, to może po pijaku dojdziecie do jakiegoś porozumienia. Dacie sobie po pysku, później buzi, a następnego dnia, kiedy wytrzeźwiejecie, okaże się, że wszystko nabrało sensu.

– Może to jest jakaś metoda. – Cierń zdecydował się jednak opróżnić zawartość stakana. – Jak to mówią: im więcej wiesz, tym więcej pijesz.

– A ty wiesz dużo, co? – sarkazm w ustach Kamyka był wyraźny.

– Więcej niż inni, to fakt – przyznał pułkownik. – Jak ramię?

– Jak to po postrzale. – W oczach przemysłownika pojawiły się niebezpieczne błyski.

– Do wesela się zagoi. To był jedyny sposób, by cię zatrzymać. Uwierz

mi, gdybym chciał cię wtedy zabić, już byś nie żył.

– Domyślam się.

– Strzelałem w miejsce, w którym nie ma żadnych narządów. Same mięśnie i ścięgna.

– I tętnica – splunął Kamyk – niewiele brakowało.

– Wiedziałem, co robię.

– To co? – wtrącił się Przepióreczka. – Napijemy się jeszcze.

– No, jeszcze po jednym – zgodził się dziadek. – Tylko nie przesadzajcie, bo ten trunek szybko odbiera nogi. Niby jest się trzeźwym, ale jak trzeba wstać... Dobra. Myślę, że najwyższy czas zagrać w otwarte karty. Za chwilę zjemy skromny posiłek, który przygotuje moja żona. Jajecznicą z prawdziwych jajek to nie lada rarytas. Mamy kilka kur, nieźle się chowają. Mniejsza o to. Na początek ustalmy pewne zasady. Wszyscy znajdujecie się w moim domu i musicie przestrzegać moich reguł. Pan wojskowy w zasadzie nie jest tutaj mile widziany – wszyscy wiemy dlaczego. Kilka dni temu wtargnął tutaj razem ze swoimi ludźmi, teraz wrócił jako równorzędny partner w rozmowie. Nie jest pan równorzędnym partnerem – zwrócił się do Ciernia. – W tej chwili traktuję pana jako bandytę, ale otrzyma pan szansę obrony. Zgromadziliśmy się tutaj wszyscy, bo sprawa dotyczy nas wszystkich. Czy to jasne?

– Jasne – zgodził się pułkownik.

– Taaa... – pokiwali głowami Przepiór i Kamyk.

– A zatem, panie wojskowy – Dziaduszką sięgnął po flaszkę. – Zaczynaj pan. I to najlepiej od początku.

– Tak chyba będzie najlepiej – przyznał Cierń i wyjął zniszczoną papierośnicę.

– Tutaj się nie pali – skarciła go Babuszka i zaczęła rozbijać jajka na patelni.

– A, to przepraszam! – Papierośnica z powrotem powędrowała do kieszeni mundurowej kurtki.

Dopiero po dłuższej chwili Cierń zaczął swoją opowieść.

– Tamto lato było gorące jak cholera – powiedział, a Dziaduszką pokiwał głową jakby potwierdzając jego słowa. – Generalnie wszystko zaczęło się pieprzyć i nie mówię o pogodzie. Sytuacja międzynarodowa stała się cholernie napięta. Wielka Rosja rozpoczęła na szeroką skalę realizację swoich mocarstwowych planów. Wszystkie były republiki

sowieckie miały wrócić w jej granice jako podległe prowincje, w tym także Polska. Nasz ówczesny rząd popełnił wiele błędów, zmarnował jeszcze więcej szans na pokojowe rozwiązanie kilku kwestii, ale – przede wszystkim – nie zrobił nic, żeby przygotować się do wojny. Zawodowe wojsko praktycznie nie istniało. Wiem o tym zbyt dobrze i przekonałem się na własnej skórze, ile wtedy było warte wyszkolenie żołnierzy. Ochotnicy z organizacji paramilitarnych mieli więcej werwy na poligonie i strzelali celniej niż mundurowi. Oczywiście zwykli obywatele nie zdawali sobie sprawy, że polityczne gierki na słowa nie skończą się tylko na rzucaniu na wiatr obietnic czy gróźb. Nasz wschodni sąsiad był zbyt potężny, by puszczać płazem ignorancję i głupotę polityków. Rosja czekała na pretekst i doczekała się. Tego nieszczęsnego lata, w ten smutny dzień doszło do GRB. Tak to się chyba fachowo nazywa rozbłysk gamma. *Gamma-ray burst*. Co ciekawe, kiedy po raz pierwszy laboratoria w Los Alamos zaobserwowały to zjawisko, a było to pod koniec lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, natychmiast skojarzono je z próbami nuklearnymi prowadzonymi przez Związek Radziecki. Później okazało się, że te rozbłyski nie mają nic wspólnego z badaniami nad bronią jądrową i potraktowano je jako coś naturalnego i powtarzalnego. Ponad pół wieku później, ktoś zbyt nerwowo zareagował na wyjątkowo silny rozbłysk, który pojawił się w najbliższym sąsiedztwie Ziemi. Ktoś przedwcześnie wydał polecenie i w efekcie kilka bomb spadło na nasze najważniejsze obiekty wojskowe. Na szczęście była to broń konwencjonalna, na szczęście władze Wielkiej Rosji w porę się opamiętały. Na nieszczęście promieniowanie gamma już pędziło w naszym kierunku. W momencie kiedy zarządzono stan najwyższej gotowości na wypadek wojny, znajdowałem się w siedzibie dowództwa mojej jednostki, ulokowanej w Rembertowie, jednej z warszawskich dzielnic.

- Jaka to była jednostka konkretnie? – wtrącił Dziaduska.
- Nosila oznaczenie JW 2305.
- Czy to nie był...? Jak to się nazywało?
- GROM. Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego.
- Nieźle – przyznał staruszek. – Od razu wydało mi się, że gdzieś już pana widziałem. Widzi pan, mam pamięć do ludzkich twarzy. Była to fotografia w gazecie z tamtych czasów. Zadałem sobie trud, by ją

odszukać wśród szpargałów. Nigdy bym nie pomyślał, że ostatni znany dowódca tej sławnej jednostki zagości kiedyś w moim domu. Z tego, co wyczytałem, miał pan lada dzień zostać zdymisjonowany za swoje niezbyt pochlebne opinie o dowództwie sił zbrojnych i rządzie. Że nie wspomnę o pańskim krytycznym zdaniu na temat ówczesnego prezydenta.

Ciszę, jaka zapanowała w kuchni, przerywało jedynie niecierpliwe bębnienie palców Kamyka na blacie stołu. Pułkownik chrząknął, skinął głową na potwierdzenie słów Dziaduszki i kontynuował opowieść:

– Rozkaz o wprowadzeniu najwyższej gotowości przyszedł późnym popołudniem. Niemal równocześnie spadła pierwsza bomba. Prezydent, Rząd, Sztab Generalny i Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych zdążyły się ewakuować. Od dawna przygotowywano się na taką ewentualność, a ćwiczenia przeprowadzano aż do znudzenia. Ucieczka to jedyne co im wyszło. GROM podlegał bezpośrednio Dowództwu Generalnemu i kontakt ze zwierzchnikami urwał się w momencie relokacji sztabu. W stolicy zaczęły się zamieszki i grabieże. To było nawet zabawne, bo w pierwszej kolejności kradziono ze sklepów telewizory i inny sprzęt elektroniczny. Zupełnie nie rozumiałem, w jakim celu rabowano tego typu przedmioty, skoro prądu zabrakło zaraz po spadnięciu pierwszej bomby. Policja i inne służby ochrony prawa i porządku nawet coś tam próbowały robić, ale masa ludzka uzbrojona w cegłówki i kawałki kostki brukowej szybko uwinęła się z jednostkami prewencji. Wtedy podjąłem decyzję o opuszczeniu siedziby Grupy. Razem z kilkunastoma operatorami i żołnierzami wsparcia spakowaliśmy najważniejszy sprzęt na kilka ciężarówek i wyjechaliśmy do miejsca, w którym prowadziliśmy kiedyś szkolenia taktyczne. Mam na myśli poligon w Czerwonym Borze. To taka wioska między Łomżą i Zambrowem.

– Słyszałem o tym miejscu – zauważył Dziaduszka. – Ale tam znajdowało się wtedy więzienie.

– Zgadza się. Zakład Karny powstał w 2001 roku, na miejscu dawnej Jednostki Wojskowej 3466 wchodzącej w skład Nadwiślańskich Jednostek MSWiA. W czasie stanu wojennego zorganizowano tam także ośrodek dla internowanych. Ale to już zupełnie inna historia. Na mocy specjalnych uprawnień na wypadek wojny przejąłem dowodzenie

nad całym kompleksem.

– Nie lepiej było się okopać w jakim bardziej cywilizowanym miejscu?
– po raz pierwszy wtrącił Kamyk.

– Nie. Z pewnych względów, nie.

– Domyślam się – pokiwał głową staruszek – że w Czerwonym Borze znajdowało się coś więcej, niż tylko zespół budynków pokoszarowych.

– Zgadza się. Od początku istnienia jednostki zbudowano tam system podziemnych schronów, w których ulokowano Zapasowy Punkt Dowodzenia na wypadek wojny. W jego skład wchodziły: doskonale wyposażony szpital, kwatery noclegowe dla ponad stu ludzi, magazyny żywności i uzbrojenia – prowiant wymieniano co dwa lata, stanowiska radiotelegraficzne, sztab z kablem telefonicznym grubości ramienia, prowadzącym do stolicy oraz hale garażowe wraz z zawartością i pełna infrastruktura niezbędna do funkcjonowania takiego podziemnego kompleksu przez długie lata.

– I wszystko to znajdowało się tuż pod stopami więźniów? – parsknął Kamyk. – Żaden nie uciekł?

– Wejścia zabetonowano pod koniec lat dziewięćdziesiątych, kiedy likwidowano jednostkę. Dostęp został odcięty całkowicie i dla wszystkich na długie lata.

– Ciekawe, dlaczego opuszczono tak ważne strategicznie miejsce – zastanawiał się Dziaduszek. – Decyzje ówczesnych władz wydają się całkowicie nielogiczne.

– Można by powiedzieć, że były szkodliwe dla interesu kraju – zauważył Cierń. – Schron w Czerwonym Borze przynajmniej zabezpieczono, a znajdujący się dokoła dawny kompleks wojskowy przed wzrokiem ciekawskich chronili uzbrojeni mundurowi – w tym wypadku Służba Więzienna. O wiele gorszy los spotkał podobne obiekty, jak choćby Atomową Kwaterę Dowodzenia na terenie jednostki JW 7215 w okolicach podwarszawskich Lasek.

– Pan jednak wybrał Czerwony Bór.

– Tak – potwierdził pułkownik.

– Dlaczego? Konieczność schronienia się w przeciwoatomowym bunkrze nie mogła być jedyną przyczyną. Prawdopodobnie miał pan do wyboru kilka takich obiektów znacznie bliżej stolicy.

– To prawda. Ministerstwo Obrony Narodowej dysponowało kilkoma podobnymi schronami. Lokalizacji niektórych nie znałem nawet ja.

– Pan od początku miał zamiar ewakuować się właśnie w tamto miejsce. Nie mylę się?

– Jak to mówią: starego wróbla na plewy nie nabierzesz – uśmiechnął się Cierń. – Jest pan mądrym człowiekiem i naprawdę podziwiam pańskie dzieło. To miejsce jest imponujące, a już samo to, że przeżyliście tutaj tyle lat, najlepiej świadczy o jego doskonałym wcześniejszym przygotowaniu właśnie na taką ewentualność. Podobnie sprawa się miała z kompleksem w Czerwonym Borze. Ktoś uznał, że podziemny obiekt może się przydać. Osobą tą był dawny dowódca Grupy Reagowania, generał Ernest Starzyński, przez żołnierzy zwany Starym. Jeszcze przed Rozbłyskiem skupił on wokół siebie silną grupę emerytowanych operatorów nie tylko spośród gromowców, ale także z innych jednostek specjalnych. Jako osoba prywatna wykupił część dawnego poligonu razem ze znajdującymi się na jego terenie budynkami i stworzył tam elitarny ośrodek szkolenia. A wszystko to w odległości nie większej niż kilka kilometrów od Czerwonego Boru. Nie bez powodu.

– Przez cały czas miał na oku jednostkę. Niech zgadnę: generał Starzyński to pana mentor i mistrz?

– To mój dawny dowódca – pułkownik zmrużył oczy. – On zrobił ze mnie żołnierza, ale przede wszystkim patriotę. On dał mi nadzieję na nową przyszłość.

– Pod ziemią? – mruknął Kamyk. – Tak niby miałyby wyglądać ta przyszłość? Życie w podziemnej bazie? Coś tu się nie zgadza.

– System schronów był jedynie środkiem niezbędnym do osiągnięcia celu.

– Jakiego?

– Odtworzenia Polski.

– Karkołomny plan, biorąc pod uwagę realia życia po Rozbłysku – stwierdził Kamyk. – Trzeba by toczyć wojnę z każdym po kolei. Ludzie odzwyczaili się od struktur władzy i jakikolwiek jej przejaw traktowaliby jako zamach na swoją wolność. Ta mentalność jest nadal żywa.

– I tak, i nie. Najlepszym przykładem, że to może się udać, jest Maksymilian i Białe Miasto. Jemu się udało zjednoczyć ludzi.

– Jeśli masz na myśli dawnych bojowników ze squatów, to się mylisz. Oni podporządkowali się idei, a nie człowiekowi. On nas jedynie

poprowadził we właściwym kierunku – walki o teren.

– My chcieliśmy dokładnie tego samego – odparł Cierń – ale na większą skalę. Musielibyśmy podbić cały kraj.

– Do tego potrzeba armii.

– Generał Starzyński rozpoczął pracę nad jej stworzeniem jeszcze przed Rozbłyskiem.

– W jaki niby sposób?

– Może źle się wyraziłem – chrząknął pułkownik. – Generał firmował swoim nazwiskiem badania...

– Badania? – przerwał mu Kamyk. – Podobne jak te w szpitalu psychiatrycznym w Choroszczycy? To właśnie tam robiliście? To się nazywa pranie mózgu, a nie badania. Skąd wy w ogóle wytrzasnęliście tych pseudonaukowców?

– To był autorski projekt doktora Adama Sienkowa, psychologa i psychiatry z Białorusi, który zaszczepił generałowi wizję super wojownika prącego do przodu bez względu na konsekwencje czy obrażenia własne. Wojownika, którego można zwerbować w każdej chwili, w każdym miejscu i podporządkować sobie, nawet nie podchodząc do niego bliżej niż na sto metrów.

– Skądś to znamy, co nie Kusa? – wyszczerzył się przemytnik. – Hycle i Łapiduchy to efekty waszych badań. Trzeba jednak przyznać, że niezbyt udane.

– Mylisz się. Aż do niedawna nie miałem pojęcia o tym, co dzieje się w tym opuszczonym ośrodku w Choroszczycy. Mało tego, badania Sienkowa przeprowadzane były w ścisłej tajemnicy i przy całkowitej kontroli dostępu. Jak już wspominałem, w podziemnym kompleksie znajdował się kompletnie wyposażony szpital, który generał oddał doktorowi do wyłącznej dyspozycji. Obiekt obsadzono wyłącznie ludźmi Starzyńskiego, którzy mieli prawo strzelać do każdego, kto pomimo zakazu będzie chciał dostać się do środka. Do tych, którzy postanowiliby go opuścić, również. Osobiście nigdy nie byłem w tym szpitalu i nie znam osoby, która była. No, może oprócz generała.

– Twierdzisz zatem, że doktorka, której cierpienia ukróciłem nożem zabranym jednemu z twoich ludzi, nie miała nic wspólnego z Sienkowem i spółką?

– Nie wydaje mi się, żeby istniało jakiegokolwiek powiązanie. Wiele rządów prowadziło podobne badania, wręcz rywalizując ze sobą.

– Rywalizując, powiadasz? – powiedział cicho Dziaduszka i skierował wzrok na swoją żonę, która odwzajemniła spojrzenie.

– Skoro nie było związków między tymi dwoma miejscami, to po kiego grzyba się tam pchałeś razem ze swoimi ludźmi? – dopytywał się Kamyk.

– Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z efektów tych badań – przyznał Cierń. – Dopiero tam, w szpitalu psychiatrycznym zrozumiałem, jakim barbarzyństwem są te doświadczenia.

– I pojawiłeś się tam, żeby odstrzelić kilku czubków.

– Nie. Szukałem przyczyny tego... wszystkiego. – Wzruszył ramionami Cierń. – Te kreatury w strojach przeciwgazowych zaczęły się dawać nam we znaki. Chłopcy z Zakładu Karnego dawno temu wysledzili ich gniazdo, ale nie mieli amunicji, żeby się z nimi rozprawić. Powiedzieli mi wszystko, kiedy zaoferowałem im kilka pełnych magazynków w zamian za informacje.

– O mojej wizycie nie wspomnieli?

– Najwyraźniej zapomnieli. Te cysterny z paliwem naprawdę są mi potrzebne – dodał po chwili wojskowy.

– Do czego?

Pułkownik przygryzł wargę i spojrzał najpierw na Dziaduszkę, a następnie na Kusą.

– Podziemny kompleks w Czerwonym Borze kryje jeszcze jedną tajemnicę. Wejście do hal garażowych od strony kompleksu jest zablokowane przez zarwany strop. Wyjazd i rampy rozładunkowe zalano betonem i tak naprawdę tylko kilka osób wie, co znajduje się wewnątrz. Ja jestem jedną z tych osób.

– Mów, nie pozwól by zżarła nas ciekawość. – Ironia w głosie Kamyka była nadto wyraźna.

– W jednym z hangarów stoi pociąg pancerny najnowszej generacji – powoli powiedział Cierń, wyraźnie artykułując słowa. – To znaczy w latach dziewięćdziesiątych był szczytem techniki zbrojeniowej. Aktualnie prawdopodobnie pokrywa go gruba warstwa kurzu.

– Paliwo jest potrzebne do uruchomienia składu – pokiwał głową Przepióreczka, jakby teraz fragmenty układanki zaczęły do siebie pasować.

– Założmy, że oddam ci cysterny. W jaki sposób odzyskasz swój pociąg? Wydaje mi się, że od jakiegoś czasu nie utrzymujesz zbyt

pokojowych stosunków ze swoim dawnym dowódcą.

– Zgadza się. Poróżniliśmy się... Nie zgadaliśmy się w wielu kwestiach i ostatecznie postanowiłem odejść razem z najwierniejszymi ludźmi.

– Pozostaje ci więc zdobycie jednostki siłą.

– Nie do końca – uśmiechnął się Cierń. – Ostatnio sytuacja się zmieniła. Podejrzewam, że oddadzą mi pociąg dobrowolnie.

– Poważnie? – Przemysłnik skrzywił się z powątpiewaniem.

– Tak. W Choroszczy znalazłem zgubę doktora Sienkowa.

– O czym mówisz?

– Nie o czym. O kim – ponownie uśmiechnął się pułkownik. – O twojej domniemanej siostrze, drogi chłopcze.

Stary zegar z kukułką zatrzymał się w momencie, kiedy pułkownik Cierń powiedział słowo „siostra”. Rytmiczne tik-tak ustąpiło miejsca ciszy, która zdawała się być czymś nienaturalnym w tym miejscu. Wszyscy zebrani w kuchni jak na komendę spojrzeli na nieruchome wahadło, a Dziaduszką uśmiechnął się.

– Czasami się zatrzymuje – wyjaśnił. – Trzeba podciągnąć ciężarki. Nie ma w tym żadnej magii.

– Jesteś drugą osobą, która twierdzi że to dziwadło z psychiatrika jest moją siostrą – stwierdził Kamyk.

– Najprawdopodobniej bliźniaczką... Tak, to możliwe – pułkownik potarł podbródek, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając.

– Panie komandosie, co trzeba brać, żeby wymyślać takie historie?

– Gdybym wcześniej zauważył tę anomalię – Cierń zdawał się nie słyszeć ironii w głosie przemysłnika – być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Niestety, moi chłopcy trochę cię poturbowali podczas zatrzymania i... Wiadomo.

– Że niby oczko mi spuchło?

– Mniej więcej. Do tej pory widziałem tylko jedną osobę z heterochromią... to znaczy o różnobarwnych tęczówkach. Była nią pacjentka doktora Sienkowa, którą zupełnie przypadkowo znaleźliśmy w szpitalu psychiatrycznym. Muszę przyznać, że kiedy ją zobaczyłem, opadła mi szczęka. Oczywiście minęło wiele lat... Poznałem ją po tym kołtunie na głowie. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wyglądała dokładnie tak samo. Brudna i w podartej koszuli nocnej. Czy raczej szpitalnej.

– Właściwie, dlaczego ten doktor... Ona mu uciekła, prawda? – zgadywał Dziaduszką.

– Tak brzmiała oficjalna wersja. Uciekła ze strzeżonego szpitala, ulokowanego w podziemnym kompleksie, który z kolei znajdował się na terenie obstawionego przez moich ludzi i funkcjonariuszy Służby Więziennej ogrodzonego obiektu. Najciekawsze, że nikt nie pamiętał, jak do tego doszło. Schron zabezpieczali ludzie wierni Staremu. To fanatycy oddani swemu mentorowi i żaden z nich nie mógł jej pomóc. Tego jestem pewien. Na moich żołnierzach również poległem w stu procentach. A ona pewnej nocy po prostu wyszła na powierzchnię w budynku sztabu, przeszła przez portiernię tuż obok wartownika, otworzyła bramę i zniknęła.

– Niesamowite – przyznał staruszek. – I co było dalej?

– Sienkow się wściekł. Stary również. Szukaliśmy jej przez dwa tygodnie, przeczesując okoliczne lasy centymetr po centymetrze. Puściliśmy trzy grupy pościgowe. Dwie wróciły z pustymi rękami, jedna zaginęła.

– Ta dziewczyna musiała być niezwykle cenna.

– Sienkow przywiózł ją ze sobą zaraz po tym, jak zajęliśmy jednostkę. Miała wtedy może pięć lat. Doktor zjawił się razem z generałem i jak tylko przygotowaliśmy kompleks na przyjęcie – że się tak wyrażę – gości, natychmiast zniknął w czeluściach szpitala.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że ten Starzyński od dawna planował całe przedsięwzięcie i Rozbłysk jedynie ułatwił mu zadanie.

– Nie wiem, co planował Stary – przyznał z zakłopotaniem pułkownik. – Nasze wcześniejsze kontakty i rozmowy dotyczyły wyłącznie problemów związanych z obronnością Polski. W przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego moim zadaniem była ewakuacja ludzi właśnie do Czerwonego Boru.

– Dlaczego ewakuacja? Nie mógł wysłać swoich żołnierzy do walki? To byłoby bardziej patriotyczna postawa niż...

– Niż ucieczka?

– Pan to powiedział – dobrotliwie uśmiechnął się Dziaduszką. – W wojskowej nomenklaturze nazywa się to chyba „wycofaniem na z góry upatrzone pozycje”?

– Jak już mówiłem, poziom obronności kraju w tamtym czasie wołał o pomstę do nieba. W zasadzie żadne bombardowania czy nawet atak

nuklearny nie były potrzebne. Wrogie wojska bez problemu zajęłyby kluczowe miejsca o strategicznym znaczeniu. Być może odbyłoby się to bez przelania kropli krwi.

– Niezbyt dobrze pan oceniał swoich kolegów. Ci z jednostek specjalnych to przecież byli wybitni specjaliści i świetni żołnierze.

– Liczebność tych formacji nie była wystarczająca, by prowadzić jakieś zmasowane działania wojenne. Zresztą... wojsko ma to do siebie, że wypełnia rozkazy dowódców. Wobec zdrady stanu – a tak traktowaliśmy głupie posunięcie decydentów w kwestiach obronności kraju i ich zaniechania w wielu kwestiach – postanowiliśmy przejąć władzę. Czerwony Bór miał stać się naszym punktem awaryjnym na wypadek nieprzewidzianych trudności. Rozbłysk stał się taką trudnością.

– Zdrada stanu to mocny zarzut – zauważył Dziaduszką.

– Cały czas go podtrzymuję. Mam jedynie nadzieję, że ci ludzie zapłacili za swoją butę najwyższą cenę. Rozbłysk w pewnym sensie odsiał plewy od ziarna. Od najdawniejszych czasów taką rolę spełniały wojny.

– Słyszał pan o potopie i Arce Noego?

– Oczywiście.

– Rozbłysk to taki współczesny potop – ciągnął Dziaduszką. – Tylko że on nie wypleniał zła i niegodziwości. On je spotęgował, wyolbrzymił do granic możliwości. Być może jest pan patriotą, nie mnie to oceniać. Ale pewne działania, jakie pan podjął, godziły w ludzi. Zwykłych ludzi.

– Wojna zawsze pociąga za sobą ofiary – zauważył pułkownik.

– To nie jest nasza wojna – staruszek powoli pokręcił głową. – Nie bierzemy w niej udziału. Żyliśmy sobie tutaj spokojnie przez wiele lat. Wtargnięcie pana ludzi to zmieniło. Chcecie rozpętać piekło – wasza sprawa. Ale róbcie to u siebie. My nie będziemy się do tego mieszać.

– Białorusini coś szykują. Ich bojówki, bo trudno to nazwać wojskiem, koncentrują się wzdłuż Bufora. Kiedy wejdą do naszego kraju, ta sprawa zacznie dotyczyć także was.

– Poradzimy sobie. Zawsze sobie radziliśmy.

– Byłem pewien, że mogę liczyć na waszą pomoc. Czyżbym się mylił?

– Moje zdanie pan zna. – Dziaduszką spojrział na Kamyka. – A ty? To, jaką decyzję podejmiesz, zależy tylko od ciebie.

Przemytnik długo milczał, bawiąc się ciągle pełnym stakanem.

W końcu podniósł go do ust i opróżnił.

– Oddam ci cysterny – oznajmił, wbijając wzrok w Ciernia. – Oddam je, jeśli ty oddasz mi Lenę.

– Moi ludzie nad tym pracują...

– Taaa... Jasne! Skąd wiesz, co po niej zostało? Może zakrwawiona kiecka. Ja znam te tereny jak własną kieszeń. Twój chłopcy mogą szukać jej szczątków do usranej śmierci. Bo jedyne, co z niej pozostało, to obgryzione kości.

– Mam inną teorię na ten temat.

– Co ty, kurwa, nie powiesz.

– Drugi zespół poszukiwawczy, jaki wysłałem w ślad za pierwszym, znalazł cztery ciała zakopane w płytkim grobie. Jakies ścierwojady właśnie urządziły sobie ucztę, ale mniejsza o to. Oprócz dwóch moich ludzi odnaleziono też ciała twoich dawnych kolegów.

– Kogo? – Kamyk zerwał się z krzesła.

– Jeden z nich miał na sobie kurtkę z naszywką, przedstawiającą trupa czaszkę ze skrzyżowanymi pistoletami. To chyba symbol Squatu Centrum, czy jak to się tam nazywało.

– Nie rozumiem. O czym ty mówisz? Skąd oni się tam wzięli?

– Wygląda na to, że ktoś jeszcze szuka twojej Lenki.

– Maksymilian?

– Może. Mam go jednak – że tak powiem – pod swoją opieką. Nie ufam mu na jotę. Zresztą ci dwaj to skazańcy. Siedzieli w bloku Delta, tam gdzie ty jakiś czas temu. Może ich sobie przypominasz? Na jednego mówili Łata, na drugiego Ryba.

– Nie doszłoby do tego – westchnął Dziaduszka – gdyby nie pańskie gierki. Lena miała być kartą przetargową. Zarówno w stosunku do mojego syna, jak i Maksymiliana. Chociaż, z tego, co wiem z opowieści, ten drugi z niezrozumiałych dla mnie powodów i tak podporządkował się panu. Bo chyba nie jesteście równorzędnymi partnerami. Legenda walk o miasto i rządząca nim szara eminencja. Nieźle pan to zaplanował.

– Po moim odejściu z Czerwonego Boru musiałem znaleźć miejsce dla siebie i ludzi. – Na twarzy Ciernia zadrgały mięśnie. – Białe Miasto było idealne. Oczywiście po wprowadzeniu kilku zmian, takich jak żelazna dyscyplina i surowe prawo egzekwowane z całą stanowczością.

– Już sobie wyobrażam kraj rządzony przez prezydenta Ciernia –

zadrwił Kamyk. – Bez pozwolenia nie można by głośniej pierdnąć.

– Pomożesz mi, jeśli ją znajdę?

– Jeśli rzeczywiście ci się to uda – wyszczerzył się Kamyk, wstając – to oddam ci pociąg. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym zakończyć tę miłą pogawędkę.

– A ty dokąd? – zdziwił się Dziaduszka.

– Muszę odwiedzić starego znajomego.

– Jadę z tobą. – Kusa stanowczo ruszyła za nim.

– Zostajesz! – Bezceremonialnie odepchnął dziewczynę. – Ty zostajesz!

* * *

– Pana syn – Cierń podniósł do ust ostatni i zimny już kawałek jajecznicy – to ciężki przypadek upor. Oślego upor.

– On ma wiele cech i nawyków, które postronnej osobie mogą się wydawać dziwaczne.

– Kiedyś pewnie uznano by go za osobnika niebezpiecznego dla otoczenia.

– Wychowywał się w otoczeniu niebezpiecznym dla ludzi. Jest jaki jest. Może dzięki temu jeszcze żyje.

– Nie domyśla się pan, dokąd pojechał? – dopytywał się pułkownik.

– Skąd mogę wiedzieć. Raczej nie po ten przeklęty pociąg z paliwem.

– Aha. Nawet gdyby pan wiedział...

– Zgadza się. Jaki właściwie macie plan? – Dziaduszka przeniósł wzrok z Ciernia na Przepióreczkę. – Chcecie zdobyć tę przeklętą jednostkę siłą? Z tego, co zrozumiałem, raczej nie przyjmą was tam z otwartymi ramionami.

– Szturm nie wchodzi w grę – pokręcił głową wojskowy. – Obiekt jest zbyt silnie strzeżony. Nawet gdybyśmy przełamali obronę... Straciłbym wielu ludzi. Oni też. Poza tym, to byłaby bratobójcza walka. Ja chcę wykorzystać kartę przetargową, która sama wpadła mi w ręce.

– Dziewczyna – pokiwał głową staruszek. – Ta niby... siostra mojego syna.

– Kiedy ją odwiozę, Sienkow będzie mi jadł z ręki. Tego jestem pewien.

– Jest dla niego aż tak cenna?

– Widział pan Hycli. To jej dzieło. A raczej jej umysłu. Ona była kluczem do pomyślnego zakończenia eksperymentów. Sienkow prowadził badania na wielu ludziach. Na początku wykorzystywał naturalne zasoby, jakimi byli więźniowie z Czerwonego Boru. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Większość z nich dobrowolnie zgodziła się na uczestnictwo w projekcie. Ci, którzy chcieli odejść – odeszli.

– Domyślam się, że szybko zabiło ich promieniowanie.

– Ich życie, ich sprawa.

– Cięży na panu śmierć wielu ludzi – westchnął Dziaduszk. – Wie pan o tym, prawda?

Cierń nie odpowiedział. Patrzył gdzieś w bok, bawiąc się widelcem, ale zmiana na jego twarzy była nadto widoczna.

– Zawsze robiłem to, co uznawałem za słuszne – powiedział w końcu.

– Oczywiście każdy ma prawo do własnej oceny sytuacji. Pan także.

– Wydaje mi się, że zbyt częste dążenie po trupach do celu wchodzi w krew. Budzi w człowieku naturę drapieżcy.

– Mój cel jest ponadczasowy. Odbudowa kraju...

– Ten Sienkow też miał ponadczasowy cel – skrzywił się dziadek. – Każdy czegoś chce. Tak się składa, że kosztem innych. A ja strasznie nie lubię pasożytów.

– Nie może mnie pan porównywać...

– Nie porównuję. Nawet nie oceniam. Ja tylko wysnuwam wnioski. Kiedy wyruszacie do Czerwonego Boru?

– Moi ludzie czekają niedaleko. Mogę jechać w każdej chwili. Ale musiałbym mieć pewność – Cierń rozłożył ręce – że uruchomię ten pociąg. Bez paliwa...

– Dostanie pan to przekłete paliwo – staruszek spojrzał uważnie na pułkownika. – Widzi pan, ostatnio razem z moim synem wpadliśmy na szalony pomysł, by uruchomić drezynę i ruszyć na eksplorację w miarę przejezdnych linii kolejowych. Pewnie nigdy nie wrócilibyśmy z tej wyprawy. A wszystko przez to przekłete paliwo. A teraz proszę odpowiedzieć szczerze. Myśli pan, że ten pancerny pociąg naprawdę istnieje?

Pułkownik milczał długo. W końcu wstał, podszedł do zegara z kukułką, podciągnął ciężarki, ustawił wskazówki zgodnie ze wskazaniem swojego ręcznego chronometru i puścił w ruch wahadło.

– Temat zainteresował mnie jeszcze przez Rozbłyskiem – zaczął. – Czy wie pan, że pierwsze opancerzone wagony pojawiły się już w połowie dziewiętnastego wieku? Wykorzystywano je między innymi podczas wojny secesyjnej w Ameryce. Oczywiście to były prymitywne jednostki, które nie mogły mierzyć się z tymi, jakie powstawały na początku dwudziestego wieku i to właśnie nasze siły zbrojne miały niemałe zasługi w skonstruowaniu pierwszego pociągu pancernego z prawdziwego zdarzenia. Zaczęło się oczywiście od wagonu towarowego obitego płytą, uzbrojonego w działo i karabiny maszynowe. Potrzeba jest matką wynalazku. Pierwsza wojna światowa sprzyjała nowym rozwiązaniom technicznym, zwłaszcza w dziedzinie uśmiercania przeciwnika. O ile na zachodzie Europy idea takich „wozów pancernych” nie chwyciła, chyba przez wzgląd na wojnę pozycyjną i istnienie stałego frontu, o tyle na froncie wschodnim ta broń sprawdzała się doskonale. Tam front potrafił się przesunąć o kilkaset kilometrów, a obite blachą składy brały udział w niemal każdej potyczce. W Polsce zbudowano w tamtym czasie około dziewięćdziesięciu tego typu pociągów. Były wśród nich zarówno samojezdne wagony bojowe, jak i ciężkie składy z platformami artyleryjskimi, lorami przystosowanymi do przewozu czołgów i przedziałami mieszkalnymi. Od połowy lat trzydziestych zaniechano produkcji opancerzonych jednostek kolejowych. Podobno to rozwiązanie było przestarzałe. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, wystawiono jedynie kilkanaście tego typu jednostek, które z powodzeniem toczyły działania wojenne. Ostatecznie większość z nich została wysadzona przez własną obsługę, kiedy dalsze funkcjonowanie tych zestawów nie miało już sensu. Po wojnie ostatni pociąg pancerny w barwach Służby Ochrony Kolei funkcjonował jeszcze do lat pięćdziesiątych, kiedy to ostatecznie zlikwidowano kolejowe wojska pancerne.

– No chyba nie do końca – zasugerował Dziaduska.

– Mój pociąg to zupełnie inna historia – odparł Cierń. – Jego przeznaczeniem była ochrona jednostki w Czerwonym Borze, a nie działania ofensywne. Chociaż, oczywiście mógł być wykorzystywany w taki sposób. Skonstruowano go we współpracy z inżynierami radzieckimi, którzy budowali bliźniaczy skład gdzieś w ZSRR.

– Budować, a zbudować to... Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Tak naprawdę nie ma pewności, czy to cudo istnieje.

– W jakimś celu powstała linia kolejowa prowadząca do jednostki – głos pułkownika zdradzał, że nie ma pewności.

– Zaopatrzenie – staruszek pokiwał głową.

– Przywożono ciężarówkami. Ta wersja odpada.

– Widzę, że przemyślał pan wszystkie warianty.

– Muszę przekonać się na własne oczy. Muszę.

Cierń popadł w zadumę. Starszy człowiek obserwował go niemal ze współczuciem.

– Przekonam mojego syna, że... – powiedział po chwili Dziaduszka. – Przekonam go. Przynajmniej będę się starał. Co stanie się dalej, to już nie moja sprawa. Nie nasza sprawa. Nie chcemy wojny, nie chcemy pokoju. Jest dobrze.

– Przecież może wrócić normalność.

– A co to jest normalność? – uśmiechnął się smutno staruszek. – Ja już zapomniałem.

Rozdział 6

JW 3466

– Mam nadzieję, że zadziała – mruknął Benner, przekręcając stary, bakelitowy włącznik oświetlenia.

Żarówki zamigotały i dopiero po chwili rozżarzyły się słabo, dając niewiele światła. Z półmroku wyłaniały się równe rzędy regałów magazynowych, w większości pustych. Nieliczne kartony z puszkami, zawierającymi racje żywnościowe miały na wieczkach wybity rok produkcji 2001. Setki ton prowiantu topniały stopniowo, ale nieubłagane. Jedyne pocieszeniem były zapasy amunicji uszczuplone w niewielkim stopniu i skrzynie z kałasznikowami, konserwowanymi regularnie i skrupulatnie. Zarówno gromowcy Ciernia jak i emerycy Starego przywieźli ze sobą skrzynie pełne uzbrojenia. Rezerwy w podziemnym kompleksie czekały więc na „szczególną sytuację” i można było nimi wyposażyć małą armię.

Aby dostać się na poziom logistyczno-magazynowy, Benner i Ostrowska musieli zejść po wąskich i stromych schodach do piwnic zlokalizowanych pod siedzibą dawnego dowództwa jednostki, przecisnąć się przez rozkuty w ścianie otwór, otworzyć niewielkie pancerne drzwiczki na końcu kilkumetrowego tuneliku i pokonać w dół kolejne stopnie prowadzące do wielkich stalowych hermetycznych wrót, za którymi znajdowały się trzy słuzy powietrzne. Kontrolki z oznaczeniami „idź” i „stój” aktualnie nie działały, tak samo jak cały system hermetyzacji. Stożące za służę biurko dyżurnego pokrywał kurz, jedynie ślady stóp odcisnięte na stopniach prowadzącej

na niższy poziom klatki schodowej świadczyły o rzadkich odwiedzinach w tej części podziemnego obiektu. Dostęp do kompleksu miał jedynie Benner i dowódca ochrony szpitala, nie licząc oczywiście Starego i doktora Sienkowa, ale ci ostatni nigdy nie opuszczali swoich gabinetów. Mieli bezpośredni kontakt przez wewnętrzną linię telefoniczną. Generał nie widział powodu, by schodzić do wilgotnych podziemi, a naukowiec nie wynurzał z nich nosa, co Benner przyjmował z zadowoleniem. Nie tylko on nie lubił tego zarozumiałego bubka w białym kitlu. Doktor, pałętający się po naziemnej części jednostki, mógł mieć nie lada kłopoty, zwłaszcza po zmroku. Niejeden żołnierz chętnie pomyliłby go z jakimś intruzem...

Na poziomie oznaczonym jako „minus 1” znajdowały się pomieszczenia sztabu, dyspozytornia obiektu wyposażona w pulpit sterowania urządzeniami, pokój radiowy i teletransmisyjny oraz wyciszona sala bojowa wraz z antresolą obserwacyjną. Poziom „minus 2” był najrozleglejszy i składał się z części mieszkalnej z salami kwaterunkowymi, sanitariatami i kuchnią, części szpitalnej przewidzianej dla stu osób i części magazynowo logistycznej, łączącej się dalej z halą garażową ulokowaną w północnej części jednostki, niemal pod koszarowcami. Korytarz, prowadzący do garaży był aktualnie zablokowany przez zerwany strop. Kilka ton ziemi skutecznie uniemożliwiało dostęp do garażowanych pojazdów. Poziom „minus 3” przeznaczono na infrastrukturę techniczną. Pracowała tutaj hydrofornia, czerpnia powietrza wraz z jego zapasowymi zbiornikami i systemem filtrów, agregatorownia, rozdzielnia elektryczna i stacja pomp paliwowych niezbędnych do zasilania agregatów.

Benner zapuszczał się jedynie na średni poziom, regularnie dokonując inspekcji zapasów i – na wyraźne polecenie Starego – wydzielając racje obsłudze szpitala. Załoga naziemnej części kompleksu wolała żywić się płodami z ogródka. Wystarczająco długo musieli się zadowalać zawartością wiekowych puszek.

Żarówki ponownie zamigotały i przygasały.

– Co jest? – zainteresowała się Ostra. – Instalacja się sypie?

– To nie to – major wyciągnął solidną latarkę i mocny snop światła zatańczył na pustych regałach. – Generator nie wyrabia, transformator ledwo zipie. Nasz doktor potrzebuje sporo prądu – wskazał palcem za siebie.

– Słyszałam, jak Stary mówił, że ta transformatorownia zdolna jest zaopatrzyć w prąd średniej wielkości miasto.

– Może kiedyś tak było. Wiesz, że nasz agregat prądotwórczy miał potrójny system uruchamiania? Na co dzień używano elektrycznego, a jeśli ten zawiódł wykorzystywano sprężone powietrze. W ostateczności odpalano niewielki, specjalny ładunek wybuchowy. Zresztą na poziomie „minus 1” znajduje się drugi zestaw prądotwórczy. Z tego, co wiem, nigdy go nawet nie uruchomiono.

– Byłeś tu wcześniej? W tych bunkrach? Chodzi mi o czasy przed Rozbłyskiem.

– Skądże. Przecież to tajny obiekt. Po raz pierwszy przyjechałem do Czerwonego Boru jako młody żołnierz, chyba krótko przed likwidacją istniejącej tutaj jednostki – w roku 2000 lub 2001, nie pamiętam zbyt dobrze. Służyłem wtedy w 1 Warszawskiej Brygadzie Zmechanizowanej Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSWiA.

– Niezła nazwa. I czym się tam zajmowałeś?

– Maszerowaniem.

– Jak to? W Brygadzie Zmechanizowanej?

– A jak! – Major uśmiechnął się półgębkiem. – Dostałem przydział do jednostki reprezentacyjnej... Czego rzysz? Kiedyś wyglądałem inaczej. Nie miałem tych... – wskazał blizny na twarzy.

– Wiem, wiem. Byłeś piękny i młody.

– Coś w tym stylu. W każdym razie właśnie w Czerwonym Borze odbywaliśmy jakieś przeszkolenie. Tutaj znajdował się 2 Pułk Zabezpieczenia tej samej Nadwiślanki. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nasze jednostki zostaną zlikwidowane i w większości wcielone do przekształcanego właśnie Biura Ochrony Rządu. Ale mniejsza z tym. Kilku chłopaków z miejscowego pułku oprowadzało nas po jednostce i wtedy pierwszy raz usłyszałem o podziemnej bazie. Zbudowano ją jeszcze w okresie zimnej wojny i miało się w niej znajdować cywilne dowództwo obrony kraju, zapasowe stanowisko rządu lub coś w tym stylu. Tak naprawdę nikt nie znał prawdziwego przeznaczenia systemu schronów i bunkrów. Wiadomo było jedynie, że kryją w sobie na przykład kompletnie wyposażony szpital. Któryś z chłopaków opowiadał, że podczas zatowarowania podziemnego magazynu widział pomieszczenia od sufitu do podłogi wyłożone płytkami. Wtedy niezbyt mu wierzyłem, nie za bardzo też można to było sprawdzić. Jedno

wejście do kompleksu znajdowało się w piwnicy budynku sztabu, który został skonstruowany tak, że po zbombardowaniu zapadał się tworząc dodatkową warstwę ochronną nad stropem podziemnej bazy. Kolejne wejście prowadziło od rampy załadowniczej w halach garażowych. Wiosną 2001 roku dostęp do podziemnych pomieszczeń już był zablokowany. Wiem, bo przyjechałem tutaj ponownie na pożegnanie sztandaru likwidowanej jednostki. Nawet wejście do piwnicy pod budynkiem sztabu zamurowano.

– Pamiętam, jak je później rozkuwaliście.

– Ja pamiętam, że tamta wiosna była gorąca jak cholera...

Przerwał mu zgrzyt masywnych drzwi i przekleństwo. Benner spojrzał na Ostrą i skierował latarkę na przybysza, którym okazał się jeden z jego gromowców. Żołnierz stuknął obcasami i zasalutował.

– Co tam?

– Panie majorze, przysłał mnie Stary...to znaczy generał Starzyński.

– Co go tak przypiliło?

– Ma pan natychmiast skontaktować się z Sienkowem.

– Z kim? – Benner spojrzał na Ostrowską, ale ta wzruszyła tylko ramionami.

– No, z tym konowałem.

– Wiem przecież.

– Podobno doktorek dzwonił na „górze”. Pan generał powiedział, że...

– Aha, jasne – Major przypomniał sobie, że Stary miał bezpośrednią linię telefoniczną z „dołem”. Zastanawiał się tylko, czego naukowiec może od niego chcieć.

– Dobra, wracaj na powierzchnię i zamelduj o wykonaniu polecenia. My idziemy do szpitala. Inwentaryzację dokończymy kiedy indziej.

– Eee, panie majorze – Żołnierz nie ruszył się z miejsca. – Jest coś jeszcze. Obawiam się, że zaistniała pewna sytuacja.

– Jaka znów sytuacja? Ewka, ty też masz wrażenie, że ostatnio wszyscy zrobili się bardzo tajemniczy? Mów, o co chodzi.

– Ci jeńcy, których ostatnio złapaliśmy...

– No?

– Wydaje mi się, że to ruscy.

– Jak to, ruscy? – Benner ściągnął brwi. – Przesłuchiwaliście ich? Przecież zabroniłem.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył mężczyzna. – Jeden z chłopaków

przypadkowo usłyszał ich rozmowę. Stąd to domniemanie. Gadali po rusku, to wszystko.

– Zajmę się nimi, jak tylko wrócę od konowała – westchnął major. – Tymczasem zamknijcie ich osobno. Kto wie, skąd się tutaj wzięli.

– W takim razie odmeldowuję się. – Żołnierz ponownie trzasnął obcasami, zakręcił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

– Mam się tym zająć? – Ostrowska szturchnęła Bennera łokciem. – Przesłuchać tych rusków.

– Nie, Ewka. – Pokręcił głową major. – Ty pójdziesz ze mną do Sienkowa.

– A po co? – zjeżyła się kobieta.

– Spokojnie. Wiem, że go nie trawisz. Ale może będziesz musiała mnie powstrzymać przed wybiciem mu zębów.

– E, jak cię wkurwi, to sama wezmę dziada na buty. Nie domyślasz się, czego on może chcieć?

– Zaraz się dowiemy.

Benner zamknął drzwi magazynu, dodatkowo zabezpieczając je stalową sztabą z mocną kłódką, po czym ruszyli korytarzem, łączącym wszystkie sektory drugiego poziomu. Dotarli do kolejnych pancernych drzwiczek, zaopatrzonych w szybkę wizjera. Major podniósł słuchawkę pozbawionego tarczy aparatu wiszącego obok włazu i, zerkając na Ostrą, czekał na zgłoszenie się dyżurnego po drugiej stronie wrót.

– Benner do doktora – zakomunikował, kiedy wartownik w końcu raczył sięgnąć po aparat. – Jest ze mną kapitan Ostrowska.

– Tylko pan. Mam wyraźne rozkazy.

– W porządku – skrzywił się major, domyślając się, że Ostra nie zostanie wpuszczona, choćby stawał na głowie. – Pani kapitan poczeka na mnie przed służą. Mamy tutaj jeszcze robotę do wykonania.

– Jej czekanie może się przedłużyć – zauważył głos w słuchawce. – I to sporo.

* * *

Doktor Adam Sienkow, schowany za grubymi okularami w rogowej oprawie, beznamiętnie wpatrywał się w oszpeconą bliznami twarz majora Bennera, ale jego zaciśnięte dłonie zdradzały, że jest wściekły.

Wściekły jak cholera.

– Prosiłem generała o ludzi, a on przysłał tylko pana – wycedził z wyraźnym wschodnim akcentem naukowiec.

– Co znaczy „tylko mnie”? Jest jeszcze kapitan Ostrowska – zauważył Benner. – Czeka przez bramą grodziową, bo strażnik odmówił wpuszczania kogokolwiek. Oczywiście oprócz mnie. Musiałem też zdeponować u niego broń. Ciekaw jestem, dlaczego dowódca ochrony wydał tak bezsensowny rozkaz. Jak on się nazywa? Janecki? I o co właściwie chodzi? Ktoś zachorował czy jak?

– Nie życzę sobie...

– To nie jest koncert życzeń, doktorze – przerwał mu Benner. – Nie mam czasu i ochoty na gierki z panem. Proszę wyznaczyć osobę, która zaznajomi mnie z problemem, jeśli jakiś istnieje. Chyba, że robi to pan osobiście.

– Dobrze – warknął Sienkow. – Zrobi to jeden z funkcjonariuszy ochrony. Mogę jedynie nadmienić, że mamy pewne problemy z pacjentami.

– Wolałbym, żeby zrobił to Janecki.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zignorował to stwierdzenie Sienkow.

– Jaka?

– Chodzi o incydent podczas ostatniego ataku na bazę. Słyszałem, że zlikwidował pan jednego z napastników. Kobieta.

– Taaak. Ci awanturnicy pozwalają sobie na coraz więcej i są wyjątkowo zuchwali. Ta kobieta samą swoją obecnością stwarzała zagrożenie, które musiało zostać zneutralizowane.

– Więc nie wiedział pan o moim rozkazie?

– Rozkazie? – uniósł brwi oficer. – Nie przypominam sobie, żeby był pan władny do wydawania rozkazów. Przynajmniej nie mnie.

– Prosiłem pana generała – westchnął Sienkow – by jego ludzie szczególną uwagę zwrócili na kobiety... osobniki płci żeńskiej. Jestem pewien, że wydał odpowiednie dyspozycje...

– Może rzeczywiście coś mi umknęło.

– To niedobrze, niedobrze. Widzi pan, musimy się spieszyć...

– Pole walki to nie wakacje. Podczas ostrzału działa się instynktownie. Nie myśli się o braniu zakładników, tylko o własnych czterech literach.

– Niedobrze – zacisnął usta doktor. – Z mojej strony to wszystko.

Niech pan zaczeka przed moim gabinetem. Ktoś po pana przyjdzie.

Benner skinął głową i niezwłocznie opuścił pokój. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, odetchnął z ulgą. Sienkow działał mu na nerwy. Major nie wnikał w eksperymenty prowadzone przez tego pseudonaukowca, dopóki nie musiał ich oglądać na własne oczy. Ale sama świadomość, że ten człowiek prowadzi swoje doświadczenia kilkadziesiąt metrów pod poziomem dawnego budynku sztabu dowodzenia napawała go odrazą.

Po półgodzinnym oczekiwaniu Benner ponownie nacisnął klamkę drzwi i zaklął cicho, kiedy nie ustąpiła pod naporem. Niewiele myśląc, opuścił pomieszczenie z napisem „Izba chorych” i ruszył z powrotem wąskim korytarzykiem łączącym pancerne drzwi wejściowe z zespołem szpitalnym. Dyżurny, siedzący w małej cieniówce przylepionej do ściany obok wejścia, drgnął na widok Bennera.

– Ej, żołnierzu. Nie śpimy na służbie – próbował zażartować major, ale zdał sobie sprawę, że dla niektórych warta trwała nieprzerwanie od kilkadziesiąt lat.

– Nie śpię.

– Dobra. Doktorek miał kogoś po mnie przysłać, ale chyba wyleciało mu to z mądrej głowy. Możesz połączyć się stąd ze swoim dowódcą?

– Mogę – ostrożnie odpowiedział wartownik.

– Dzwoni, muszę z nim natychmiast porozmawiać.

– Nie mogę pana wpuścić do dyżurki.

– W takim razie podaj mi aparat.

Strażnik zastanawiał się chwilę, po czym podał Bennerowi słuchawkę przez niewielkie okienko. Wykręcił odpowiedni numer i wbił wzrok w twarz majora.

– Halo? – Odpowiedział mu szum. – Kurwa, nic nie słyhać.

– Spróbuję jeszcze raz – wyjaśnił wartownik. – Ten szajs ledwo działa.

Po kilku próbach po drugiej stronie kabla telefonicznego ktoś w końcu podniósł słuchawkę i cicho zajęczał.

– Tu major Benner. Z kim rozmawiam?

Głęboki, chrapliwy oddech, jaki rozległ się w słuchawce, sprawił, że mężczyzna spojrzał badawczo na strażnika.

– Pędzicie tam chyba niezły samogon. Ten po drugiej stronie ledwo może mówić.

– Ha... halllo... – w końcu szepnął ktoś do słuchawki.

– No halo, z kim rozmawiam?

– Ja... Janecki...

– No, kurwa, w końcu. Benner z tej strony. Co się tam u was dzieje, do jasnej cholery? Wasz konował nie puścił pary z ust, chociaż Stary... to znaczy generał Starzyński w jakimś celu mnie tutaj przysłał i chciałbym wiedzieć...

Głuche uderzenie i ciągły sygnał oznajmiły, że rozmówca po drugiej stronie linii rozłączył się.

– Co tu się, do cholery, dzieje!? – wybuchnął major, rzucając słuchawką w stronę wartownika. – Potrafisz mi to wyjaśnić?

– Ja tylko pilnuję służby – zaprotestował mężczyzna. – Tylko wypełniam rozkazy.

Dzwonek telefonu przestraszył ich obu. Benner wepchnął rękę przez okienko i chwycił słuchawkę zanim wartownik zdążył ją podnieść.

– Co jest?! – krzyknął.

– To ja... Janecki – szeptał mężczyzna. – Wybacz pan, majorze, ale słuchawka wypadła mi z ręki. Jestem... Dostałem w brzuch, długo nie pociągnę.

– O co tam chodzi, do jasnej cholery? Powie mi ktoś?

– Pacjenci – westchnął Janecki – oni... oni podnieśli bunt.

– Jak to bunt? – Benner zerknął na wartownika, który słysząc ostatnie słowa skulił się na swoim krześle.

– Jakimś cudem obezwładnili jednego z moich ludzi i zabrali mu klucze, broń... Co stało się później, można sobie wyobrazić. Wzięli nas z zaskoczenia, wybili niemal całą załogę. Wielu nas tutaj i tak nie było.

– A Sienkow?

– Nie wiem, co się z nim dzieje. Zniknął, jak tylko zaczęła się strzelanina. Trafili mnie, ale dałem radę zabarykadować się w pokoju dowodzenia. Słyszę ich... Są za drzwiami. Od jakiegoś czasu już się nie dobijają. Zresztą nie mają najmniejszych szans, żeby pokonać stalowe drzwi zastawione pancerną szafą. Nie mają szans... Musi pan wiedzieć, że teraz robią coś innego. Kują.

– Co kują? – nie zrozumiał Benner.

– Kują beton. Całkiem wyraźnie słyszę głuche uderzenia, czuję je. Tutaj nawet drży podłoga.

– I że niby mam spacyfikować bunt, tak?

– Co pan mówił? Słabnę... Z każdą chwilą...

– Jeśli sprowadzę tutaj swoich ludzi i wybiję tę waszą swołocz do nogi, Sienkow będzie wściekły. Muszę porozmawiać ze Starym... Starzyńskim. Ktoś inny musi podjąć decyzję.

– Możecie zrobić... coś innego – głos Janeckiego ścichł. – Jeśli nie będzie innego wyjścia... Odetnijcie to skrzydło... Nie możecie wypuścić ich na powierzchnię. To, co zrobił z ich umysłami doktor... Nie możecie ich wypuścić...

– Wezmę paru ludzi z ciężką bronią i myślę, że damy im jakoś radę. Przecież nie ma ich tam znów tak wielu. W razie czego, możemy zaryglować drzwi przy wartowni...

– Nie o to chodzi. Dyżurny panu powie... Ja muszę odpocząć... Oni znów kują... – trzask słuchawki przerwał połączenie.

– Dobra – Benner spojrzał na mężczyznę za szybą – oddaj mi broń, którą tutaj zdeponowałem przed wejściem.

– Oczywiście! – Wartownik podał mu pistolet.

– A teraz otwieraj wrota. Kapitan Ostrowska musi wejść na teren szpitala.

– Bez rozkazu dowódcy...

– Otwórz te, pierdolone w dupę, drzwi – Benner wymierzył w wartownika broń trzymaną w okienku – Ale już. Moja cierpliwość się kończy.

Mężczyzna westchnął ciężko, wcisnął odpowiedni przycisk i rygle szcześnie odblokowując służbę.

– Co jest? – Ostrowska niepewnie zajrzała do środka, kiedy major odciągnął metalowe skrzydło.

– Przedmioty badań się zbuntowały. Teraz zarygluj wejście – polecił dyżurnemu, dociskając ciężkie drzwi do futryny.

– Chcesz tłumić zamieszki? – wyszczerzyła zęby Ostra. – Może przyniosę pompkę. Mamy kilka strzelb gładkolufowych na stanie.

– Bardzo zabawne. Ty – Benner zwrócił się do strażnika – Janecki coś mówił o odcinaniu skrzydła. Można to zrobić?

– Tak. Dowódca przewidywał taką ewentualność. Trzeba wysadzić korytarz razem z izbą przyjęć. W stropach są zamontowane ładunki wybuchowe.

– Dziwne, że niczego nie dostrzegłem. A takich niespodzianek raczej nie da się zamaskować.

– Wykuliśmy specjalne otwory, które po zamontowaniu ładunków zachlapaliśmy cementem. Zrobiliśmy też specjalne nawierty...

– Sienkow wiedział?

– Nie.

– A ja miałem was, ludzi Starego, za fanatycznych wyznawców prywatnego kultu z nim w roli boga. Widoczne się myliłem. No cóż, człowiek uczy się przez całe życie – kiwał głową Benner. – Jak ty się właściwie nazywałeś?

– Firlej. Sierżant Firlej.

– Może przynajmniej spróbujemy powystrzelać kilku pensjonariuszy tego zakładu? Co, panie sierżancie?

– Ja bym od razu wypierzył wszystko w powietrze. – Dyżurny odblokował drzwi i wyszedł ze swojego kantorka. – Zapalniki zadziałają z opóźnieniem. Czas można ustawić. Na powierzchni nikt nawet nie powinien poczuć tąpnięcia. Sam obliczałem ilość materiału wybuchowego potrzebną do zerwania betonu ze stropu. Widzi pan, powyżej jest jeszcze jedna wylewka, jakby drugi strop. Pomiędzy nimi ulokowano przewody elektryczne, wentylacyjne i tak dalej. Teren powyżej nawet nie osiadzie, a gruz ze stropu skutecznie zablokuje dojście.

– Domyślałam się, że od początku wiedziałeś o buncie.

Dyżurny spuścił głowę i niepewnie zerknął na majora.

– Ja tylko wypełniałem rozkazy. Janecki polecił mi milczeć, do czasu przybycia posiłków z „góry”.

– Pani kapitan i ja jesteśmy posiłkami z „góry”. W gabinecie Sienkowa zamiast doktora mogło na mnie czekać kilku przyjemniaczków z zagotowanymi mózgiami. Nie pomyślałeś o tym? Nie mogłeś mnie ostrzec?

– Daj spokój. – Ostrowska położyła rękę na ramieniu Bennera. – On tylko wypełniał polecenia.

– Taaa, jasne. Jego milczenie mogło kosztować moje życie.

– To co? Odwołujemy tłumienie buntu? – rzuciła Ostrowska.

– Mam ustawić zapalniki? – cicho zapytał Firlej.

– Strasznie spieszycie się, żeby wysadzić to wszystko w powietrze. To nie takie proste. Musimy wyprowadzić stamtąd Sienkowa. Janecki też żyje. Przynajmniej przed chwilą jeszcze żył. Ktoś z załogi też mógł... Co jest?

Ostrowska patrzyła przez chwilę na Bennera i w końcu pokręciła głową z dezaprobatą.

– Kurwa! – parsknęła. – Chcesz ratować doktorka? Tego skurwielca? Jeśli chodzi o Janeckiego, to rozumiem. Ale on?

– Oczywiście, że chcę. To, mimo wszystko, człowiek. Chyba nikt nie chciałby się znaleźć na jego miejscu. Zwłaszcza, kiedy zasypimy jedyną drogę ucieczki.

– A co ty sądzisz o tym pomysle? – Ostrowska spojrzała na sierżanta.

– Co byś zrobił?

– Wyjebałbym to w pizdu.

– Prawidłowa odpowiedź – przyznała pani kapitan. – Wciskajmy guzik i chodu na górę.

– A Starzyński? – Benner złożył ręce na piersi. – Jak mu to wytłumaczysz? Powinniśmy...

– Chuj z nim – zachnęła się Ostra. – Wciskaj ten pieprzony guzik i znikamy stąd.

– Nie mogę się na to zgodzić. – Powoli pokręcił głową major. – Potrzebuję planów szpitala. Narysujesz mi rozkład pomieszczeń.

– Ja bym tam nie szedł – skrzywił się dyżurny.

– Rysuj.

– Tam jest druga śluza, oddzielająca kwatery chłopaków od właściwej części szpitalnej.

– Jak ją otworzyć?

– Tym kluczem. – Firlej podał mu płaską blaszkę ze specjalnymi perforacjami i wycięciami.

– Ewa?

– Nie. Nie pójdę z tobą. Nie tym razem.

– Wcale cię o to nie proszę. Jeśli nie wrócę za... powiedzmy piętnaście minut, wiesz co masz zrobić.

– Kurwa, Krzysiek – sapnęła Ostra. – Nie wyjeżdżaj mi tu z takimi tekstami.

– Może weźmie pan to. – Wartownik podał mu karabinek FN P90 z tłumikiem, latarką i laserowym celownikiem.

– Nieźle tu mieliście zabawki. Jeśli wpadły w łapy pacjentów Sienkowa...

– Za późno na takie rozważania – przerwała mu Ostrowska, wyciągając swojego glocka. – Zaczekam na ciebie przy śluzie. Idziemy.

Ruszyła pierwsza, nie oglądając się na Bennera. Major podążał kilka kroków za nią, kurczowo zaciskając dłonie na broni.

– Boisz się? – rzuciła.

– Nie.

– Masz rację. Ja też nigdy się nie bałam. Chodzi mi o tłumienie buntu. Wiesz, mieliśmy jedną zasadę. Zero litości dla osadzonych. Oni o tym wiedzieli i dlatego stawiali wszystko na jedną kartę. Byli bezwzględni i brutalni. My też musieliśmy tacy być.

– I jaki niby morał mam wysnuć z twoich nauk?

– Po prostu: nie daj się zabić. Chyba jesteśmy na miejscu.

– Tak, to gabinet Sienkowa. Kiedyś znajdował się tutaj pokój zabiegowy, za nim jest kolejny korytarz, prowadzący do ostatniej w tej części śluzu. Dalej znajduje się właściwy blok szpitalny.

– Tutaj chyba kiedyś było drugie wejście – kobieta wskazała odcinający się w tynku kształt.

– Najwidoczniej ludzie Starego sporo tu przebudowali. To normalne. Sam bym tak zrobił.

– Zamknięte – stwierdziła Ostra, naciskając klamkę. – Co robimy?

– Odsuń się.

Benner kopniakiem wyważył drzwi z dykty prowadzące do gabinetu, w którym nie tak dawno rozmawiał z Sienkowem. Rozejrzał się po pomieszczeniu, ale, oprócz naturalnej wielkości plastikowego szkieletu człowieka, nie dostrzegł nic niezwykłego. Wykopał kolejne drzwi i ruszył korytarzem, zaglądając do rozlokowanych wzdłuż niego klitek, służących za mieszkania dla żołnierzy Janeckiego. Sprawdzał te po prawej, Ostrowska przeszukiwała te po lewej. Gwizdnęła z podziwem na widok złożonych w kostkę koców, świadczących o żelaznej dyscyplinie emerytowanych gromowców.



– Czysto – oznajmiła, kiedy dotarli do pancernych drzwi. – Wszyscy są tam, za śluzą.

– Dobra! – Major przestawił karabinek na ogień pojedynczy. – Idę.

– Tylko wróć – zaciśnęła usta. – Będę tu czekała.

Benner przyglądał się chwilę kluczowi otrzymanemu od dyżurnego zanim włożył go do szczeliny. Zerknął przez zmatowiały wizjer, poczekał na szczęknięcie zamka, odblokował śluzę i pociągnął ciężkie skrzydło. Zdziwiłby się, gdyby zawiasy zazgrzytały. Drzwi uchyliły się

bezglóśnie, a Benner ostrożnie wszedł do wąskiego korytarza, oświetlonego jedynie kilkoma migającym żarówkami. Cofnął się o pół kroku, ale za plecami poczuł zimny podmuch śluzy zamykanej właśnie przez Ostrą. Chcąc nie chcąc, głęboko odetchnawszy ruszył przed siebie.

Dokładnie zlustrował prowadzący gdzieś w głąb bloku szpitalnego tunel. Nasłuchiwał przez chwilę. Wszystko wydawało się być w najlepszym porządku i major pomyślał, że ktoś zrobił sobie niezły żart. A może to były wyjątkowo perfidnie zaplanowane ćwiczenia? Powinien przecież słyszeć potępieńcze wycie zbuntowanych pacjentów, niosące się echem strzały i jęki konających. Tymczasem powitała go cisza. Grobowa cisza. Starając się jak najmniej hałasować, zdezorientowany Benner rozpoczął swój zwiad. Szybko dotarł do pierwszego rozwidlenia, przywarł do ściany, przykucnął i jęknął, czując reumatyczny ból kolan. Odczekał chwilę, studiując szkic narysowany przez dyżurnego, i ostrożnie zlustrował tunel odchodzący w lewo. Zaklął, widząc niknącą w ciemności odnogę. Według dyżurnego, to właśnie tam powinna się znajdować kwatera dowódcy i ludzi ze zmiany. Dalej ulokowano pracownię Sienkowa, pomieszczenia techniczne, kuchnię i magazyn. Korytarz urywał się nagle, zablokowany przez zerwany strop. Benner mógł wprawdzie włączyć latarkę, ale w ten sposób od razu zdradziłby się ewentualnym przeciwnikom, którzy mogli się czaić gdzieś w mroku. Podjął szybką decyzję i wskoczył w tunel, skręcający w prawo, omiatając lufą jego ściany.

Wstrzymał oddech. W tunelu, bokiem do Bennera stał nagi mężczyzna, gapiąc się bezmyślnie w mur. Skośtunione włosy i zarośnięta twarz nie pozostawiały wątpliwości. Mógł to być jedynie przymusowy pensjonariusz tego podziemnego szpitala. W świetle migającej lampy, wiszącej dokładnie nad mężczyzną, major dostrzegł błyszczące od potu lub krwi ciało. Instynktownie wycelował i pociągnął za spust. Pensjonariusz zwałił się bezładnie jak lalka, ale z mroku za nim wyłoniła się kolejna demoniczna twarz, która, wykrzywiając wargi, pokazała szerniałe resztki zębów. Benner ponownie pociągnął za spust i odczekał chwilę zanim ruszył dalej. Zdecydował się w końcu włączyć oświetlenie taktycznie. Odetchnął z ulgą, widząc pusty tunel. Przeskoczył nad trupami i przylgnął do pierwszych drzwi jakie

zobaczył. Zastukał w nie delikatnie. Nie słysząc żadnej reakcji, nacisnął klamkę. W środku dostrzegł fotel i biurko z aparatem telefonicznym. Nie interesowały go puste pomieszczenia. Ruszył dalej. Kolejne drzwi były zamknięte na głucho, następne także. Major zawahał się, kiedy dotarł do drugiego rozwidlenia. Rozważał przez chwilę możliwość powrotu do pierwszego skrzyżowania i przeszukania zaciemnionego tunelu, odchodzącego w lewo. Wiedział, że i tak musi spróbować dotrzeć do Janeckiego. Niepokoiliła go jednak ciemność, panująca w tamtym korytarzu. Tutaj przynajmniej co trzecia lampa działała. Gdyby skierował się znów w prawo, powinien dotrzeć do pomieszczeń dla chorych. To właśnie tam mieli być trzymani pensjonariusze Sienkowa. W drugiej odnodze powinny znajdować się sale operacyjne, magazynek z lekami i węzeł sanitarny. Benner tym razem wybrał lewą stronę. Bez przeszkód dotarł do przestronnej sali wyposażonej w łóżka z pasami, dziwne reflektory naświetlające i urządzenia nieznanego przeznaczenia. Zamiast lamp żarowych, w suficie migotały świetlówki, wywołując niepokojący efekt stroboskopu. W rezultacie całe pomieszczenie zdawało się promieniować złowieszczą, a plamy i rozbryzgi krwi na białych kafelkach, którymi wyłożono posadzkę i ściany, wyglądały tak nierealnie, że major stał przez chwilę z otwartymi ustami. Zrozumiał, że ta sala powstała z połączenia kilku mniejszych pomieszczeń. Szybko zbadał pozostałe izby, wszędzie znajdując jedynie plamy krwi.

Postanowił wycofać się ku skrzyżowaniu, widząc, że w tej części szpitala nie znajdzie nikogo żywego. Zawrócił i dopiero teraz zaczął go zastanawiać brak ciał. Na ścianach tunelu dostrzegał krwawe wykwyty i dziury po kulach, ale nigdzie nie znalazł ani jednego trupa. Zdwoił czujność, kiedy dotarł do wyrwanych z zawiasów drzwi, leżących kilka metrów od futryny. Podświetlona tabliczka nad nią informowała, że dalej znajdują się sale chorych. Od razu uderzył go odór krwi, ekskrementów i dawno nie mytych ciał. Kiedy zajrzał do pierwszego pomieszczenia, zrozumiał skąd ten wywołujący wymioty smród. Zawrócił i, zasłaniając usta dłonią, puścił się biegiem w stronę śluzy. Zatrzymał się dopiero w miejscu, gdzie powinny się znajdować trupy dwóch zastrzelonych przez niego pensjonariuszy. Zostały po nich jedynie smugi krwi na posadzce, które zniknęły w mroku niezbadanego jeszcze korytarza. Benner podniósł karabinek i poświecił w głąb

tunelu. W gardle czuł żółć wymiotów, a żołądek zdawał się wywijać hołubce. Zaciskając usta, ruszył śladem krwawej smugi i wtedy to usłyszał. Uderzenia. Stukot i niesione echem korytarzy kucie. Dźwięk, o którym wspominał Janecki, dobiegał z zablokowanej betonowymi odłamkami odnogi prowadzącej do podziemnych garaży, które były też zablokowane od zewnątrz. Ktoś tam jednak był, a dowódca ochrony szpitala nie miał przedśmiertnych zwidów.

Decyzję o wycofaniu się i wysadzeniu obiektu major podjął w tej samej chwili, gdy dobiegł go dźwięk dzwonka telefonu. Przeklął w myślach głupotę dyżurnego, obstawiając, że po drugiej stronie słuchawki czeka właśnie on. Wtedy poczuł uderzenie w ramię. Odruchowo opadł na kolano i omiółł ciemność latarką zamontowaną na szynie karabinka. Kolejne pacnięcie w lewą nogę sprawiło, że upadł na bok, wypuszczając broń z rąk. Latarka zgasła, a on zrozumiał, że rozlewające się po jego ciele gorąco to krew.

„Trafil mnie” – przemknęło mu przez myśl i gwałtownie zaczął szukać zgubionego karabinka. Telefon w końcu umilkł, ale dopiero kiedy echo przestało powtarzać dźwięk dzwonka, Benner usłyszał kroki. Niespieszne i ostrożne, jakby stawiane przez idącą na oślep osobę, która kieruje się jedynie słuchem. Kroki ślepeca, który usłyszał przekłęty dzwonek telefonu. Major postanowił rozliczyć się z wartownikiem, oczywiście jeśli przeżyje.

„Jeśli przeżyję” – pomyślał, zaciskając w końcu palce na lufie karabinka. Podciągnął go i wsparł się wykorzystując jak kulę. Ból w ramieniu i udzie zatętnił, przybrał na sile. Zaciskając zęby, powoli wydostawał się z mrocznego tunelu, bojąc się nawet włączyć latarkę i sprawdzić, czy ktoś rzeczywiście za nim podąża. Odetchnął, kiedy znalazł się w zasięgu pierwszej migoczącej lampy. Przyspieszył, kilka razy poślizgnął się we własnej krwi i dotarłszy do rozwidlenia zaryzykował szybkie zerknięcie przez ramię.

Dostrzegł tylko jedną postać. Zaklął, rozpoznając Sienkova w brudnym fartuchu lekarskim, trzymającego w dłoni pistolet H&K z tłumikiem.

- Kurwa, mogłeś mnie zabić, doktoru – wychrypiał.
- Myślałem – głos naukowca drżał – że to jeden z nich. Niech pan wybaczy. Oni... wydostali się ze swoich cel. Jakimś cudem...
- Padnij – powiedział cicho Benner, a Sienkow zrozumiał

i błyskawicznie rozpląszczył się na posadzce.

Major kilka razy wystrzelił w mrok tunelu, dostrzegając jakiś ruch i nie mylił się. Wyłonili się z ciemności korytarza, spoglądając na dwójkę swoich przyszych ofiar niewidzącymi oczami. Zakrwawieni, podobni bardziej do zjaw niż żywych ludzi.

– Pomóż mi wstać – rzucił major. – Tylko powoli, bez nerwów. Muszę dokuśtykać do służy. To niedaleko.

– Nie dam rady. Zabij ich – zawołał Sienkow. – Człowieku, strzelaj!

– Jest ich zbyt wielu. Rusz się. Wiem, co mówię.

Sienkow z zaciśniętymi ustami podczołgał się do Bennera, dźwignął go za ramię i pociągnął w kierunku wyjścia. Przeróżające postacie ruszyły za nimi.

– Ruchyyy! – z gardła majora wydobył się ryk, ale naukowiec puścił go i dopadł do stalowych wrót.

Gromowiec przewrócił się i nie zdążył nawet pociągnąć za spust, gdy gdzieś nad jego głową zagrzmiął glock.

– Kurwaaa! – wrzeszczała Ostra, jednocześnie chwytając go jedną ręką i strzelając do pędzących kreatur.

Zatrzasnęła pancerne drzwi, zakręciła kołowrotem i zablokowała rygle. Opadła obok Bennera, wierzchem dłoni wytarła krople potu z czoła i odetchnęła.

– Udało się – sapnęła. – Kto cię tak poharatał?

– Nasz doktorek – Benner wskazał głową siedzącego pod ścianą, trzęsącego się Sienkova. – Dostałem tu i ówdzie. Będziesz musiała mi pomóc wyjść na powierzchnię.

– Spoko. Zaniosę cię – próbowała się uśmiechnąć. – Wiesz, że dałabym radę.

– Wiem.

– Masz szczęście, że konował nie trafił w tętnicę udową.

– Gdyby lepiej strzelał, raczej byśmy już nie rozmawiali. – Major słabo odwzajemnił uśmiech.

– Krzysiek – zagryzła wargi. – Co tam się dzieje?

– A bo ja wiem?

– Ci... ludzie...

– To nie są ludzie. Już nie.

– Widziałam ich oczy... Twarze... Były przerażające.

– Ktoś tu nie tak dawno mówił, że niczego się nie boi – zauważył

Benner.

– Nie o to chodzi.

– Przecież wiem. Wydaje mi się, że efekty badań przerosły nieco Sienkowa – powiedział major i spojrzał zimno na doktora. – Skurwiel – wycedził. – Zrobił z nich prawdziwe bestie. Albo przynajmniej takimi się stali przez lata jego doświadczeń. Zapewne nie bezbolesnych. Ostra?

– No?

– Idziemy do Firleja. Musi zadzwonić na górę. Do Starego. Trzeba go o wszystkim poinformować. Sytuacja chyba wymknęła się spod kontroli, co nie, panie doktorze?

– No – stęknął w odpowiedzi naukowiec. – Śluz jest zamknięta, nie przejdą dalej. Ale trzeba zorganizować ekspedycję i stłumić...

– Ja ci, kurwa, stłumię – Ostrowska podbiegła do Sienkowa i uderzyła go wierzchem dłoni w twarz. – Ja ci dam ekspedycję.

Wyszarpnęła z jego ręki pistolet i kopniakiem zmusiła do powstania.

– Pomożesz majorowi. Idziemy.

Doktor chwycił się za policzek, ale posłusznie podszedł do Bennera.

– Ty z lewej, ja z prawej i niesiemy go – instruowała. – Pod ramię i hop do góry... Dobra, idziemy.

Czekający przy śluzie Firlej przestępował z nogi na nogę i zbladł na widok Sienkowa.

– Co się gapisz? – rzuciła Ostra. – Otwieraj śluzę. Spadamy stąd.

– Ale... Co z...

– Uzbrajaj sierżancie – rozkazał Benner. – I spadamy stąd. W podskokach.

– Chwileczkę – zainteresował się doktor. – O co chodzi...?

– O nic – uciał major.

– To ja się biorę do roboty. Tylko, że... Jest coś jeszcze – Firlej przygryzł wargi.

– No, wyduśże to wreszcie.

– Dzwonił ktoś z „góry”. Ale nie generał. Któryś z wartowników. Z portierni przy głównej bramie. Wygląda na to, że mamy kolejny problem.

– Ostatnimi czasy kłopoty to nasza specjalność... – wysapał Benner.

Sierżant przełknął ślinę i niepewnie spojrzał na majora.

– Stary jeszcze nie wie.

- O czym? Wydusisz to w końcu?
- Pułkownik Cierń wrócił – powiedział Firlej.
- Co? Gdzie on jest?
- Przed bramą. Chce rozmawiać tylko z panem.

Rozdział 7

Coś się kończy...

Stłumiony, dobiegający gdzieś z oddali dźwięk wyrwał Dzikusa z odrętwienia. Przez moment myślał, że wyobraźnia płata mu figle, ale dźwięk powtórzył się jeszcze dwukrotnie i brzmiał dokładnie jak odległy, głuchy wystrzał. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, ale nie usłyszał nic więcej, oprócz szmerów mogących być odgłosem dogorywających ciał lokatorów sąsiednich cel wpadających w ostatnie, przedśmiertne drgawki lub tylko wytworem jego umysłu. Przyzwyczajony do otwartych przestrzeni i widoku odradzającego się lasu cierpiał katusze w zamknięciu, w ciemności, ze świadomością ogromnego budynku nad głową. Niemal czuł przytłaczający go ciężar. Pierwotne przeznaczenie budowli było dla Dzikusa zagadką równie wielką jak obecność Kostucha w tym miejscu.

Tropiciel wrócił myślami do dnia, gdy po raz pierwszy spotkał tego demona w ludzkiej skórze. On nie był po prostu nikczemnym, podłym człowiekiem, lecz kwintesencją zła i chodzącą niegodziwością. Opowieści o zbirach Kostucha krążyły wśród Wolnych Ludzi od czasów Rozbłyску, jednak traktowano je jako straszną bajeczkę dla niegrzecznych dzieci. Dzikus sam słyszał ją wielokrotnie z ust swego dziadka, ojca i rówieśników, straszących się wzajemnie podczas długich dni spędzanych w ukryciu. Zabójcze promieniowanie i palące słońce, przenikające bez przeszkód przez zniszczoną warstwę ozonową, praktycznie uniemożliwiały jakąkolwiek egzystencję pod gołym niebem od świtu do zmierzchu. Mieszkańcy blokowisk zabezpieczali się przed

rażącym światłem, najczęściej zabijając okna deskami, jednocześnie dusząc się z gorąca. Tylko noc pozwalała na opuszczenie betonowych kryjówek.

Dzikus miał więcej szczęścia, bo jego rodzina mieszkała na przedmieściach. Aby uniknąć zgubnych skutków promieniowania i upału, ludzie zaczęli powiększać piwnice, które często przekształcały się w prawdziwy system korytarzy i schronów. Pod niszczącymi domami i spękanymi alejkami z kostki brukowej powstawały całe podziemne osady. Przez dziesięć lat morderczego promieniowania rodzaj ludzki robił, co mógł, by przetrwać. Bezradny był jedynie wobec współbraci, zwłaszcza tych lepiej uzbrojonych i bardziej brutalnych.

Kostuch stał się synonimem śmierci, która zstąpiła na Ziemię. Wyobraźnia podsuwała tropicielowi obraz przeklętej postaci ubranej w czarny płaszcz targany wiatrem i jego sługusów przeszukujących kryjówki, polujących na ludzi, mordujących ich bez mrugnięcia okiem. Podkomendnych Kostucha nazywano Hienami i wiele lat później tropiciel zrozumiał, dlaczego przyłgnęło do nich to określenie. Ubrani w brudne łachmany, podobni do żądnych krwi zjaw, zdegenerowani ludzie nie wahali się przed popełnieniem najokrutniejszych czynów, byleby przypodobać się swojemu panu. Ich nadejście zawsze poprzedzało wycie psów. Specjalnie przygotowanych, bojowych psów. Wygłodzone zwierzęta, spuszczone z więzi, atakowały niczego nie przeczuwających mieszkańców samotnych osiedli i siół, węszyły, szukając tych, którzy zdołali się ukryć, i chleptały krew zamordowanych.

Dzikus przypomniał sobie spotkanie z kobietą, która na własne oczy widziała te przerażające sceny i udało się jej uniknąć śmierci. Miało to miejsce wkrótce po ustabilizowaniu się warunków na powierzchni ziemi, kiedy ludzie zaczęli opuszczać swoje schronienia za dnia, przesypiać noce, a pierwsze źdźbła trawy zaczęły nieśmiało wyglądać z pęknięć w asfalcie. Legenda o Kostuchu wryła się w podświadomość tropiciela bardzo głęboko i wróciła natychmiast, gdy tylko usłyszał historię opowiedzianą przez uciekinierkę z jednej z osad założonych poza miastem. Kobieta była śmiertelnie przerażona i dopiero po kilku godzinach doszła do siebie na tyle, by móc streścić przebieg zdarzenia. Z jej słów wynikało, że napastnicy pojawili się niespodziewanie w środku nocy i od razu przystąpili do dzieła zniszczenia.

Wymordowali mieszkańców, ograbili ich domostwa, po czym zniknęli bez śladu. Kobiecie jakimś cudem udało się uciec, zostawiając za sobą drgające zwłoki swoich sąsiadów, którymi zaczynały się już interesować ścierwojady. Gnana grozą, biegła w kierunku przedmieścia widocznego na horyzoncie, aż dotarła do wspólnoty, w której mieszkał Dzikus. Żaden z dorosłych mieszkańców nie zgodził się wrócić razem z ocalałą do jej osady, nikt nie dawał jej nadziei, że ktokolwiek przeżył nocny atak. Starszyzna całą masakrą obarczała jedno ze zmutowanych stworzeń – najprawdopodobniej wielkiego wilka, który rozsmakowany w ludzkiej krwi stawał się niebezpiecznym i trudnym przeciwnikiem, rzadko jednak zapuszczającym się w morze ruin. Nie było to dla niego naturalne środowisko i starał się trzymać w cieniu posępnych, skamieniałych drzew, które wtedy już gdzieś ustępowały miejsca odradzającej się zieleni.

Mieszkańcy wspólnoty nie zdawali sobie sprawy, że śladem ocalałej z rzezi kobiety podążały już Hieny. Nie byli przygotowani na nadejście Kostucha. Jego ludzie pojawili się tuż przed świtem następnego dnia. Ich przybycie poprzedziło wycie psa. Mordowali sprawnie, szybko i bez hałasu. Wielu ludzi umarło we śnie, niektórzy zdołali uciec i ukryć się w piwnicach okolicznych zrujnowanych domów. Dzikus przycupnął w jednej z takich kryjówek i zdołał dostrzec, jak jego kolega razem z rodziną schronili się po drugiej stroni ulicy. Tropiciele siedział w jednej pozycji bardzo długo, bojąc się choćby głośniej odetchnąć. I kiedy już postanowił opuścić schronienie i sprawdzić teren, usłyszał kroki. Niespieszne, w diabelskim rytmie wybijanym podkutymi butami. Towarzyszyło im warczenie, tupot Hien, buszujących wśród ruin i krzyki umierających. Ale to te kroki sprawiły, że Dzikus zastygł przerażony i wpatrywał się w widoczny z jego kryjówki fragment ulicy, na którym w końcu dostrzegł przerażającą postać.

Kostuch kroczył zniszczoną asfaltową aleją i zatrzymał się dokładnie obok tropiciela. Odwrócił się w jego stronę, jakby wiedząc o obecności chłopaka pod betonowym zwaliskiem, i uśmiechnął się. Jego zwierzęce oczy zdawały się wpatrywać wprost w oczy Dzikusa, który bezwiednie wyczołgał się z kryjówki, wstał i wyciągnął palec, wskazując miejsce, w którym schroniła się rodzina jego kolegi. A Kostuch uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując poźółkłe zębiska i klepnął go w ramię.

– Będą jeszcze z ciebie ludzie – zarechotał i strzelił palcami.

Hieny brutalnie wyciągnęły sąsiadów z piwnicy i poderżnęły im gardła. Psy natychmiast zatopiły kły w ciepłych jeszcze ciałach. Dzikus nigdy nie dowiedział się, jaki los spotkał jego rodziców. Przekonał się natomiast, ile znaczy dobroć Kostucha, który postanowił zrobić z niego Hienę. Zrozumiał też, że nie tylko bojowe psy obgryzały kości swych ofiar...

Huk wystrzału rozległ się tak nagle, że Dzikus niemal podskoczył ze strachu. Tym razem był pewien, że ktoś pociągnął za spust i to całkiem blisko. Być może w jednej z sąsiednich cel. Zadrżał, gdy zasuwa w drzwiach jego ciemnicy przesunęła się, zardzewiałe zawiasy jęknęły i odrobina światła wpadła do celi. Zrozumiał, że jego życie skończy się za chwilę. Zacisnął powieki, jednocześnie próbując zwinąć się w kłębek. Cieniutka skóra powiek nie chroniła oczu przed nagłym olśnieniem. Wiedział, że po chwili jego oczy przyzwyczają się do otoczenia, ale teraz ta jasność sprawiała mu ból. Usłyszał czyjeś kroki i automatycznie przygotował się na brutalne kopnięcie. Uderzenie jednak nie nastąpiło, a czyjaś dłoń delikatnie poklepała go po ramieniu.

– Znów się spotykamy – usłyszał znajomy, kobiecy głos. – Kiepsko wyglądasz.

– Co chcesz z nim zrobić? – inna dziewczyna najwyraźniej niecierpliwiła się.

– Zabrać ze sobą.

– Po co?

– Z tego samego powodu, z jakiego ty jesteś tutaj, a nie przy trupie Kostucha. Jasne?

– Jasne – burknęła dziewczyna.

– A ty? Na co czekasz? Podnieś go. Tylko ostrożnie i bez głupich pomysłów, bo odstrzelę ci łeb. Wiesz, że zrobię to bez mrugnienia okiem.

– Wiem – warknęła inna kobieta, najwyraźniej wrogo nastawiona.

„Powodzenia” – pomyślał tropiciel i zaśmiał się w duchu, wyobrażając sobie babę uginającą się pod jego ciężarem. Jednak kiedy poczuł silne ręce chwytające go niczym niemowlę, zmienił zdanie co do babsztyla, podnoszącego go bez wysiłku jak szmacianą lalkę.

– Idziemy. Bibi, pilnujesz naszej damulki. Masz strzelić jej w łeb, nawet jeśli głośniej przełknie ślinę. Jasne?

- Aha.
- Będiesz w stanie to zrobić?
- Bez najmniejszego problemu.

Kiedy opuścili celę, Dzikus zdecydował się wreszcie uchylić powieki. Pamiętał, że lampy na korytarzu świeciły słabo i było ich dziesięć. Dostrzegł dziewczynę ubraną w śmieszny, różowy kostium i skórzany, dziwnie znajomy płaszcz. Czuł oddech wielkiej baby trzymającej go na rękach i odwrócił głowę. Jasnowłosa, jakby wyczuwając jego wzrok, spojrzała na mężczyznę, puściła do niego oko i uniosła dubeltówkę z obciążoną lufą.

- Zabieram cię stąd – oznajmiła.
- Dokąd? – wyszeptał.
- Do innego świata.
- Dzięki – próbował się uśmiechnąć.
- Spłacam tylko swój dług. Życie za życie. Idziemy.

Maszerowali korytarzem, który teraz wydawał się Dzikusowi o wiele dłuższy niż kilka godzin wcześniej. Jego organizm, trawiony wtedy pierwszą gorączką, zapewne podsuwał umysłowi fałszywe wizje, a szok powypadkowy zaburzał percepcję. Tropiciel miał nadzieję, że Kostuch i jego wierne psy też były tylko majakiem. Koszmarnym majakiem.

- Dokąd... – sapnął babsztyl, kiedy dotarli do klatki schodowej, którą Dzikus również miał okazję poznać.

- Na górę? – różowa spojrzała na Lenę.
- Oczywiście. Nie mamy czasu na przeszukiwanie niższych poziomów, chociaż mogą skrywać niejedną tajemnicę. Co nie, Olga?

Grubaska skrzywiła się i z mozołem zaczęła się wspinać po schodach. Na półpiętrze minęła kolejny korytarz i Dzikus zdał sobie sprawę, że to właśnie na tym poziomie doszło do jego spotkania z koszmarem przeszłości. Szczyt klatki schodowej zwieńczony był solidnymi drzwiami, wzmocnionymi dodatkowo metalowymi sztabami. Gruba Olga zatrzymała się i zawahała na moment.

- Wchodzisz pierwsza. No, dalej – ponagliła ją Lena. – Spodziewasz się, że ktoś usłyszał strzały i czeka po drugiej stronie?
- Nie uda się wam uciec – warknęła burdelmama.
- Już nam się udało. Zresztą... Kto miałby nam przeszkodzić?
- Zemsta Pana Kostucha spada na wszystkich, którzy...
- Ten pojebany cieć zdechł – wyjaśniła Jasnowłosa – a twój tłusty

kundel zżarł jego uszy. Zapomniałaś już?

– On. – Potężna kobieta zadrżała. – On jest wieczny. Nieśmiertelny. Naprawdę nie sposób go zabić. Odkąd pamiętam...

– Nikt nie jest wieczny – przerwała jej Lena i dźgnęła w bok lufą obrzyna. – Właż.

Gruba Olga pchnęła barkiem drzwi i pomaszrowała w kierunku wielkiego holu. Mimowolnie odetchnęła, gdy zobaczyła jedynie ciała dwóch goryli. Wiedziała, że za barem, w kałuży krwi leży jej najlepsza dziewczyna, która nie zdążyła nawet sięgnąć po schowaną pod kontuarem dwururkę z oberżniętą lufą. Dostała kulkę jako pierwsza. Po niej jasnowłosa dziewczyna, która niespodziewanie pojawiła się na szerokich schodach, odstrzeliła pijanych Jedynekę i Dwójkę. Gruba Olga siedziała wtedy po drugiej stronie salonu i pochłaniała książkę dawno zapomnianego autora popularnych przed laty romansów. U jej stóp spał wyleniały, ślepy na jedno oko i całkowicie głuchy pies, będący jej jedynym przyjacielem. Widziała niejedną śmierć, doświadczyła niejednego cierpienia, ale nigdy nie czuła strachu. Lufa wycelowana w jej głowę bardziej ją zaskoczyła niż przeraziła. Wypuściła z rąk czytało, wstała i wtedy dostrzegła Bibi w jego skórzanym płaszczu narzuconym na różowy strój. Dziewczyna szepnęła coś do blondynki.

– Więc przyniesiesz tę broń, skoro wiesz gdzie jest.

– Ale na pewno zabiłaś tę kurwę za barem? – upewniła się Bibi.

– A jak ci się wydaje?

– Dobra, idę.

Różowa, starając się nie wdepnąć w kałużę krwi, rosnącą wokół głowy barmanki, obeszła kontuar. Wyciągnęła spod blatu dubeltówkę i chwyciła garść leżących obok naboju.

– Niezła zabawka – przyznała blondynka. – Pokaż mi to. Może nieźle kopać. Umiesz strzelać z pistoletu?

– Jasne.

– Więc trzymaj. – Podała jej broń i zwróciła się do burdelmamy: – Ty, gruba, mamy coś dla twojego pupila.

– Dla kogo?

– Twojego kundla, kochaniutka. – Mówiąc to, rzuciła coś zakrwawionego, co upadło tuż przed pyskiem zwierzęcia.

Pies natychmiast wywęszył mięso i zaczął rzuć krwawy ochłap,

w którym Olga rozpoznała odcięte ludzkie uszy. Teraz zadrżała, przypominając sobie ten widok, ale kolejne szturchnięcie lufą obrzyna sprawiło, że opanowała się, zaciskając usta.

Obecność ciał dwóch goryli poznanych kilka godzin wcześniej w przydrożnym barze nie zdziwiła Dzikusa. W duchu musiał przyznać, że ich zabójca wykazał się nie lada kunsztem, posyłając im kulki prościutko między oczy. Chłopcy nadal mieli na twarzach ten niesamowity i głupi zarazem wyraz zdziwienia. Tropiciel wiele by dał, żeby być tutaj, kiedy Lena pociągała za spust. Domyślał się, że ta przerażona dziewczyna, którą wyciągał spod trupów na leśnej polanie przeżyła coś w rodzaju metamorfozy czy odrodzenia. Rozumiał to, bo sam kiedyś osiągnął podobny stan ducha i umysłu. Zmienił się wtedy w innego człowieka i odszedł od Kostucha. Przestał być jedną z jego Hien, chociaż to brzemię ciążyło mu przez długie lata.

– Gdzie są klucze do auta? – Lena uniosła brwi.

– Do jakiego auta? – sapnęła Gruba Olga.

– No przecież nie do naszego. Interesuje mnie holownik, należący do tych dwóch stygnących przystojniaków.

– Pewnie – burdelmama zerknęła na ciała leżące na fotelach – któryś ma je w kieszeni.

– Bibi, sprawdzisz?

– A mam jakiś wybór? – dziewczyna skrzywiła się, ale podeszła do trupów goryli i z wyrazem obrzydzenia na twarzy zaczęła dotykać palcem wskazującym ubrań mężczyzn.

– Długo jeszcze?

– Chyba to mam! – Różowa triumfalnie wyciągnęła pojedynczy klucz z brelokiem w kształcie trupiej czaszki.

– Dobra, teraz prowadź do auta.

– Tędy. – Burdelmama przeszła obok baru, za którym znajdowała się sporych rozmiarów kuchnia. Pomieszczenie posiadało własne zaplecze i osobne wyjście prowadzące na tyły pałacu, gdzie stał zaparkowany potężny holownik. – Jest. – Gruba Olga spojrzała spode łba na Lenę. – Co dalej?

– W porządku. Bibi, siadaj z przodu, a ty – wskazała burdelmamie pojazd – ostrożnie połóżysz go na tylnym siedzeniu i usiądziesz obok. Moja różowa koleżanka przez cały czas będzie do ciebie mierzyła. Ostatnio jest trochę nerwowa, więc módl się, żebyś nie wpadła

w poślizg, bo jej palec może się omsknąć na spuście, a wtedy...

Lena poczekała, aż Olga wgramoli się do szoferki i sama wskoczyła za kierownicę. Do stacyjki wetknęła kluczyk, silnik zabulgotał, bieg wszedł ze zgrzytem, ale auto ruszyło. Dodatkowe halogeny dalekiego zasięgu rozjaśniły noc, a gwałtownie wciśnięty pedał gazu sprawił, że auto wyrwało do przodu, wciskając pasażerów w fotele. Jechali długim podjazdem, osłonionym przez szpaler kikutów uschniętych drzew. Kilkaset metrów dalej drogę zagroziła im brama i strażnik wymachujący kałachem. Lena mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Kratownica holownika wbiła mężczyznę w stalowe przesło, wyrrywając je następnie z zawiasów. Silnik zaryczał, opony zapiszczały, stykając się nagle z asfaltową drogą, ciągnąca się przez suchy las. Dziewczyna zerknęła w lusterko wsteczne, ale nie dostrzegła rozmiarów monumentalnego pałacu, który już skrył się za zasłoną nocy.

Kilka kilometrów dalej Lena zatrzymała holownik, odwróciła się i spojrzała uważnie na Grubą Olgę.

- Tutaj twoja podróż się kończy.
- Domyślam się - zadrzała burdelmama.
- Wypierdalaj.
- Co? Jak to?

- Otwórz drzwi i wysiądź. Nie obawiaj się, nie strzelę ci w plecy. Szkoda mi nabojów. Puszczam cię wolno, bo nie zrobiłaś mi większej krzywdy. W każdym razie nie zdażyłaś. Ale otrzymujesz zadanie do wykonania. Po powrocie do leśnej meliny uwolnisz wszystkie dziewczyny i każdego, kto gnije w piwnicach Kostucha. Mogę ci obiecać, że wrócę i sprawdzę, jak wykonałaś moje polecenie. Jeśli dasz ciała, to... cóż. Domyśl się, co ci zrobię. Na pewno będzie bolało. A na razie żegnaj, Gruba Olgo. I biegnij, biegnij zanim zeżre cię jakaś bestia.

- Zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem ośłupiałej kobiety.

Silnik holownika zaryczał i po chwili burdelmama przestała być widoczna w lusterku wstecznym, a Lena uśmiechnęła się.

- Czy nasz pasażer żyje? - zapytała, nie odwracając głowy.
- Tak, żyję - odpowiedział Dzikus z tylnego siedzenia. - Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.
- E tam.
- Perfekcyjnie przeprowadzona akcja. Ale co dalej?
- Ty mi powiedz.

- Ja? Myślałem, że masz jakiś plan.
- Plan? - Lena zerknęła przez ramię na rannego mężczyznę. - Nie mam żadnego. Jakoś tak samo wyszło...
- Samo wyszło - pokiwał głową Dzikus i jęknął z bólu.
- Dokładnie. Nieźle cię poharatali, ktoś musi się tobą zająć. Znasz jakąś babkę znachorkę albo leśnego szamana?
- Znam.
- W takim razie pojedziemy właśnie do tej osoby. Ale najpierw powiesz mi, dla kogo pracujesz.
- Nie rozumiem - zdziwił się Dzikus.
- Ktoś zatrudnił cię w charakterze łowcy głów. Mnie interesuje, kto to był.
- Domyśliłaś się.
- Głupią blondynką nie jestem. Wpadłam już na to, że nie do końca przypadkowo znalazłeś się w tym samym miejscu i w tym samym czasie co czterech zabijaków, którzy zatłukli się nawzajem. Mam na myśli tę leśną polankę, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy.
- Znam tylko pośrednika. - Dzikus doszedł do wniosku, że nie ma sensu kłamać. - Nie wiem, kto był zleceniodawcą.
- Słucham zatem.
- Mówią na niego Tatko. Robiłem z nim interesy już wcześniej, ale nigdy nie proponował mi podobnej roboty. Jak już mówiłem, to tylko pośrednik. Chcesz się na nim mścić? Jest zwykłym handlarzyna.
- W takim razie kupię od niego informację. Odpowie mi na kilka pytań. To wszystko.
- Słuchaj, głupio wyszło. Ja nie zajmuję się tropieniem ludzi. Właściwie nie wiem, dlaczego przyjąłem to zlecenie. Licho mnie podkusiło.
- Może to przeznaczenie? - zaśmiała się Lena.
- Nie wierzę w tym podobne bzdury.
- A wierzysz w cokolwiek?
- Czasami. Musisz wiedzieć, że cała ta sprawa zaczęła mi śmierdzieć, kiedy Tatko skontaktował mnie z tymi dwoma oprychami z Białego Miasta. Twój ojciec...
- Co mój ojciec? Próbujesz się usprawiedliwiać, bo mam broń? Czy jest inna przyczyna?
- Mówiłem ci już. Takie akcje nie są w moim stylu. Nie powinienem

wnikać, kto i dlaczego mnie wynajął.

– Ale wniknąłeś.

– Maksymilian... Prawdopodobnie to on zlecił odnalezienie ciebie. Ale nie dotrzesz do niego.

– Dlaczego nie?

Dzikus zamyślił się na chwilę.

– Kiedy po raz ostatni byłeś w Białym Mieście? – zapytał w końcu.

– Kilka lat temu – mruknęła.

– Z tego, co wiem, kilka ładnych lat temu. Ja jeszcze dłużej, chociaż wychowałem się na przedmieściach tego, co kiedyś było miastem. Od jakiegoś czasu sytuacja nieco się zmieniła. Nikt nie może ot tak sobie przekroczyć jego granic. Nie mówiąc już o wyjściu z niego.

– Co w takim razie zrobiłbyś na moim miejscu?

– Ja?

– Wplątałeś się w ten śmierdzący interes, więc możesz mi chyba coś doradzić.

– Proponuję zapomnieć o sprawie. Sądząc z liczby trupów na tamtej polance, nie tylko twój ojciec prowadził poszukiwania. Czy też nadal prowadzi.

– Przypomniał sobie o mnie po wielu latach – gorzko zauważyła Lena.

– Po zbyt wielu latach.

– Ty... byłeś w sypialni czy czymś takim?

– Gdzie znajdę tego Tatkę? – blondynka nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Ma Stację na dawnej dziewiętnastce – westchnął Dzikus.

– Będziemy musieli przejechać obok Białego Miasta?

– Tak, ale objedziemy je szerokim łukiem i skierujemy się na zachód. Będzie tam rozjazd i znak z napisem „Siemiatycze, Lublin”. Pojedziemy właśnie w tamtym kierunku.

– Gdzie dokładnie jest ta Stacja?

– Zobaczysz – skrzywił się Dzikus. – Zobaczysz z daleka.

– Czy z moim zdaniem nikt się tutaj nie liczy? – wtrąciła różowa.

– Nie – odpowiedziała Lena.

– Jak widać nie – potwierdził tropiciel.

* * *

Tej nocy Tatkę męczył sen. Zły sen. Wieczorem połknął dużą dawkę ziołowego specyfiku, który zwykle pomagał mu zdrzemnąć się choć kilka godzin, ale i tak zerwał się nad ranem, ciężko dysząc. Niemal czuł na twarzy parzące opary płonącego paliwa, którego zbiorniki eksplodowały w jego koszmarze. Wytarł mokre czoło i sięgnął do włącznika lampki, stojącej obok wąskiej kozetki, na której sypiał. Wdusił przycisk, czekając na zbawienne światło, które jednak nie rozjaśniło mroków pokoiku. Nagle zdał sobie sprawę, że ze snu wyrwała go nagła cisza, zwiastująca wyłączenie się agregatu prądotwórczego. Przeklął w myśli swoich nierozgarniętych synalków. Najprawdopodobniej któryś z nich nie sprawdził poziomu paliwa w zbiorniczku. Tatko obstawiał Długiego, bo Kuleczka przynajmniej starał się udawać, że coś robi i jest pożyteczny. W rzeczywistości obydwaj jego synowie byli darmozjadami i nierobami, żyjącymi wyłącznie dzięki zmysłowi handlowemu swego ojca. Tatko to akceptował, bo w końcu byli krwią z jego krwi. Przeraziła go jednak wizja pozostawienia interesu tej dwójce. Natychmiast powrócił obraz ze snu, w którym zobaczył płonąca Stację i spowitych ogniem synów, którzy biegli niczym żywe pochodnie. Mężczyzna pokręcił głową, jakby odganiając tę wizję, sięgnął pod poduszkę i zamarł. Nie znalazł schowanej tam właśnie na takie okazje latarki, zniknął też mały, damski pistolet. Wyobraźnia, potęgowana niepokojem, zaczęła płatać mu figle. Wydawało mu się, że dostrzegł cień poruszający się w rogu pokoju i zacisnął małe piąstki, którymi mógł walczyć jedynie z muchami.

– Kuleczka? Długi? – szepnął i natychmiast zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Pokazał intruzowi, że zauważył jego obecność.

Snop światła latarki, który zatańczył nagle na twarzy Tatki, przeraził go jeszcze bardziej niż nocny koszmar sprzed chwili. Mężczyzna poczuł gorącą strugę moczu, spływającą po nodze i zapiszczał. Nie krzyknął, ale właśnie zapiszczał. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się okazać strachu ani słabości podczas negocjacji z kontrahentami czy przemytnikami, nawet najgorszego autoramentu, ale oni nigdy nie przychodzili w nocy, nigdy nie naruszali granic, które Tatko sam nakreślił.

– Kto tu jest? – wydusił w końcu.

- To tylko ja – odpowiedział mu miły, kobiecy głos.
 - Czyli... kto?
 - Po prostu ja – zaśmiała się.
 - Jak się tutaj dostałaś?
 - Przez drzwi. Były otwarte.
 - Otwarte...? Czego właściwie chcesz? Pieniędzy? Żywności? Paliwa?
- Bierz wszystko, tylko...
- Oczekuję odpowiedzi na pytania.
 - Odpo... – zająknął się Tatko i zrozumiał, że głos wcale nie jest miły.
- Na jakie pytania?
- Kilka dni temu odwiedził cię pewien mężczyzna. Zlecił ci robotę.
- Wytropienie dziewczyny. Mówi ci to coś?
- Eeee... Mówi.
 - Nie jękać się, odpowiadaj na pytania. Nie mam całej nocy na zabawę z tobą. Chyba że wolisz, żebyś stała się nieprzyjemna?
 - Nie, nie – gorliwie zaprzeczył Tatko. – Co chcesz wiedzieć?
 - Tak już lepiej. Kto zlecił ci zwerbowanie tropiciela.
 - Nie znam go zbyt dobrze – mężczyzna osłonił oczy. – Możesz zabrać latarkę? Jej światło sprawia mi ból. Będzie nam się lepiej rozmawiało. Jeśli mogę cokolwiek dla ciebie zrobić... – Tatko nieznacznie zmienił pozycję, przypominając sobie o policyjnej krótkofalówce, która powinna znajdować się obok lampy. Gdyby tylko zdążył wcisnąć przycisk awaryjnego nadawania...
- Szcęk odwiedzionych kurków obrzyna sprawił, że Tatko zrezygnował z dalszych sztuczek i wykrętów.
- Mów, bo odstrzelę ci dupę, tatuśku.
 - Robotę nagrał solidnie zbudowany gość z Białego Miasta. To chyba jeden ze starych bojowników Maksymiliana, jeszcze z czasów Wojenki. Mówią na niego Mały.
 - Jak się z tobą skontaktował?
 - Przyjechał do mnie osobiście. Kojarzyłem go jeszcze z tamtych czasów, jeśli wiesz o czym mówię.
 - Wiem zbyt dobrze. Gadaj dalej.
 - Miałem dla niego znaleźć kogoś, kto zna się na tropieniu śladów, głównie w lesie.
 - Kto miał zostać wytropiony?
 - Tego nie wiem – przyznał Tatko. – To nie moja sprawa, ja tylko

pośredniczyłem...

- W jaki sposób miałeś mu przekazać informację?
- Na obrzeżach Białego Miasta jest taki bar... Ta mordownia właściwie znajduje się jeszcze na terenach Wolnych Ludzi...
- Streszczaj się.
- Temida. Tak się nazywa ten lokal. Temida.
- Nie do wiary, że jeszcze istnieje...
- Eeee... Że jak?
- Co dalej?
- Ach... Miałem tam wysłać człowieka, jak już znajdę tropiciela. Do tego baru znaczy się. I zostawić wiadomość u barmana... Tak też zrobiłem. Później przyjechało tych dwóch z trupimi czaszkami na kurtkach...

Przerwał mu wystrzał z pistoletu i okrzyk bólu. Tatko rozpoznał głos Kuleczki i krzyknął.

- Co jest?! Co ty...
- Och! - Z udawanym przejęciem westchnęła dziewczyna. - Zapomniałam o mojej koleżance, która została przed Stacją. Ostatnio jest nieco nerwowa, ale można to jej wybaczyć. Sporo przeszła, a to miejsce sprawiło jej szczególny ból. Pamiętasz tatuśku o dwóch samochodach kombi i podróżujących nimi ludzi? Jakiś czas temu zatrzymali się u ciebie i wkrótce po dwójce z nich ślad zaginął. Odnaleziono jedynie zniszczony wrak w przydrożnym rowie. Otóż moja koleżanka jechała właśnie tym autem. Może skojarzyła to miejsce, może zbyt szybko pociągnęła za spust. O, już świta?

Łuna, jaka nagle oświetliła wnętrze pokoiku nie pozostawiał złudzeń, co do swojego pochodzenia. Stacja płonąła, a przerażony Tatko w końcu dostrzegł twarz swojej rozmówczyni.

- Co ty chcesz...
- Ja? - uśmiechnęła się Lena. - Już mówiłam, to moja nerwowa koleżanka. Ja nawet nie umiem strzelać. Co się tutaj naciska? Te dwa metalowe...?

Obie lufy obrzyna rzygnęły grubym śrutem.

* * *

Postawny, dobiegający sześćdziesiątki mężczyzna, zwany przez miejscowych Szeryfem, ziewnął i przesunął policyjną czapkę, leżącą na desce rozdzielczej radiowozu. Orzełek nad otokiem z trzema gwiazdkami komisarza zdawał się spoglądać z wyrzutem na dawnego stróża prawa. Szeryf odwrócił czapkę tak, żeby nie patrzeć na naszywkę, chrząknął z dezaprobatą i zgarnął okruchy, leżące na siedzeniu pasażera. Ponownie ziewnął i niemal podskoczył, kiedy służbowa krótkofalówka niespodziewanie zatrzeszczała.

– Jedyńka, jedynka – wywoływał przełożonego jeden z patroli.

– Tu jedynka. Czego tam?

– Mamy problem. Wygląda na to, że ktoś napadł na Stację.

– Tatko wezwał pomoc? Cały czas jestem na nasłuchu, niczego nie słyszałem.

– Chyba nie zdążył. Zauważyliśmy łunę i pojechaliśmy w jej kierunku. Okazało się, że Stacja płonie.

– Kurwa mać, dopadliście kogoś?

– Właściwie... To on dopadł nas.

– Jak to?

– Na miejscu zobaczyliśmy nieznane nam auto. Holownik.

– Co takiego?

– To taka mała ciężarówka z dźwigiem czy czymś podobnym, służąca do...

– Wiem, co to jest holownik, do cholery! – krzyknął Szeryf. – Pytam, skąd tam się wziął.

– Musiał przyjechać od strony Białego Miasta. Gdyby nas mijał z przeciwnej strony, zauważylibyśmy go.

– Czekajcie chwilę. Trójka, trójka zgłoś się. Trójka – powtórzył zniecierpliwiony.

Poczekał kilka minut, bębniąc palcami w kierownicę, i powtórnie wcisnął guzik nadawania.

– Dwójka?

– Jestem szefie.

– Trójka nie odpowiada. Pospali się czy zachlali? Mniejsza o to. Rozliczę się z nimi później. Co tam u was?

– Próbowaliśmy zatrzymać ten holownik zaraz koło Stacji, ale staranował nas. Radiowóz leży na dachu, ja chyba mam złamaną nogę.

– Kurwa mać. W którą stronę pojechał... – przerwał mu narastający warkot dużego auta, które przemknęło tuż obok. Podmuch sprawił, że czapka spadła z deski rozdzielczej, a Szeryf mimowolnie zasłonił głowę przedramieniem. – Mniejsza o to. Już go mam. Bez odbioru.

Czerwono-niebieski kogut na dachu radiowozu ożył, silnik ryknął i z piskiem opon tracących przyczepność na wilgotnym asfalcie pojazd ruszył w pościg za holownikiem. Szeryf szybko dogonił ciężarówkę, wdusił przycisk uruchamiający syreny i drugi włączający silne szperacze zamontowane na dachu. Głośniki zawyły, przedpole zalał mocny snop światła, a w aucie przed nim zaświeciła się jedyna działająca lampa stopu. Holownik zwolnił i ostatecznie zatrzymał się na swoim pasie, nie zjeżdżając na pobocze. Nie było takiej potrzeby, ruch na dziewiętnastce był zerowy, zwłaszcza nad ranem. Szeryf wyłączył syrenę, pozostawiając jednak błyskające koguty. Znalazł czapkę leżącą na podłodze i wcisnął ją na głowę. Nie gasząc auta, wysiadł i położył dłoń na rękojęści służbowego glocka. Ostrożnie podszedł do czarnej ciężarówki i wymierzył w drzwi po stronie kierowcy.

– Wysiadka! – krzyknął. – Tylko powoli i z rączkami w górze.

Przyciemniona szyba powędrowała w dół i była to jedyna reakcja jakiej doczekał się Szeryf. Splunął i podszedł bliżej.

– Głuchy jesteś... – zatrzymał się w pół kroku, kiedy dostrzegł krótką, podwójną lufę, która nagle wysunęła się z niewidocznego wnętrza holownika. – Ostrzegalem kurwa...

Nacisnął spust, jednocześnie dostrzegając snop iskier jakimi splunął obrzyn. Wiązka śrucin wystrzelonych z tej odległości zamieniła jego głowę w krwawą miazgę, a zdmuchnięta policyjna czapka upadła po drugiej stronie drogi. Zachlapany krwią orzełek nadal patrzył z wyrzutem na drgające ciało Szeryfa.

Drzwi holownika skrzypnęły. Lena wysiadła, rozglądając się dokoła i złamała obrzyna, wyrzucając puste łuski, które zabrzęczały na asfalcie. Załadowała broń ponownie i trąciła stopą poszarpane ciało gliniarza. Z przyłożenia wypaliła w stronę radiowozu, w którym natychmiast pogasły światła i koguty, po czym wsiadła z powrotem do swego wehikułu.

– I jak? – zapytała Bibi.

– Martwy – skwitowała Lena, wrzucając bieg. – Martwy jak cholera.

– Skurwielowi się należało. On też był wtedy na Stacji.

– Widzę, że zaczynasz kojarzyć fakty.

Milczały przez chwilę, gdy auto nabierało prędkości.

– Dokąd teraz? – odezwała się w końcu różowa.

– Spróbujmy dobudzić naszego przyjaciela. Wydaje mi się, że stracił przytomność jakiś czas temu.

Dzikus jęknął na tylnym siedzeniu podobnym bardziej do ławki obitej gąbką i próbował przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajduje.

– Gdzie jesteśmy?

– Minęliśmy Stację. Nie słyszałeś wybuchu zbiorników z paliwem?

– Ja... Zbiorników? Chyba nie wysadziłaś...?

– Bibi zrobiła to zupełnie przypadkowo – odpowiedziała Lena niewinnie. – Weź, daj dziewczynce zapałki albo broń. To był przypadek, uwierz mi.

– Jasne.

– Gdzie mam cię zawieźć?

– No... – Dzikus pomyślał przez chwilę. – To zależy, w którą stronę jedziesz. Chyba nie do Białego Miasta?

– Nie – burknęła Jasnowłosa.

– W takim razie, jak już dojedziesz do metalowego mostu, będziesz musiała skrócić w leśną ścieżkę przed nim. Jest słabo widoczna, więc zwolnij. Wszystko zarasta w tak niesamowitym tempie...

Lena z trudem wypatrzyła dróżkę i zakręciła kierownicą. Holownik przebił się przez zasłonę z chwastów i pozostawił za sobą przecinkę znaczoną połamanymi gałęziami i wirującymi liśćmi. Dziewczyna wdepnęła pedał gazu. Pędziła na złamanie karku krętą ścieżką, układając sobie z głowie plan. Nie wiedziała tylko, jakie będzie jego zakończenie.

* * *

Skryty za kilometrami ruin, rosnącym Murem Zaporowym i grubymi ścianami swego pałacyku, człowiek zwany Wielkim Skurwielem wyciągnął swoją złotą zapalniczkę i w blasku jej płomienia sprawdził godzinę. Uderzył kilka razy palcem w szkiełko starego chronometru,

który nosił na ręku, podniósł go do ucha i skrzywił się. Nie usłyszał znajomego tik-tak, a nieruchomy sekundnik skrył się za dwoma wskazówkami, które zatrzymały się na godzinie dwunastej. Północ. Zacisnął usta, zastanawiając się, czy zapomniał nakręcić mechanizm, czy też wysłużone kółka zębate w końcu odmówiły posłuszeństwa. Kilka razy już naprawiał ten zegarek, będący swoistą pamiątką po starych czasach, i ilekroć zasiadał przed nim ze szkłem powiększającym, tylekroć zwałały mu się na głowę kłopoty. Nie, żeby był przesądny. Zawsze mógł wyrzucić ten przeklęty złom, ale... Po prostu przywiązywał się do ładnych rzeczy. Nawet bezużytecznych.

Schował zapalniczkę, odwrócił się na drugi bok i zamknął oczy. Ciemność zawirowała mu pod powiekami. Wypił zdecydowanie zbyt dużo alkoholu, mieszając przy tym różne trunki. Dlatego zasnął w swoim gabinecie. Nigdy nie sypiał w tym miejscu, a już na pewno nie zamknąłby oczu przy zgaszonym świetle, pomimo że w gabinecie chroniły go specjalnie wzmocnione drzwi obite dla niepoznaki drewnem. Jego prywatny pokój, w przeciwieństwie do innych pomieszczeń pałacyku, wyposażony był jedynie w niewielką nocną lampkę świecącą się przez całą noc i niewygodne łóżko. Służył do wypoczynku. I niczego więcej. Zrobił tam sobie samotnię, chociaż ostatnimi czasy i tak odwiedzało go niewielu ludzi. Ci, z którymi łączyły go wspomnienia, znajdowali się po drugiej stronie muru, stłoczeni w wieżowcach, które powoli urastały do rangi symbolu – widoczne z daleka dowody zdrady ideałów i współbraci. Maksymilian doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział też, że sytuacji nie zmienią jego odwiedziny na terenie budowy muru czy przyjacielskie poklepywanie wygnańców. Nieprzyjazne spojrzenia dawnych bojowników sprawiały, że coraz rzadziej opuszczał swój pałacyk. Chciał to wszystko naprawić, znów opanować sytuację, która wymknęła się spod kontroli. A przynajmniej spod jego kontroli.

Od początku swojej przygody z Cierniem zakładał, że będzie musiał się go pozbyć, przy okazji zatrzymując komandosów. Pułkownik miał zbyt silną osobowość, zbyt wielkie poważanie wśród swoich, by tak po prostu strzelić mu w łeb. W dodatku zaczął coś knuć, planować operacje, o których nie miał najmniejszego zamiaru informować swego gospodarza. I oto nagle nadarzyła się idealna okazja. Grupa żołnierzy pod przywództwem swego szefa szykowała się do wyprawy. Białe

Miasto chwilowo przechodziło pod komendę zastępcy pułkownika. Maksymilian nawet nie musiał się natrudzić, by przekonać oficera, że właśnie nadeszła jego życiowa szansa. Komandos zdradził swego wieloletniego dowódcę bez mrugnięcia okiem. Nierozwiązana pozostawała kwestia samego Ciernia i wiernych mu ludzi, biorących udział w tajemniczej wyprawie. Był wśród nich świeżo nawrócony na ideały Ciernia Przepiór. Gdyby tylko udało się go wcześniej przekonać, przeciągnąć na swoją stronę... Problem polegał na tym, że Przepiór w gruncie rzeczy już dawno temu przestał być komukolwiek użyteczny i wszyscy o nim zapomnieli. Pojawiał się od czasu do czasu w pobliżu Białego Miasta, załatwiał jakieś interesy i z powrotem znikał w swoim Squacie Węglowa. Nie był nikomu, do niczego potrzebny. No może tylko Kamykowi. W końcu ci dwaj byli przyjaciółmi chyba od zawsze... A trzeba było go trzymać w zanadrzu. Taki as w rękawie mógł się teraz przydać. No, ale kto mógł przewidzieć...

Wróciły wspomnienia, sceny sprzed lat. Maksymilian nawet nie wiedział kiedy z powrotem zapadł w drzemkę. Nie miewał snów, ani tych przyjemnych, ani koszmarów, które niejednego twardziela potrafiły obudzić przerażonego i zlanego potem. Aż do tej chwili.

Zerwał się, o mało nie spadając ze skórzanej kanapy w kolorze czekolady. Przez moment rozglądał się nieprzytomnie po swoim gabinecie, oświetlonym wąską smugą światła ze szczeliny w zabitym płytą paździerzową oknie. Rozpoznał w końcu niewyraźne kształty foteli i długiego stołu konferencyjnego. Nic się nie zmieniło odkąd przymknął oczy kilka minut wcześniej. A może upłynęło już parę godzin? Dłonią wytarł z czoła krople potu i zaczął się zastanawiać, co było przyczyną koszmaru, którego przed chwilą doświadczył. Słyszał strzały rozlegające się tuż obok, niemal za ścianą pałacyku. Warkot pojazdów był tak realny, że Maksymilian miał ochotę wezwać któregoś z Czarnych i opieprzyć za zakłócanie ciszy. Nikt inny nie mógł się tłuc po nocy w Białym Mieście. Po chwili zrozumiał, że wszystko było jedynie snem. Wszędzie panował niezmacony spokój. Chociaż...

Nie. Coś było nie w porządku. Wstał, przewracając kilka butelek po trunkach. Potykając się o krzesła stojące wzdłuż stołu konferencyjnego, dotarł do okna. Na moment zasłonił dłonią otwór w płycie paździerzowej – dziurkę jak po kuli pistoletowej małego kalibru, po czym chwycił za róg sklejk i pociągnął. Gwoździe

zatrzeszczały w wyschniętej futrynie, a płyta niespodziewanie łatwo opuściła swoje miejsce i łomotnęła o podłogę. Klamki zgrzytnęły, z dawno nieużywanych zawiasów uniosła się chmura rdzy, okno otworzyło się z oporem, sypiąc szkłem ze zbitej szyby. Świeże powietrze wtargnęło do gabinetu, ostre poranne słońce zatańczyło na ścianach pokrytych dębową boazerią.

– Pięknie – powiedział sam do siebie Maksymilian. – Jak pięknie. Świat się zmienia.

Przestraszył go odgłos wystrzału, który gruchnął gdzieś na ulicy poniżej. Towarzyszył mu jęk bólu i krzyk. Zdezorientowany odsunął się od okna, po chwili sięgnął do szuflady biurka i wydobył rewolwer, który wetknął za pasek. Jednym haustem wypił resztkę alkoholu ze szklanki stojącej na blacie i rzucił się do drzwi. Przekręcił klucz, odblokowując mechanizm zamka, wybiegł na korytarz i rozejrzał się zdezorientowany. To wszystko nie miało sensu. Powoli ruszył w stronę klatki schodowej, kiedy wypadł z niej jego osobisty ochroniarz. Mężczyzna zaczepił się o ostatni stopień i runął jak długi. Maksymilian zauważył, że ubranie goryla jest pokryte krwią i mimowolnie dotknął rękojeści rewolweru.

– Co jest? – zapytał.

– Są tu – wycharczał ochroniarz, uciskając paskudną ranę postrzałową na brzuchu. – Na dole. Już są.

Jakby na potwierdzenie jego słów, dwa piętra niżej zagrzmiała seria z karabinu. Maksymilian wyszarpnął broń, ominął próbującego go zatrzymać osobistego anioła stróża. Na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, że facet nie dożyje do południa.

Na parterze natknął się na dwóch Czarnych pilnujących drzwi wejściowych.

– Panowie, co się dzieje?

Mężczyźni odwrócili się, a ich twarze zdradzały, że coś się jednak stało. Coś nieplanowanego.

– Co się dzieje? – powtórzył.

– Myśleliśmy, że pan nie żyje – odpowiedział jeden z Czarnych, przyglądając mu się z niedowierzaniem – albo zdążył uciec. Drzwi do gabinetu były zamknięte na głucho. Nie mogliśmy ich nawet wyważyć.

– Właśnie po to są te drzwi. Może mi jednak wyjaśnicie... No, co się tak gapicie? Co to za rozróżba w moim mieście?

– Chyba... – zaczął jeden z żołnierzy. – Chyba mamy bunt.
– Co? – Maksymilian nie wierzył własnym uszom. – Czyj bunt? Jaki bunt? Mieszkańców Białego Miasta?

– Obawiam się, że nie.

– Pierdolony w dupę Mały – szepnął bezgłośnie Maksymilian, przeczuwając najgorsze.

– Wygnańcy zaatakowali nad ranem. Najpierw podpalili swoje wieżowce, a później... Wyrznęli naszych ludzi na posterunkach, zabrali im broń, wtargnęli do Białego Miasta i...

Jego tłumaczenia przerwała odległa seria z karabinu.

– Sam pan widzi. A raczej słyszy.

– Gdzie reszta? Ilu was zostało?

– Trudno powiedzieć. Raczej niewielu. Od razu zabezpieczyliśmy budynek. To zresztą standardowe działanie, na wypadek zamieszek. Chronić VIP-a. Polecenie z góry. Od dowódcy... Znaczy... Zastępcy dowódcy.

– I że to niby ja jestem ten VIP? – na twarzy Maksymilian błąkał się uśmiech. – Co z moim ochroniarzem?

– Chyba chciał przykozaczyć. Dostał kulkę i zwijając się z bólu, pokuśtykał obstawić pana gabinet. Wierny aż do końca.

– Za to mu, kurwa, płaciłem.

– Ale nieprofesjonalny. Zamiast przyczaić się za futryną, wykorzystać naturalne zasłony, wylazł prosto na ulicę. Wciągnęliśmy go chwilę później. Niedługo będzie historią. Oberwał w podroby... Sam pan rozumie. Nasi zaraz powinni podstawić auto i wywieziemy pana stąd. Ewakuacja. Wygnańcy wyżynają każdego napotkanego mieszkańca, plądrują mieszkania... Podpalają...

– Mają skurwiele wprawę – skwitował Maksymilian.

– Auto już jest. My idziemy pierwsi.

Rzeczywiście, na ulicy zawarczał silnik jakiegoś pojazdu. Chwilę później za drzwiami rozległ się pisk opon i kolejne strzały. Żołnierze wypadli przez drzwi i przyczaili się koło czarnej suki, sprawdzając teren.

– Można! – krzyknął jeden z konwojentów. – Ładujcie się.

Maksymilian przemknął między chroniącymi go komandosami i padł na podłogę busa. Ruszyli gwałtownie. Na karoserię posypały się kamienie i odłamki gruzu. Gwizdały pociski. Pojazd podskoczył,

taranując jakiegoś wrzeszczącego śmiałka, inny zdążył uciec. Dosięgnął go pocisk wystrzelony przez jednego z żołnierzy.

Huk wystrzałów zlał się w kakofonię, która wypełniła wnętrze suki. Gospodarz opuszczający swoje Białe Miasto zasłonił uszy dłońmi i zacisnął powieki. Klął na czym świat stoi, nie słysząc swoich przekleństw. Po chwili przestał. Leżał bez ruchu na podłodze, między buciarami przyczajonych przy okienkach komandosów. Pozwolił im się wywieźć z tego miejsca, rozumiejąc, że właśnie coś się skończyło. Przypomniał obie zepsute zegarek, wciąż tkwiący na przegubie jego ręki. Nie chciał się wychylać, bo wyrzuciłby natychmiast to pechowe trofeum. Mógł za nie kupić swoje życie, bo sama złota bransoleta... Przestał już o tym myśleć. Stracił rachubę czasu. Nie zastanawiał się nawet, dokąd go wiozą. Było mu to obojętne. Chyba zaczął się łamać. On, przywódca wiodący lud na barykady... Uniósł głowę, czując dotknięcie dłoni na swoim ramieniu i napotkał wzrok jednego ze swoich wybawicieli.

– Dokąd mamy pana zawieźć? Wyjechaliśmy już poza miasto. Mijamy tereny Wolnych Ludzi.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nie macie żadnego planu awaryjnego? Żadnej ukrytej bazy...? Nie macie – odpowiedział sam sobie, widząc ich miny. – Dobra, w takim razie...

Maksymilian przez moment nie wiedział, co się stało. Być może zabłąkana kula przebiła zbiornik paliwa jeszcze w Białym Mieście albo pojazd wjechał na domowej roboty minę. Bus wyleciał w powietrze, sypiąc dokoła odłamkami szkła, przekoziółkował i opadł na koła. Płonął. Płonęli jego pasażerowie. Maksymilian miał rację w jednym. Coś się właśnie skończyło.

Rozdział 8

Ekstrasensornojewosprijatije

Przedmieścia Świsłoczy przywitały Kamyka ciszą. Niegdyś prawie siedmiotysięczne miasto wprawdzie wyludniło się po Rozbłysku, ale nie na tyle, by popaść w ruinę jak wiele podobnych mu miejscowości po drugiej stronie Bufora. Białoruskie władze robiły wszystko, by mieszkańcy przetrwali najcięższe chwile. Udostępniano im wojskowe schrony, racjonowano żywność, organizowano pracę. Gdy efekty Rozbłysku zaczęły zanikać, wszystko w zasadzie wróciło do normy. Życie toczyło się dalej. Cisza była więc niezwykła o tej porze dnia, która powinna rozbrzmiewać gwarem miasteczka budzącego się do życia. A nie rozbrzmiewała. Ulice straszyły pustkami i tylko ruch firanek w oknach świadczył, że ktoś jednak mieszka w kamienicach i blokach. Ktoś, kto boi się wyjść na zewnątrz.

Przemytnik zbyt późno zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Nie mógł już zawrócić i spróbować zniknąć za Buforem. Nie mógł i nie chciał. Jego myśli krążyły wokół dziwnych zbiegów okoliczności, zdarzeń wywracających jego świat do góry nogami i niespodzianek, które być może jeszcze go czekają. Postawił wszystko na jedną kartę i gwałtownie skręcił w uliczkę prowadzącą do dawnej fabryki biopaliw.

Brak funkcjonariuszy straży przemysłowej i podniesiony szlaban tylko wzmogły jego niepokój. Zaparkował auto przed biurowcem, dotknął rękojęści Wesołego Przyjaciela, jakby upewniając się czy nadal tkwi za paskiem spodni, pchnął drzwi do recepcji budynku i nie zastawszy tam żywego ducha ruszył w kierunku klatki schodowej. Dla

zabawy wcisnął guzik przywołujący windę, wiedząc że korzystał z niej tylko Aleksiej Fiodorowicz Mroczo. Ku jego zdziwieniu drzwi otworzyły się z cichym „dong”. Z wahaniem wszedł do kabiny i dotknął przycisku z cyfrą „5”. Drzwi zatrzasnęły się, a winda z jękiem wysłużonych kołowrotów, brzęczeniem lin, niemiłosiernie trzeszcząc, powędrowała w górę. Kolejne „dong” oznajmiło osiągnięcie celu podróży. Na korytarzu prowadzącym do gabinetu bossa poniewierały się papiery i śmieci. Biurko księgowego, zwykle witającego gości nieprzyjemnym grymasem na paskudnej twarzy, zostało wywrócone do góry nogami, a po liczykrupie nie pozostał najmniejszy ślad. Obite blachą drzwi gabinetu były uchylone, mimo to Kamyk kilka razy zastukał w metalowe skrzydło. Wątpił, czy boss cokolwiek usłyszał. Nie rozległo się żadne „wojdz!” ani tym bardziej „*paszoł ty won*”, więc pchnął ciężkie podwoje i wszedł do gabinetu Aleksieja Fiodorowicza. Początkowo sądził, że rezydujący w tym miejscu mężczyzna również w tajemniczy sposób zniknął, ale skrzypnięcie odwróconego w stronę okna fotela wyprowadziło przemytnika z błędu.

– Aleksieju Fiodorowiczu! – Chrząknął. – Aleksieju Fiodorowiczu, to ja.

– Ty? – Fotel odwrócił się, ukazując przycupniętego na nim bossa.

Mężczyzna zmienił się. Wory pod oczami i sterczące w nieładzie rzadkie włosy pokrywające łysiejącą głowę sprawiły, że Kamyk wzdrygnął się mimowolnie. Patrzące nieprzytomnie oczy zdawały się nie rozpoznawać przybysza, ale niewyraźny grymas na spękanych ustach, mający zapewne być uśmiechem, świadczył o czymś innym.

– A, Kamyszka – wybełkotał Aleksiej. – Co ty tu robisz? Ty samobójca czy *durak*? *Po szto ty przyjechał*?

– Po odpowiedzi.

– Odpowiedzi... – Boss zastygł, wpatrując się w twarz przemytnika. – Ty mnie zdradziłeś.

– Nie – zaprzeczył Kamyk, niepostrzeżenie odwracając się bokiem do Aleksieja i kładąc rękę na uchwycie broni. – To nie tak.

– Nie tak? To nie ty wciągnąłeś moich ludzi w pułapkę? Nie ty ukradłeś mi pociąg? Nie ty?

– Nie.

– Tylko kto? Powiedz, że przywiozłeś mi tego sukinsyna.

– Przykro mi, Aleksieju Fiodorowiczu. Obawiam się, że sukinsyn od

jakiegoś czasu nie żyje.

– Więc daj mi jego głowę. Cokolwiek...

– Nie przyjechałem, żeby się tłumaczyć. Stało się.

– Wiesz... Z tym transportem wielu ludzi wiązało nadzieje na lepsze jutro. Wielu oddałoby życie lub zabiło bez wahania, by skład dotarł na miejsce przeznaczenia.

– Odbiorca na pewno prowadzi zakrojone na szeroką skalę poszukiwania – sztucznie uśmiechnął się Kamyk. – I w końcu wpadnie na trop zguby.

– Obawiam się, że to „w końcu” może nadejść zbyt późno – zauważył boss. – Mój czas, na ten przykład, już się skończył.

– A ja obawiam się, że zaczęliście pieprzyć trzy po trzy Aleksiejowi Fiodorowiczowi. Mam do was pełen szacunek, ale nie przyjechałem tutaj, żeby wysłuchiwać waszych żalów.

– O! – Na twarzy Białorusina pojawiło się szczere zdziwienie. – Czego więc chcesz?

– Jak już mówiłem, odpowiedzi.

– *Nu kak?* O co ci chodzi? Gadaj.

– O mnie i moją siostrę.

Błada twarz bossa stężała na moment, spojrzenie uciekło gdzieś w bok, ale Kamyk dostrzegł tę krótkotrwałą konsternację. Podszedł do biurka i walnął w jego blat otwartą dłońią.

– No, gadajcie, towarzyszu Mroczo. Czas zdradzić kilka tajemnic.

– Skąd... Kto ci powiedział. Ojczym?

– On nic nie wie. A nawet jeśli wie, to milczy jak grób. To uparty stary człowiek. Wypełniał twoje polecenia, nie zadawał zbędnych pytań i zadowolony wracał do domu z sowitym honorarium w kieszeni. Tego dnia, gdy wiozł mnie w kierunku granicy, także nie zastanawiał się, kim jestem i co się ze mną stanie. Prawda? A może jednak było inaczej? Może jakaś nuta w jego sercu zadrgała? Bo serce kobiety, którą uznałem za matkę na pewno zaczęło krwawić. I całe szczęście, bo kto wie, jaki los mógł mnie spotkać tutaj.

– Ech! – Aleksiej zdawał się wracać do dawnej pewności siebie. – To było dawno temu. Ile to już, dwadzieścia lat? Ktoś pewnie chciał mieć syna, ktoś inny sprzedał swoje dziecko za flaszkę wódki. To się zdarza. Takie już jest życie...

– To życie było trochę zbyt brutalne jak dla małego chłopca. Nie

sądzić? A jaką rolę w tym wszystkim grał Sienkow?

– Kto...? – tym razem mężczyzna nawet nie próbował kryć zdziwienia.

– Doktor Adam Sienkow. Nie udawajcie, Aleksieju Fiodorowiczu, że o nim nie słyszeliście.

– Skąd... Skąd o nim wiesz? Nie powinieneś...

– Powiedzmy, że od naszego wspólnego znajomego. Tego, który miał odebrać nieszczęsny skład z paliwem. Pułkownik Cierń ostatnio nabrał ochoty na zwierzenia.

– Kamyszka... – boss sięgnął do szuflady pod biurkiem, ale zawahał się, dostrzegając broń w ręku przemytnika – napijmy się.

– Napijmy – zgodził się Kamyk i usiadł w fotelu. Wesołego Przyjaciela trzymał niedbale, przez cały czas jednak mierząc w stronę Białorusina.

Aleksiej wyciągnął w końcu butelkę i dwie szklanki, po czym bez zwłoki napełnił je bursztynowym płynem. Podniósł jedną do ust i szybko wypił zawartość. Odstawił szkło z hałasem i spojrzał Kamykowi prosto w oczy.

– Widzisz, u nas na Białorusi wszystko się posypało.

– Już mi kiedyś o tym mówiliście, Aleksieju.

– Tak. Mówiłem.

– Domyślałem się, że wasz plan emerytalny także wzięł w łeb.

– Siedzę tutaj – opowiedział po chwili mężczyzna – i rozmawiam z tobą, ale mnie tak naprawdę już nie ma. Nie ma. Więc generalnie jest mi już wszystko jedno. Nie obowiązują mnie żadne tajemnice, żadna wierność, bo niby komu miałbym jej dotrzymywać? Posłuchaj Kamyszka, przyjeżdżając tutaj, wdepnąłeś w niezłe gówno i prawdopodobnie będzie ci trudno wrócić za Bufor. Tutaj zaczęły już obowiązywać zupełnie inne zasady gry. Nie wiem, w jaki sposób udało ci się przemknąć przez miasto. Na pewno śledzili cię i wkrótce zjawią się... Zresztą... jestem przygotowany na ich wizytę. Zwolniłem ludzi... Spaliłem co wartościowsze akta. Widzisz, mamy stan wyjątkowy. Obcy są natychmiast zatrzymywani. Nie możesz dopuścić, żeby dorwali i ciebie. Jedyne wyjście może być strzał we własną skroń. Musisz o tym pamiętać.

– W porządku, Aleksieju Fiodorowiczu. Będę pamiętał. A teraz mówcie.

Boss napełnił szklankę kolejną porcją alkoholu, do ust wetknął cygaro, które wygrzebał z kieszeni i odwrócił się w stronę okna. Wbił

wzrok w widoczne w oddali dachy Świsłoczy i chwilę milczał, zastanawiając się jak sformułować pierwsze zdanie.

– Wszystko zaczęło się jeszcze w czasach zimnej wojny – powiedział w końcu, podpalając koniuszek cygara. – Wiesz, o czym mówię? Dziaduszka uczył cię historii? Tak myślałem. Nie będę zatem zanudzał cię szczegółami, ale musisz wiedzieć o jednym. Wyścig zbrojeń między dwoma blokami: wschodnim i zachodnim toczył się na wielu polach. Także tych... mało popularnych wśród zdroworoządkowo myślących oficjeli wojskowych i partyjnych. Myślę o tajnym projekcie znanym pod kryptonimem EWO, który swoim zasięgiem obejmował wszystkie kraje satelickie ZSRR.

– Pierwsze słyszę.

– Jak już mówiłem, to był tajny projekt – na twarzy Aleksieja zagościł dobroduszny uśmiech, jak za dawnych czasów. – Nie mogłeś o nim wiedzieć.

– A skąd wy o nim wiedzieliście, towarzyszu Mroczko.

– Nie nazywaj mnie tak. Nigdy nie byłem fanatycznym „czerwonym”. Robiłem swoje i tyle. Ale pozwól mi wyjaśnić wszystko po kolei.

– Dobra. Mówcie, Aleksieju.

– EWO to skrót od *ekstrasensornojewosprijatije*, czyli postrzeganie pozazmysłowe. Nie wiem, kiedy dokładnie rozpoczęto badania nad ludzkim umysłem i jego paranormalnymi właściwościami. Nigdy nie dotarłem do tej informacji. Ludzie zwerbowani do EWO pracowali między innymi nad stworzeniem siatki telepatycznych szpiegów. Z różnym powodzeniem. Badania oficjalnie zarzucono na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, zaraz po upadku ZSRR. Projekt od zawsze bezpośrednio podlegał dowództwu GRU.

– Rosyjski wywiad wojskowy. Robi się ciekawie.

– Mocarstwowe plany Rosji miały doprowadzić do powstania Wszech Rosji – wspólnoty, do której zostaną wcielone wszystkie były republiki satelickie ZSRR. Niekoniecznie za zgodą wszystkich zainteresowanych stron.

– Interesujące, ale co to ma wspólnego z EWO?

– Okazało się, że tutaj na Białorusi, ktoś nadal prowadzi swoje badania.

– Sienkow – domyślił się przemytnik.

– Dokładnie.

– Rozumiem, że robił to nielegalnie, tak?

– W moim kraju nie da się prowadzić takich doświadczeń bez błogosławieństwa władzy. Doktor Sienkow zaczynał swoją karierę jako psychiatra w jednym z podrzędnych szpitali dla wariatów. W tamtych czasach liczne grono pacjentów takich sanatoriów stanowili przeciwnicy władzy ludowej. Przestano ich rozstrzeliwać czy wysyłać za Kołymę, prościej było nafaszerować delikwenta proszkami i przywiązać do łóżka. Przy okazji można jeszcze na nim poeksperymentować.

– I to właśnie robił Sienkow?

– Sienkow został pozbawiony tytułu naukowego za niehumanitarne i niemoralne traktowanie pacjentów zanim jeszcze zaczął pracę w EWO. Postawił sobie za cel stworzenie sterowanego mentalnie superżołnierza i ktoś ze starej gwardii komunistycznej potraktował go poważnie. EWO 2 działało przez kilka ładnych lat. Aż do Rozbłysku, który w naturalny sposób przerwał projekt. Chociaż w zasadzie stało się to nieco wcześniej.

– Mimo wszystko nadal nie rozumiem, co wspólnego w tymi badaniami miałem ja. I moja siostra.

– Nie każdy człowiek posiada odpowiednie zdolności parapsychiczne. U niektórych są uśpione, u innych występują szczątkowo lub w ogóle. Trudno byłoby znaleźć dowódcę jasnowidza. Szansa na to wynosi jakieś jeden do miliona. Sienkow wymyślił sobie, że między dowódcą a żołnierzami będzie działał pośrednik. Osoba w naturalny sposób wrażliwa mentalnie, która będzie kimś w rodzaju przekaźnika. Ale takich osób też nie było zbyt wiele, zresztą w jaki niby sposób ludzie Sienkowa mieliby ich odnajdywać?

– Ludzie Sienkowa? Czy wy, Aleksieju Fiodorowiczu?

– Zupełnie nie rozumiesz mojej roli w tym wszystkim – uśmiechnął się gorzko boss. – Jak już mówiłem, projekt EWO 2 zamknięto na krótko przed Rozbłyskiem. Ktoś uznał, że cały proceder może wyjść na światło dzienne i zagrozić *status quo* sytuacji politycznej na Białorusi. Kiedy dotarłem do laboratorium Sienkowa, było już po wszystkim. Pacjentów uśpiono, a większość dokumentacji zniknęła.

– Kim wy tak naprawdę jesteście, Aleksieju Fiodorowiczu? Albo – kim byliście?

– Nie pijesz? Doskonały koniak – mężczyzna wysączył zawartość szklanki i napełnił ją kolejny raz.

– Nie lubię perfumowanych wódek. Wolę samogon.

– Ech, wy młodzi... Doktor Sienkow się spieszył – kontynuował opowieść Białorusin, kompletnie ignorując poprzednie pytanie Kamyka. – Wśród papierzyk pozostawionych w laboratorium znalazłem dane pewnej kobiety z Polski, która brała udział w badaniach prowadzonych przez pierwszy EWO. W roku 2010 wyszła za mąż i urodziła dwójkę dzieci – bliźnięt. Sienkow ubzdurał sobie, że bachory odziedziczyły po matce zdolności i postanowił je odnaleźć. Jako że EWO 2 zlikwidowano, a Sienkow zniknął, podjąłem decyzję o zabezpieczeniu tej polskiej rodziny. Widzisz, ja znałem Sienkova i metody jego pracy. Ogólnie rzecz biorąc nie były zbyt, hmm... przyjazne pacjentom czy też obiektom badań. Niestety, nie zdążyłem pokrzyżować jego planów. W każdym razie nie do końca. Wysłany przeze mnie agent zdołał obezwładnić jednego z porywaczy i przechwycić chłopaka. Drugi z porywaczy uciekł z dziewczynką.

– I tym chłopcem byłem ja?

– Tak.

– W jaki sposób w całej sprawie pojawił się Dziaduszka?

– Mój agent został ranny podczas tej akcji. Jego oponenti byli świetnie wyszkoleni. Twój ojczym od dawna wykonywał dla mnie różne zlecenia, nawet nie podejrzewając, że pracuje dla zagranicznych służb. Przejął cię od mojego agenta i powinien przerzucić przez granicę. Nie przerzucił. Resztę historii już znasz.

– Gdzie teraz jest ten agent?

– Nie udało mu się wrócić. Z tego co wiem, jakiś czas po wymianie wsiadł w samochód z zamiarem przekroczenia granicy. Stracił przytomność za kierownicą, przy okazji kogoś tam potracając. Nigdy nie odzyskał świadomości.

– I polskie władze się nim nie interesowały?

– Pewnie by się zainteresowały, gdyby nie Rozbłysk. Siły natury uniemożliwiły realizację wielu planów. Wielu akcji.

– Co z moimi rodzicami? Prawdziwymi rodzicami. Jakie były ich dalsze losy?

– Przykro mi – rozłożył ręce Aleksiej. – Nie interesowałem się tym później. Mieliśmy inne problemy związane z Rozbłyskiem. Władze podjęły decyzję o zbudowaniu Bufora... Resztę historii znasz.

– Gdzie oni mieszkali? Moi prawdziwi rodzice.

– W miejscu znanym teraz jako Białe Miasto.

– Tak blisko... – westchnął Kamyk.

– Co mówiłeś?

– Nie, nic. Jeśli chcecie wiedzieć, to Sienkow żyje i ma się dobrze.

– Złego diabli nie biorą – mruknął boss. – Trzeba mu było od razu palnąć w łeb. Wiele lat temu.

– Doktorek nadal prowadzi swoje badania w jednym z podziemnych laboratoriów, wybudowanych właśnie za czasów zimnej wojny. Działa pod ochroną emerytowanego dowódcy jednostki GROM, który stworzył coś w rodzaju prywatnego oddziału zabijaków. To prawdopodobnie oni uprowadzili wtedy moją siostrę. A całkiem niedawno spotkałem osobę, która podawała się właśnie za nią...

– Zdjęcie – przerwał mu Aleksiej. – Mam jeszcze akta tamtej kobiety i zdjęcie jej razem z mężem i dziećmi. Jeśli chcesz...

– No jasne! – zerwał się przemytnik. – Gdzie są te akta?

– W tym sejfie – mężczyzna wskazał olbrzymią szafę, zajmującą cały róg gabinetu i z trudem wstał z fotela. Zataczając się podszedł do mebla, otworzył drzwi i zaczął ustawiać pokrętła znajdującej się wewnątrz kasy pancерnej. W końcu odblokował ją, przerzucił kilka szarych teczek wypełnionych kwestionariuszami i zdjęciami, po czym podniósł z triumfem jedną, ozdobioną pieczęcią „Sekretno” na okładce.

– O, jest! – Wręczył Kamykowi cienki skoroszyt i wrócił za biurko, nie zamykając nawet sejfu. – Czy jest coś jeszcze, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nie – odpowiedział przemytnik, chowając kajet do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Rozumiem, że mogę to zatrzymać?

– Oczywiście. Mnie do niczego to się już nie przyda. Nie chcesz od razu zajrzeć, zobaczyć jak ona... oni wyglądali?

– Może później. Nie zamykacie tej szafy? Widzę, że jest w niej trochę akt. Szkoda, żeby wpadły w niepowołane ręce.

– To już nieważne. Nic nie jest ważne.

– Jak tam sobie chcecie. Dziękuję za pomoc, ale na mnie już czas. Do zobaczenia, Aleksieju Fiodorowiczu – Kamyk odwrócił się w kierunku drzwi.

– Wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze się spotkamy, ale niech ci będzie. A gdyby zachciało ci się szczać, to nie zagląдай do kibla na końcu korytarza.

– Dlaczego?

– Powiesiłem w nim mojego księgowego. Za dużo wiedział. Dobry był z niego chłop, ale cóż... Nawet się nie bronił. – Boss dopiero po chwili zorientował się, że w gabinecie nie ma już nikogo poza nim samym.

Westchnął, podniósł do ust szklankę, której Kamyk nawet nie tknął i połknął zawartość jednym haustem. Niedbale odrzucił szkło, przy okazji przewracając butelkę z koniakiem, po czym sięgnął do szuflady. Oprócz dwóch pustych butelek po whisky leżał w niej stary SPS kalibru 9 mm. Aleksiej odłożył go na bok i sięgnął głębiej do schowka. Uśmiechnął się, kiedy jego palce natrafiły na twarde kartonik. Wyciągnął starą, pomiętą fotografię ładnej dziewczynki, której włosy zaplecione w dwa grube warkocze spływały po ramionach. Przytknął do odbitki zapalniczkę i skrzesał ogień. Zdjęcie szybko buchnęło jasnym płomieniem. Zadowolony z efektu Aleksiej odbezpieczył SPS-a i przystawił go sobie do skroni.

– Na pohybel wrogom. I byłem przyjaciołom też – szepnął, obserwując jeszcze przez chwilę czerniejący i kurczący się papier fotograficzny, po czym pociągnął za spust.

* * *

Kamyk z niepokojem spojrzał na sufit windy. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś huk i przeklął w myślach swoje wygodnictwo. Mógł zejść po schodach, jak zawsze. Nie, on musiał się przejechać tą przeklętą windą. Odetchnął, kiedy kabina zatrzymała się na parterze i wypuściła go ze swoich trzewi. Opuścił budynek, zadarł głowę próbując zlokalizować okna gabinetu Aleksieja, ale dostrzegł jedynie rzędy jednakowych, słabo odbijających niebo szklanych tafli. Dał sobie spokój z machaniem do bossa. Może, kiedy sytuacja się uspokoi, przyjedzie tutaj jeszcze raz i urzną się jak za dawnych lat. Może kiedyś...

Trzasnął drzwiami auta, wcisnął ukryty przełącznik odcięcia zapłonu, jednocześnie przekręcając kluczyk. Rozrusznik zawył, ale po kolejnej próbie zakręcił kołem zamachowym, uruchamiając silnik. Przemytnik ukrył pistolet w zamaskowanym schowku wewnątrz deski rozdzielczej, wrzucił bieg i, zostawiając za sobą ponurą fabrykę, ruszył

w stronę granicy. Początkowo planował odwiedzić swoją znajomą, Sonię i przeczekać u niej do zmroku, ale uznał, że w obecnej sytuacji o wiele bezpieczniej będzie opuścić miasto za dnia, udając normalnego obywatela. Nawet jeśli władze wzmocniły posterunki i puściły patrole wzdłuż Bufora, to Kamyk nie znał takiej granicy, której nie da się przekroczyć.

„Sonieczka, Sonieczka” – pomyślał, przywołując obraz ładnej, ale twardej kobiety z twarzą nastolatki. „Następnym razem. Spotkamy się następnym razem”.

Musiał się komuś wyzalić, lecz zdrowy rozsądek wziął górę nad zranionym sercem. Skręcił w kierunku centrum, nonszalancko przejechał obok pomnika Stalina – jedyne na Białorusi ocalałego monumentu tego zbrodniarza, o którym wiele razy opowiadał mu Dziaduszka, i spokojnie skierował się na wschód. Postanowił wrócić swoim przemytniczym szlakiem niedaleko Strażnicy ulokowanej koło byłego przejścia granicznego w Siemianówce. Wyszedł z założenia, że pod latarnią zawsze najciemniej. Wiadomości o podwyższonej gotowości bojowej po tej stronie Bufora nie zdziwiły go, ale nie sądził, że w jakikolwiek sposób uniemożliwi mu to powrót do domu. Mylił się.

Dwie ulice dalej zdezelowany radiowóz zajechał przemytnikowi drogę, a terenówka w barwach białoruskiej straży granicznej zablokowała jego auto z tyłu. Milicjant w czarnej bluzie mundurowej i nie pasujących do niej spodniach khaki, bawiąc się lizakiem, podszedł powoli do półciężarówki, z zainteresowaniem przyglądając się zabrudzonej tablicy rejestracyjnej. Widniały na niej oryginalne numery zaczynające się od BY, dokumenty również nie powinny budzić żadnych zastrzeżeń, a sam przemytnik biegle posługiwał się językiem wschodnich sąsiadów. Poczuł jednak pewien niepokój. Butelka oryginalnej wódki wożona przez Kamyka na takie okazje mogła nie wystarczyć. Białoruskie banknoty również. Funkcjonariusz w końcu podszedł do szoferki i uśmiechnął się szeroko.

– *Bumaga*, dokumenty – zażądał.

Kamyk podał mu papiery, wkładając między nie kilka banknotów. Milicjant uniósł brew na ich widok, z wprawą zgarnął pieniądze i skinął głową.

– *Wychadzit. Budziem dziełat peresmotr.*

– Co? Przecież dałem...

– *Wychadzit, vychadzit* – ponagłał gliniarz. – Tamci patrzą. Rewizję muszę zrobić. Broni nie masz?

– Nie – gładko skłamał przemytnik. Na szczęście już wcześniej przyszło mu do głowy, że lepiej nie obnosić się z pukawką zatknietą za pasek.

– *Maładiec* – sprawne ręce szybko przetrzepały ubranie przemytnika i zatrzymały się, wyczuwając tekturową teczkę w wewnętrznej kieszeni kurtki. – *Szto eto? Pokaż.*

– Kurwa, przecież dostałeś działkę...

– Co to jest!?

Na widok teczki oczy milicjanta zrobiły się wielkie jak koła młyńskie, a ręka błyskawicznie wyciągnęła broń. Napis „Sekretno” na dokumencie będącym w posiadaniu cywila u każdego mundurowego wywołałby podobną reakcję. No, chyba że cywil był agentem wywiadu. Kamyk niestety nie posiadał stosownej legitymacji, a obecność strażników zapowiadała nadchodzące kłopoty. Gdyby milicjant był sam...

Trzasnęły drzwi terenówki, na asfalcie załomotały ciężkie buty czterech pograniczników, a palec gliniarza drgał niepokojąco na spuście służbowego makarowa wycelowanego prosto w głowę przemytnika.

– *No i szto?* – zapytał jeden z funkcjonariuszy, stając nieco z boku. Pozostali mierzyli do zatrzymanego z kałaszy.

– On ma tajne dokumenty – zameldował stróż prawa, ciągle wbijając wzrok w Kamyka. – To szpieg.

– Może i *szpion* – skwitował strażnik, zabierając milicjantowi teczkę.

– A na pewno *poliaczek*. Przeklęty *poliaczek*. Pamiętasz ty mnie? Bo ja twoją bużkę znam doskonale.

– Wieźcie mnie do dowódcy – zaryzykował Kamyk, od razu poznając łysiego sierżanta, któremu nie tak dawno wbił lufę w zęby.

– Do dowódcy, powiadasz – zarechotał sierżant, a jego koledzy mu zawtórowali. – *A po szto?*

– Mam pewne informacje...

Pogranicznicy jeszcze głośniejszym śmiechem, a kopnięcie pod kolana zmusiło przemytnika do ukłęknięcia.

– Zmieniłem zdanie. – Łysy wytarł łzy, płynące mu po policzkach i gestem nakazał swoim podwładnym zakończyć głupi rechot. –

Zastrzelimy cię tu i teraz. Tak się postępuje ze szpiegami. Kula w łeb. Saszka – zwrócił się do milicjanta – zajeb to ścierwo.

– No nie wiem – milicjant przeniósł wzrok na sierżanta – tak bez sądu?

– Przecież powiedziałaś, że to *szpion*. A takich zabija się na miejscu.

– No nie wiem – powtórzył gliniarz opuszczając makarowa.

– Wasz dowódca będzie bardzo niezadowolony... – sapnął Kamyk.

– Ale ja będę zadowolony – przerwał mu sierżant.

– W takim razie paliwo strzeli chuj – Kamyk postanowił rzucić na szalę swój ostatni atut.

– Paliwo? – Łysy odepchnął gliniarza i z zainteresowaniem przyjrzał się twarzy przemytnika. Zachował jednak pewien dystans i przejechał językiem po naruszonych zębach. Kilka z nich ciągle go jeszcze bolało.

– Jakie paliwo?

– Dokładnie dwadzieścia kolejowych cystern. Po – na oko – pięćdziesiąt tysięcy litrów w jednej co daje... milion litrów oleju napędowego.

– Pierdolenie...

– Zaryzykujesz?

– Suczy syn – warknął sierżant, rozglądając się po swoich kolegach. Ci stali z głupimi minami i nie kwapili się by mu doradzić cokolwiek.

– To mam go zabić czy nie? – dopytywał się zdeorientowany funkcjonariusz.

– Masz się zamknąć, Saszka. Czy to jasne?

– Jasne, jasne. Wam dogodzić to...

– Skuj go i wrzuc do radiolki. Jedziemy do Strażnicy. Nie, czekaj – Łysy podrapał się po szczecinie porastającej jego gębę – pojedzie z tobą dwóch moich chłopaków. Zdaje się, że to jakiś lepszy skurwiel i może zechcieć nawiać. Gdyby głośniej pierdnął, przestrzelcie mu kolana. Zresztą sam to zrobię, jeśli okaże się, że łże.

– Chwila, a co z moim autem – zaprotestował Kamyk.

– Chuj z nim! – Gliniarz zacisnął kajdanki na jego nadgarstkach. – Kto to ukradnie? Widzę, że masz brzydkie zdanie o naszej Nowej Białorusi. Może rzeczywiście należało od razu palnąć ci w łeb. Ruszajmy.

Dwóch słusznych rozmiarów pograniczników wcisnęło się na tylne siedzenie radiowozu, biorąc aresztanta między siebie. Ścisnęli jego nogi

kolanami, łokcie wbili mu w żebra, skutecznie utrudniając oddychanie, a milicjant włączył koguty i wcisnął pedał gazu. Próbował dogonić terenówkę straży granicznej, która wyrwała do przodu by, zgodnie z przypuszczeniami Kamyka, skierować się na północ, w stronę znanej mu już Strażnicy, wybudowanej obok dawnego przejścia w Bobrownikach. Po półgodzinnej, samobójczej jeździe zdezelowanym autem, którego zawieszenie sprawiało wrażenie jakby lada chwila miało się rozpaść, spomiędzy koron drzew w końcu wyłoniła się budowla, przypominająca latarnię morską wrzuconą w sam środek lasu. Przynajmniej Kamykowi kojarzyła się właśnie w ten sposób. Miał już okazję zwiedzić wysoką wieżę obserwacyjną. Na jej szczycie dobijał interesu z naczelnikiem. Miał nadzieję, że zdoła wyjaśnić całe zajście oficerowi, który wydawał się być trzeźwo myślącym facetem. Na powitanie milicyjnego auta nie wyszedł jednak postawny dowódca, ale ubrany po cywilnemu brodaty mężczyzna w okularach grubości denek z butelek po wódce. Terenówka już była na miejscu, a sierżant szybko coś referował cywilowi.

– Doprawdy? – Brodacz spojrział na łysego funkcjonariusza.

– W dodatku to szpieg.

– Szpieg? Robi się ciekawie.

– Miał przy sobie to. – Sierżant podał cywilowi teczkę. – Co z nim zrobić?

– A zaprowadźcie go do mojego gabinetu – cywil poprawił okulary. – Porozmawiam sobie z nim.

Strażnicy bezceremonialnie wyciągnęli Kamyka z radiowozu i przeciągnęli przez dyżurkę, znaną mu już salkę, w której po raz pierwszy miał wątpliwą przyjemność rozmawiać z sierżantem, i pozwolili mu stanąć na nogach dopiero przed schodami prowadzącymi na wyższe piętra Strażnicy. Tam przejął go kolejny cywil i, delikatnie lecz stanowczo przytrzymując jego łokieć, zaprowadził do pokoiku, będącego gabinetem naczelnika, kazał usiąść na krześle, a sam złożył ręce na piersi i stanął obok drzwi. Ze zdjęć wiszących na ścianie obok biurka do Kamyka uśmiechała się sympatyczna rodzina, składająca się z siwiejącego pana kapitana, pani kapitanowej i dwójki uśmiechniętych dzieci – chłopca i dziewczynki. Dostrzegł coś jeszcze. Zaschnięte krople czegoś czerwonego, pokrywające tu i ówdzie ramki fotografii, segregatory i firanki wiszące w oknie. Szczególnie widoczne

były właśnie na firankach. Zrozumiał już, że naczelnik raczej nie dotrzyma mu towarzystwa. Chyba, że w grobie.

Okularnik nie kazał na siebie długo czekać. Usiadł w fotelu dowódcy i zagłębił się w lekturze teczki Aleksieja. Kilka razy zerknął na przemytnika zza grubych oprawek i w końcu odłożył skoroszyt.

– Ciekawe, ciekawe – mruknął. – Kto ci to dał?

– Znalazłem.

– No proszę, znalazłeś. A gdzie, jeśli wolno zapytać?

– Na śmietniku.

Brodacz zamyślił się chwilę, włożył do ust papierosa, ale go nie zapalił.

– Zdajesz sobie sprawę, że to ty możesz za chwilę wylądować na śmietniku? Tych chłopców na dole aż skręca, żeby palnąć ci w łeb. Zwłaszcza jeden z nich jest strasznie wyrywny. Chyba już wcześniej mieliście okazję się poznać?

– Taaa – skinął głową Kamyk. – Mieliśmy. Tylko, że wtedy dowodził tutaj ktoś inny.

– Czasy się zmieniają, oficerowie również.

– Nawet nie zdążył zabrać osobistych rzeczy, zdjęć...

– Jak to się mówi, poddano go błyskawicznej relokacji. Kilku strażników również spotkał podobny los.

– Pewnie byli zbyt oddani naczelnikowi i nieprawomyślni – zauważył ironicznie przemytnik. – Linia partii, te sprawy...

– Przejdźmy do sedna. – Okularnik chrząknął. – Co wiesz o tym pociągu?

– Nic nie mówiłem o żadnym pociągu – wyszczerzył się w uśmiechu Kamyk.

Uderzenie w okolicę nerki skutecznie zniechęciło go do dalszych wygłupów. Zapomniał, jaką rolę odgrywał drugi cywil, stojący z tyłu. Tacy ludzie zawsze czekali za plecami przesłuchiwanym, bezgłośni i brutalni. Kiedy zachodziła konieczność, to właśnie oni pociągali za spust broni przystawionej do potylicy podejrzanego.

– Wiesz, co robimy z ludźmi, którzy nie chcą z nami rozmawiać? – Okularnik podpalił w końcu papierosa i zaciągnął się głęboko dymem.

– Bijemy. Czasami bijemy tak długo, aż zabijemy. No więc? Chciałbyś zostać pobity na śmierć?

– Aaa... – Kamyk z trudem łapał oddech. – To o ten pociąg chodzi.

Trzeba było od razu... Sprawa wygląda tak...

* * *

Terenówka ugrzęzła dobre kilka metrów przed betonowym kozłem pomalowanym w żółto-czarne pasy. Auto z trudem przedzierało się przez piaszczystą drogę biegnącą wzdłuż linii kolejowej, łączącej nieistniejącą stację i graniczne przejście towarowe w Zubkach z leżącym pięćdziesiąt kilometrów dalej Białymstokiem. Pokonało rozmytą ścieżkę odbijającą w bok od głównego szlaku, ale utknęło tuż przed osiągnięciem celu podróży. A wszystko przez deszcz. Cholerny deszcz, który z każdą chwilą przybierał na sile. Pierwsze krople spadły na dach terenówki tuż za Buforem, teraz wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody z szyby.

– Pierdolony deszcz – narzekał sierżant siedzący obok kierowcy. – Nie mógł poczekać kilka godzin?

– Może tak łać przez najbliższe pół roku – odpowiedział ze znużeniem brodaty okularnik. – Chociaż równie dobrze za chwilę możemy pocić się w pełnym słońcu. Przyroda gra według swoich zasad.

– Gównno, nie zasady – prychnął sierżant. – Wszystko się poprzewracało, ot, co. Świat stoi na głowie.

Okularnik wzruszył ramionami, spojrział na Kamyka przykutego kajdankami do uchwytu drzwi i wyjął papierosa.

– Tobie kaprysy pogody nie przeszkadzają, prawda?

– Zdażyłem przywyknąć.

– Nie wątpię.

– Utknęliśmy na dobre – złorzeczył kierowca. – Dalej nie pojedziemy. Oby udało się nam wycofać po własnych śladach.

– I co mądralo? Droga się skończyła – łysy pogranicznik odwrócił się i wbił wzrok w więźnia. – Masz kolejny pomysł na obronę własnej dupy? Bo ja widzę to tak: gównno tam wiesz o rzeczonym pociągu, próbujesz jedynie zyskać na czasie.

– Spokojnie – brodacz wetknął papierosa do ust i podpalił – bez nerwów. On ryzykuje własnym życiem. Ma zbyt dużo do stracenia, by próbować wywieść nas w pole i liczyć na cud. Nieprawdaż?

– Prawdaż – przytaknął Kamyk. – Poza tym dotarliśmy już na miejsce.

– No, co ty, kurwa, nie powiesz – sapał sierżant. – I gdzie ten pociąg. Odfrunął? Przecież tory się skończyły.

– Trzeba się będzie kawałek przespacerować.

– Mamy się taplać w deszczu i błocie? Nieźle to sobie wymyśliłeś. Ale ty pójdziesz pierwszy.

– Niestety nie. – Okularnik uchylił boczną szybę i wypuścił przez nią kłąb dymu. – On zostaje tutaj razem ze mną. Na wszelki wypadek.

– Świetnie! – Łysy szarpnął za kłamkę i potrzaskał kałasznikowem. – Jeśli zrobiłeś z nas głupców, pierwszy poślę ci kulkę. Prosto w łeb.

– Spoko. Chciałbym jeszcze trochę pożyc – mruknął Kamyk. – Miniecie ten betonowy zasięg i pójdziecie dalej wzdłuż torów. One są zasypane, ale deszcz już rozmywa piach. Raczej nie zabłądzicie. Tutaj kiedyś była kopalnia odkrywkowa, cysterny stoją obok jednej z ramp załadunkowych. Jakies trzysta metrów stąd.

– No to idziemy. Ale jeśli nam nałgałeś...

Trzasnęły drzwi, szcęknięły zamki karabinów. Sierżant i dwaj pogranicznicy pomaszzerowali w kierunku betonowego kozła, cały czas rozglądając się czujnie. Po chwili ich plecy zlały się z szarą ścianą deszczu.

– Nad czym tak dumasz? – Okularnik przerwał przedłużającą się ciszę.

– Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa i wypuścisz mnie. Tak jak obiecałeś.

– Jeśli powiedziałeś prawdę, to będziesz wolny. Układ to układ.

– Słowo *razwiedzika*? Wy z wywiadu czy tam kontrwywiadu nie macie w zwyczaju dotrzymywać obietnic.

Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki zwinięty w rulon skoroszyt i rozprostował. Powoli odwrócił głowę, spoglądając z uwagą na przemytnika.

– To bardzo interesująca lektura.

– Być może. Jak już mówiłem, znalazłem teczkę na śmietniku. Nie miałem czasu przejrzeć.

– Wydaje ci się, że jesteś cwany, co?

– Bo ja wiem?

– Jesteś pewny siebie. Zbyt pewny. Ty i tobie podobni krązycie wokół

Bufora, robicie swoje interesy, swój przemycik. Ale to się skończy. I co wtedy?

– Znajdzie się inna granica.

– Albo i nie znajdzie. Żyjecie z dnia na dzień. Ryzykujecie wszystkim, a i tak wasz wysiłek nie przynosi znaczących efektów. Wiesz dlaczego?

– No?

– Bo tego jednego nie jesteście w stanie kupić, wymienić i przemyścić. Wolności.

– Ale ja jestem wolny, jak cholera – zaśmiał się Kamyk. – Może nie w tej chwili, ale nikt nie dyktuje mi, jak mam żyć. Wszystko robię na własny rachunek.

– Taką egzystencję trudno nazwać życiem. Dopóki istnieje Bufor, to właśnie on ustala reguły gry. A sytuacja wygląda tak, że macie tutaj kompletny bajzel.

– Tutaj, czyli gdzie?

– W tym czymś – okularnik zaciągnął się i wyrzucił niedopałek za okno – co kiedyś było krajem. Państwem. A teraz nie istnieje. I nigdy nie będzie istniało.

– Skąd ta pewność, panie *razwiedzik*?

– Widzisz... – Nabrał powietrza mężczyzna, ale przerwał mu odgłos serii z kałasznikowa.

Rozejrzał się nerwowo i błyskawicznie wyjął pistolet.

– Jest dokładnie tak, jak podejrzewałem. Wciągnąłeś nas w pułapkę – skwitował ze spokojem. – A raczej ich.

– Może zachciało się im postrzelać na wivat czy coś – wyszczerzył zęby Kamyk. – Nie idzie pan sprawdzić, pomóc kolegom? Przecież nie ucieknę, bo i jak. Musiałbym wyrwać drzwi.

– Sądzisz, że jestem tak głupi, by dać się wciągać w zasadzkę przygotowaną przez byle łotrzyka? Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie rozумы, ale to nieprawda. Przez cały czas jechało za nami drugie auto, z moimi ludźmi wyszkolonymi do podobnych akcji. A przeprowadziliśmy ich niemało. Słyszysz? To oni.

Rzeczywiście, od strony głównego szlaku nadjeżdżał jakiś pojazd. Warkot silnika stawał się coraz wyraźniejszy, ale przypominał bardziej dźwięk, jaki wydaje auto ciężarowe. Strzały nie powtórzyły się, więc okularnik pociągnął za klamkę i wysiadł, przez cały czas trzymając w dłoni pistolet. Machnął w stronę mającego w oddali szarego

kształtu podążającego śladami terenówki pograniczników. Warkot umilkł, a okularnik zaczął brnąć w kierunku nowo przybyłych, oglądając się co chwila i zapadając po kostki w błocie.

Kamyk wykręcił szyję, próbując dostrzec oddalającego się oficera wywiadu, ale po chwili zrezygnował. Ręce skute razem z uchwytem drzwi skutecznie uniemożliwiały mu jakikolwiek swobodniejszy ruch. Zerknął na ścianę lasu porastającego obie strony nasypu i wtedy go dostrzegł. Valentis Szalony, szczerząc kły, niespiesznie podążał w stronę terenówki i uwięzionego w niej Kamyka. Podszedł blisko, położył obie przerośnięte ręce zakończone długimi i ostrymi paznokciami na dachu i wyszczerzył kły jeszcze bardziej. Przemysłnik uchylił nieco szybę, wcisnął przycisk blokujący drzwi, po czym, głośno przefykając ślinę, spojrział prosto w przekrwione ślepie. Do tej pory spotykał się z Valentisem, mając przynajmniej przewagę w postaci broni palnej. Wierzył jednak, że bestia dotrzyma słowa i wypełni swój dług życia. Chociaż, z drugiej strony, bestia zawsze pozostawała bestią. Nawet jeśli umiała w miarę składnie układać zdania.

– To ja – drżącym głosem powiedział Kamyk.

– Widzieć ja. Ślepy ja nie być jeszcze.

– Czy wy ich zabić... Znaczą, zabiliście tych mundurowych?

– Zabić – przekrzywił głowę Valentis. – Tak jak obiecywać. My zawsze dotrzymywać słowo. Ty mówić, żeby my zabić każdego, kto się zbliży do wagon. I my zabić z ochotą. Świeże mięso dobre... Ja wypełnić dług? My kwita?

– Kwita, kwita – chętnie zgodził się Kamyk. – Jeszcze tamci z tyłu zostali.

– Ja wiedzieć.

– Jakbyście się mogli nimi też zająć...

– Tak. My zabić i zjeść wszystkich.

– No... Mnie chyba nie masz na myśli.

– Ty mówić, żeby my zabić każdy, kto się zbliżyć. Ty nie mówić, żeby robić wyjątek dla jego samego.

– No, kurwa... – Słowa uwięzły w gardle przemysłnikowi.

– Kamyk się nie znać na żart. – Oblizał się stwór i wskazał na auto czekające w oddaleniu. – A oni kim być? Przyjaciele?

– Raczej...

Gdzieś z tyłu zaterkotał karabin maszynowy i wilkołak zrobił krok do

tyłu, uciekając przed pociskami uderzającymi w błotnisty nasyp tuż przed jego nogami czy raczej pazurami.

– Oni mieć duże auto. Grube, strzelające auto – warknął Valentis i puścił się biegiem w stronę lasu.

Tymczasem pojazd ryknął i zaczął się bez większych problemów przedzierać przez nasyp. Kiedy podjechał bliżej, Kamyk zrozumiał, dlaczego szyby w aucie Białorusinów zaczęły drzeć. Duży, ośmiokołowy transporter opancerzony BTR-80, będący niegdyś chlubą rosyjskiej armii, właśnie zrównał się z terenówką i profilaktycznie puścił serię po zaroślach ze swojego kaema. Niewielkie drzwiczki w pancerzu otworzyły się i wypadła z nich postać w kamizelce taktycznej, hełmie i kominiarce na twarzy. Szarpnęła za klamkę drzwi, ale nie mogąc ich otworzyć, nie zastanawiając się długo wybiła szybę kolbą karabinka. Przemytnik nie zdążył się zasłonić przed drobinkami szkła, których kilka zraniło go w czoło i policzki. Usłyszał kliknięcie blokady w drzwiach, poczuł szarpnięcie i znalazł się na zewnątrz auta, przy okazji boleśnie wykręcając sobie ręce. Tuż obok jego głowy gruchnął strzał, a łańcuch łączący obręcz kajdanek rozpadł się na dwie części. Zamaskowana postać bezceremonialnie chwyciła ogłuszonego Kamyka za kołnierz i pociągnęła w kierunku transportera. Ktoś pomógł go wepchnąć przez niewielki właz do wnętrza BTR-a. Ktoś inny usadowił na wąskiej ławeczce i kilka razy uderzył go w twarz. Dzwonienie w uszach powoli ustępowało, ale widok brodatego okularnika, siedzącego pomiędzy dwoma żołnierzami, wcale nie napawał Kamyka otuchą.

– Ej, ty – dobiegający jakby zza ściany głos zmusił go do odwrócenia głowy. Dostrzegł dwa warkocze blond włosów wystające spod hełmu i zaczął się zastanawiać, skąd zna ten głos i te warkocze.

– Sonieczka? – szepnął, kiedy kobieta ściągnęła kominiarkę i nakrycie głowy. – Nie sądziłem, że pracujesz dla wywiadu.

– A ja nie sądziłam, że jesteś idiotą.

– Aha – odpowiedział, dopiero teraz pojmując, że okularnik tak naprawdę został wciśnięty między dwóch barczystych wojaków, uniemożliwiających mu jakikolwiek ruch. – Co ty... wy tu właściwie robicie?

– Przyjechaliśmy, żeby ratować ci dupę. Mówiłam ci już, że jesteś idiotą?

- Tak. Dziękuję.
- Dobra, zjeżdżamy stąd - zakomenderowała Sonia, a transporter gwałtownie ruszył, przy okazji zrzucając Kamyka z ławki.
- To dokąd jedziemy? - zaryzykował pytanie, z trudem wciskając się z powrotem na siedzisko.
- Na wojnę - wykrzywiła usta kobieta. - Jedziemy na wojnę.

Rozdział 9

Przyjaciół czy wróg?

Kapitan Ewa Ostrowska ulokowała się obok szczeliny obserwacyjnej, zdjęła osłonę obiektywu celownika optycznego, mocniej wsparła kolbę karabinu na ramieniu i spojrzała w okular.

– Po co ci to? – Benner podtrzymywany przez Firleja właśnie wszedł do dyżurki.

– Tak, na wszelki wypadek – skrzywiła się Ostra.

Major podziękował żołnierzowi, pokuśtykał w stronę kobiety, położył rękę na lufie broni i odsunął ją w bok.

– Pocisk z tej pukawki przebija blok silnika samochodowego, a w pancerz transportera wchodzi jak w masło. Wiesz, co nabój tego kalibru potrafi zrobić z człowiekiem?

– Na przykład urwać mu łeb?

– Ewa!

– Dobra, już, dobra. Celuję w niebo, widzisz?

– Aha. Może ktoś zreferuje mi, jak wygląda sytuacja?

– Mamy nieproszonych gości – poinformował wartownik, który wciąż pamiętał stalowe przesłó bramy szybujące przed jego nosem. – Zaparkowali jakiś pięćdziesiąt metrów od nas. Niech pan sam zobaczy.

Ostrowska zabrała karabin, a Benner spojrzał przez szczelinę, próbując dostrzec cokolwiek w strugach deszczu.

– Co to za auto? – spytał.

– Jakby stary policyjny bus. Tylko przemalowany na czarno. Nawet ma koguty na dachu.

- To na pewno on? To Cierń?
- Trochę się zmienił, ale... Nie sposób się pomylić. W piekle bym poznał swojego dowódcę – wartownik wyprężył się jak struna.
- Byłego dowódcę. Oczywiście nie powiedział, czego chce?
- Będzie rozmawiał tylko z panem. To jego słowa.
- Starzyński wie o jego przyjeździe?
- Nieee... – zająknął się mężczyzna. – Myślałem, że...
- Dobrze myślałeś. Dowiedzmy się najpierw, po co on wrócił. Generała zawsze zdążymy poinformować.
- Stary i tak się wkurwi – zauważyła Ostra.
- Pewnie tak. W porządku. Idę tam – wskazał głową skąpany w deszczu podjazd.
- Żartujesz? – zaprotestowała Ostrowska. – Ledwo stoisz na nogach. Może niech on się tutaj pofatyguje.
- Idę do niego – powtórzył z naciskiem Benner. – Sam. Rozumiesz? Ewa, rozumiesz? I żebyś mi tu nie wykręciła żadnego numeru?
- Ale ty jesteś... – warknęła kobieta.
- No, dokończ. Jaki?
- Głupi. Czasami jesteś taki dureń... Jeśli Cierń zrobi jeden niepotrzebny ruch, od razu walę mu w łeb. Ty też to zrozum.
- Poradzę sobie. A ty nie rób nic głupiego. Dotyczy to was wszystkich. – Rozejrzał się po portierni i dostrzegł zmęczone twarze swoich żołnierzy, z których w końcu opadły maski twardzieli. – Wychodzę.
- Może podprowadzę pana chociaż kawałek... – zaoferował Firlej.
- Sierżancie, ledwie mnie drasnęło. Poza tym trzeba przypilnować Sienkowa. Proszę się tym zająć.
- Zamknąłem go w składziku, tak jak pan kazał.
- Wykonać!

Firlej zerknął na zakrwawioną nogawkę majora, przeniósł wzrok na Ostrowską, która wzruszyła ramionami, po czym przepuścił kuśtykającego mężczyznę. Benner uchylił drzwi prowadzące na mały dziedziniec dzielący obie bramy, wystawił rękę jakby sprawdzając siłę ulewy, po czym ruszył, wyraźnie utykając na lewą nogę. Minął wrak spalonego kombi, o którym na śmierć zapomniał i przeklął w myślach swoją sklerozę. Ten złom powinien zostać usunięty tego samego ranka, kiedy nastąpił atak, ale nikomu nie przyszło do głowy by to zrobić.

Może gdyby ktoś wydał odpowiedni rozkaz... Teraz było już za późno, a wrak mógł być doskonałą osłoną dla niespodziewanych gości. Benner minął go obojętnie i, czując się nieswojo na odkrytym terenie, ruszył w stronę zaparkowanego kilkadziesiąt metrów dalej busa. Pojazd nagle błysnął światłami dając mu do zrozumienia, że ma się zatrzymać. Major zrobił to, czując jak jego porwany mundur, chłonący każdą kroplę deszczu, robi się coraz cięższy. Zauważył ruch koło auta i odruchowo położył dłoń na rękojeści glocka. Ktoś wysiadł i zaczął iść w kierunku Bennera. Niespiesznie, jakby rozkoszując się każdym krokiem, każdym przebyłym metrem. Uśmiechnięta gęba Ciernia stawała się coraz wyraźniejsza, a padający deszcz odbijał się od wodoodpornej peleryny i kaptura, tworząc wokół zbliżającej się postaci coś na kształt aureoli. Major z rozbawieniem pomyślał, że brakuje jeszcze tęczy wyrastającej zza głowy pułkownika. Rzucił okiem na dyżurkę, która wydawała się być cholernie daleko i przesunął się nieco, stając na ewentualnej linii strzału. Nie chciał dawać satysfakcji Ostrowskiej, nie chciał niczyjej śmierci. Przynajmniej chwilowo.

– Zmkniesz, Krzychu – usłyszał znajomy głos.

Dostrzegł wyciągniętą rękę, ale sam nawet nie drgnął.

– No – mruknął w odpowiedzi.

– W końcu się pojawiłeś. Długo kazałeś na siebie czekać. Pogoda – jak widzisz – nie dopisuje.

– Wystąpiły pewne komplikacje.

– Oczywiście. Rozumiem. – Pułkownik zatrzymał się, ciągle czekając na uścisk dłoni. – Nie przywitasz się ze starym druhem?

– Dlaczego wróciłeś, Cierń?

– To już nie jesteśmy po imieniu?

– Nie wiem... Po prostu odpowiedz. I zrób to szybko, jeśli nie chcesz zginąć tu i teraz.

– Niech zgadnę. – Pułkownik wciąż się szczyrzył. – Komuś palec drży na spuście? Przecież nawet nie jestem uzbrojony.

– Tym gorzej dla ciebie. – Major niemal słyszał chichot Ostrej przyklejonej do lunety karabinu wyborowego.

– Zasłaniasz mnie – Cierń spojrzął ponad głową Bennera. – Gdyby Ostrowska chciała strzelić, musiałaby najpierw trafić ciebie. Bo to Ostrowska spieszy się, by posłać mi kulę, nieprawdaż?

– Do rzeczy. Kończy się nam czas.

– Czas? Tutaj, w naszym kompleksie czasu zawsze mieliśmy pod dostatkiem.

– Jurek...

– A pamiętasz stare czasy, jeszcze sprzed Rozbłysku? Jedliśmy z jednej miski, piliśmy z jednego kubka. A ćwiczenia na poligonie... Cholera, Kiedy to było... Latem lub wiosną... Taplaliśmy się w strasznym błocie, lało prawie tak jak dzisiaj...

– Czego chcesz?

Cierń przez cały czas się uśmiechał.

– Porozmawiać. Powspominać.

– Jurek – westchnął Benner. – Za chwilę ktoś doniesie o twojej wizycie Staremu. Pierwsze, co zrobi generał, to rozkaże odstrzelić ci głowę. Doskonale wiesz, za co.

– Zrobiliście się jacyś podejrzliwi. Czy tylko mi się wydaje?

– Sam nas tego nauczył. A teraz do rzeczy. Proszę.

– Musisz wiedzieć, że nie jestem sam. To po pierwsze.

– Domyślam się. Paru chłopaków stąd za tobą poszło. Ciekawe, czy będą chcieli strzelać do dawnych kolegów?

– Nie mam zamiaru walczyć. Dość krwi już przelaliśmy przez te wszystkie lata. Po drugie, nie mam najmniejszego powodu, by obawiać się Starego.

– Polemizowałbym – skrzywił się Benner.

– Dobra, koniec przekomarzania się. Chciałem porozmawiać z tobą, bo ci ufam.

– Może nie powinienes?

– Przestań pieprzyć te farmazony. Wyszło jak wyszło. Nie cofnę czasu, nie zmienię przeszłości. Ale mogę zrobić coś innego.

– Niby co?

– Krzysiek, przywiozłem ją. Dziewczynę Sienkowa. Przywiozłem ją.

– I niby to miało na mnie zrobić wrażenie? – lekceważąco wzruszył ramionami major.

– Nie rozumiesz. Chcę ją oddać doktorkowi. Oczywiście nie za darmo. Gdybyś mógł mu to przekazać... Starzyński zgodzi się na wszystko. Jestem pewien.

– Mówiłem już, że jest za późno. Przykro mi.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o tajemnicy tej podziemnej bazy? Chcę tylko...

– Za późno! – krzyknął Benner, podchodząc do Ciernia tak blisko, że krople deszczu z kaptura pułkownika spadały na twarz dawnego podwładnego. – Naprawdę tak trudno to pojąć?!

– Słuchaj, Starzyński przystanie na mój warunek – gorączkował się pułkownik. – Sienkow go przekona. Ten pociąg, o którym ci opowiadałem, pamiętasz... Mam szansę go uruchomić. Są ludzie, środki, trzeba tylko... To będzie broń, nasza broń...

– Znów zaczynasz? Te twoje obsesje...

– Krzysiek, ten pancerny pociąg...

– Nawet nie masz stuprocentowej pewności, że on naprawdę istnieje. Nigdy nie miałeś.

– Bo Stary zabronił mi się tym zajmować. Już dawno bym odkopał wejścia, rozkuł betonowe wylewki i zbadał... – przerwał i zaczął nasłuchiwać. – Hej, co to jest? Ten dźwięk.

Benner także usłyszał głuchy, narastający pomruk, który zdawał się przybierać na sile. Drżenie betonowej drogi, na której stali, stawało się coraz mocniejsze, a Cierń patrzył pytająco na dawnego kompana. Szczęknięty przesuwne drzwi w czarnym busie i czterech komandosów zajęło pozycje bojowe wokół pojazdu.

– Kurwa, Krzysiek, co wy...?!

Szyby w oknach dawnej siedziby dowództwa zaczęły pękać, a żołnierze odpoczywający w swoich kwaterach zaczęli wybiegać na dziedziniec, ci pełniący służbę opuścili posterunki i zaczęli się zbierać przy dyżurce. Rozglądali się dokoła, nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. Ostrowska wpadła między nich i wrzeszcząc popychała w kierunku bramy.

– Wypierdalać! Ale już! Szybciej, bo nogi z dupy...! Wypieprzać stąd!

Potężne tąpnięcie, łoskot zapadającego się dziedzińca i pękające ściany budynku, który od jakiegoś czasu był ich domem, tylko spotęgowały dezorientację załogi. Z każdą chwilą rosła chmura pyłu, której nie był w stanie przytłumić nawet deszcz.

– Gdzie jest generał? – Ostra dopadła któregoś z żołnierzy, chwyciła za kołnierz i szarpała wściekle. – Czy ktoś go widział?

– Nie było go z nami – odpowiedział inny.

– Firlej, gdzie jesteś?! – wrzasnęła.

– Tutaj.

– Co z Sienkowem?

– Przecież ja...

– Miałeś go pilnować! Kurwa mać! – oddychała głęboko, z trudem tłumiąc gniew. – Dobra. Słuchajcie, wszyscy mają się zebrać na drodze dojazdowej. Musimy się policzyć, zresztą nie wiadomo, co tutaj jeszcze się zapadnie. Firlej! Idziesz ze mną do Bennera.

– Tak jest!

– Będziesz się, kurwa, tłumaczył. Przecież wybuch miał tylko zerwać jeden strop. Jeden!

– Może źle obliczyłem ilość ładunku wybuchowego...

– Ach ty...! – Pociągnęła go za rękaw. – Jazda.

Kiedy dobiegli do Bennera i Ciernia, ci wciąż przyglądali się z otwartymi ustami wznoszącej się kurzawie. Ściany budynku sztabu właśnie zaczęły się składać jak domek z kart.

– Wydaje mi się – Benner odwrócił się i spojrzał na Ciernia – że twoja propozycja jest już i tak nieaktualna. Tak jak mówiłem, spóźniłeś się.

– Co ty zrobiłeś?! – zjeżył się pułkownik. – Co ty...?

– Wyszadziliśmy to kurestwo w powietrze – odpowiedziała Ostra. – Masz coś przeciwko?

Deszcz rozmywał osiadły na jej twarzy kurz, nadając i tak ostrym rysom kobiety iście demoniczny wygląd.

– Nawet nie wiecie... – Cierń skrył twarz w dłoniach. – Wszystko popsuliście. Wszystko zaprzepaściliście.

– Hej – Firlej trącił Ostrowską łokciem – a to nie Sienkow?

Rzeczywiście, z chmury pyłu wyłonił się naukowiec wciąż ubrany w brudny fartuch lekarski. Zataczał się, z ran na jego głowie sączyła się krew. Podszedł do grupki żołnierzy, mamrocząc coś po rosyjsku. Jeden z nich odepchnął doktora, kolejny wymierzył w niego broń. Ostra przyskoczyła do Sienkowa i odciągnęła od patrzących z wyraźną wrogością gromowców.

Sienkow spojrzał nieprzytomnie na Bennera, Firleja, Ostrą i Ciernia. Na tego ostatniego patrzył dłużej, jakby nie mogąc sobie przypomnieć, skąd zna skąpaną w deszczu postać.

– Co... – stęknął i niemal upadł.

Ostrowska przytrzymała go, drugą dłonią wymierzając mu siarczysty policzek.

– Pobudka, kurwa! – wrzasnęła.

– Aha! – Potrząsnął głową i ponownie spojrzał na Ciernia. – Znam cię.

Przypominam sobie. To... To ty...

– Przywiozłem to ścierwo – warknął pułkownik. – Tę przeklętą dziewczuchę.

– Kogo? – doktor zdawał się nie rozumieć.

– Twojego królika doświadczalnego. Mam ją w busie, leży pod kroplówką z silnymi środkami znieczulającymi. Wolę nie ryzykować z tą przeklętą szamanką. Widziałem, co robiła z ludźmi... Na co się tak gapicie?

– O kim mówisz? – zainteresowała się Ostra.

– Właśnie – głośno przełknął ślinę sierżant Firlej. – Chyba nie...

– Mała Kamila? – Sienkow wyrwał się z uścisku pani kapitan. – Jest tutaj?

– Wszystko spieprzyliście – wycedził Cierń. – Nawet nie macie pojęcia, co to może oznaczać dla naszego kraju.

– Jakiego, kurwa, kraju? – Ostrowska odepchnęła go i pomaszerowała w kierunku busa.

Komandosi błyskawicznie wymierzyli w nią swoje karabinki, ale pułkownik machnął ręką, zezwalając na przepuszczenie jej w pobliże auta. Zajrzała do środka i pokręciła głową.

– On naprawdę to zrobił – powiedziała. – Idzie pan, doktorze? Chce pan przywitać się, z dawno niewidzianą pacjentką? To rzeczywiście ona. Trochę wyrosła. I od dawna się chyba nie myła. Doktorze?

Sienkow ominął pojazd szerokim łukiem i, nie oglądając się za siebie, puścił się biegiem przez jałowy pas ziemi otaczający kompleks.

– Ej! – krzyknęła Ostra. – Miny! Kurwa, to jest pole minowe, ty debilu! Wracaj! Eeeej!

Patrzyli w milczeniu jak biały niegdyś fartuch znika wśród rzadkich drzewek wyrastających między kikutami uschniętego lasu, którego kilkaset hektarów otaczała dawną wojskową placówkę.

– Udało mu się – w głosie Bennera można było usłyszeć nutkę uznania. – Nie do wiary. Trzeba było zagęścić miny, jak kiedyś proponował Jurek... – urwał przypominając sobie, że Cierń stoi tuż obok.

– Wiał, jakby go goniło sto diabłów – Ostrowska podeszła do Firleja i walnęła go dłonią w plecy – albo jedna diablica. Co nie? Panie sierżant, wiesz pan coś o tym? Bo wyglądasz jakbyś wiedział.

– To on – Firlej palcem wskazał Ciernia. – To jego wina. On ją tutaj

sprowadził.

– No raczej – westchnął pułkownik. – To żadna tajemnica.

– Kiedy? – dopytywał się Firlej. – Kiedy ją tutaj przywiozłeś?

– A bo co? Ta czcza gadka do niczego nie prowadzi.

– Lepiej odpowiedz. – Ostra podniosła karabin, ignorując czekających w gotowości komandosów Ciernia.

– W okolicy jesteście od wczorajszego wieczora. Zrobiliście rozpoznanie i postanowiłem ujawnić się dzisiaj. Właśnie dzisiaj miał być ten dzień.

– D-Day to to nie jest – gorzko zauważyła Ostrowska. – Raczej dzień Do-Dupy. Co też widać na załączonym obrazku.

– To jej wina, jej dzieło – gorączkował się Firlej, wymachując palcem wskazującym niczym kaznodzieja. – On ją tutaj sprowadził... Cały ten bunt to jej robota...

– Bzdura – parsknął Cierń. – Podjęliśmy wszelkie środki ostrożności...

– Jedynym środkiem ostrożności wobec niej mogła być tylko kulka w łeb. Powinieneś o tym wiedzieć. Sienkow dawno temu podjął decyzję o jej unieszkodliwieniu. Zdolności tej dziewczyny zaczęły się wymykać z rąk. Przecież ona uciekła w biały dzień... Nie rozumiecie, że to było ustawione? Sienkow ją wypuścił! Miała niewielkie szanse na przeżycie, a jednak się jej udało. Jakimś cudem przeżyła. Ona wtedy wcale nie uciekła...!

– ...z doskonale strzeżonego kompleksu – dokończył Benner w nagłym przebłysku zrozumienia. – Później długo jej szukaliśmy. Tylko po to, żeby doktor mógł ją uciszyć? Naprawdę zrobiła się aż tak niebezpieczna?

– Był pan w szpitalu, widział pan co tam się działo. Moich kolegów wyróżnęła banda okaleczonych przygłupów, którzy do tej pory byli w stanie jedynie robić pod siebie... – Firlej zwrócił się do Bennera.

– Widziałem zagrody, gdzie ich trzymaliście. – Wzdrygnął się major. – To było bestialstwo.

– Wszelkie pretensje należy kierować do Sienkowa.

– Jasne – skrzywiła się Ostra. – Ty tylko wykonywałeś rozkazy.

– Zostaw go – rzucił Cierń, odwrócił się i ruszył w stronę busa.

– A ten dokąd? – rzuciła pani kapitan.

– Przestań – major chwycił Ostrą za ramię – niech idzie. On i jego

ludzie powinni stąd odjechać jak najszybciej.

W milczeniu obserwowali komandosów pakujących się do auta, które wycofało się aż do linii drzew, zawróciło i zniknęło w szarości skrywającej drogę niknącą w lesie.

– Przykre spotkanie po latach. – Kapitan Ostrowska szturchnęła łokciem Bennera.

– Przykre – potwierdził, ciągle wpatrując się w punkt, gdzie zniknął pojazd Ciernia.

– Hej, Krzysiek – chwyciła go za ramiona i potrząsnęła. – Wszystko się skończyło, rozumiesz? Jesteśmy wolni.

– Od czego?

– Nie od czego, tylko do czego. Jesteśmy wolni, by robić to, co będziemy chcieli. I to wszystko dzięki niemu – wskazała na Firleja.

– Ja...? – zająknął się sierżant.

– Gdybyś nie pomylił się w obliczeniach, nadal byśmy tkwili na swoim posterunku. A tak... Nie mamy już czego pilnować. I Starzyński został zdymisjonowany.

– No – skrzywił się Benner. – Tylko co my teraz będziemy robić?

– Życ. Normalnie żyć.

– To może być trudne – zauważył. – Cholernie trudne.

* * *

Cierni wdusił pedał gazu i zacisnął ręce na kierownicy. Wbił wzrok w skąpaną deszczem drogę, prując przed siebie jak maszyna obojętna na zewnętrzne bodźce.

– Co z nią? – odezwał się po długim milczeniu.

– Żyje – odpowiedział jeden z komandosów.

– Żyje – odezwała się dziewczyna, wyciągając z żyły wenflon. – Po co był cały ten cyrk?

– Musieli uwierzyć – uśmiechnął się pułkownik. – Podawaliśmy ci zwykły płyn fizjologiczny. Nie musisz się przejmować. Krzywdy ci to nie zrobi. Mam nadzieję, że zemsta na Sienkowie była satysfakcjonująca.

– Baaaardzo – wyszczerzyła szerniałe resztki zębów. A teraz, zgodnie z umową, wieź mnie do brata.

– Tak też się stanie. Wkrótce. Teraz musimy się zająć kompleksem.

Sprzęt z Białego Miasta powinien już być w drodze. Mam nadzieję, że ta zdezelowana koparka da radę odgruzować wjazd do garaży i bocznic. Trzeba będzie jeszcze raz zrobić przegląd torów kolejowych, prowadzących do jednostki...

– Ogarniemy temat, szefie – powiedział jeden z komandosów. – Chyba nam się udało.

– Tak. Wszystko idzie zgodnie z planem. Muszę przyznać, że tę akcję przeprowadziliśmy wzorowo. Co nie, Przepiór?

Jeden z zamaskowanych mężczyzn zdjął z głowy kominiarkę i odetchnął.

– Nieźle to pan wymyślił, pułkowniku. Ale co dalej.

– Dalej? Realizujemy plan. Działamy. Ty będziesz musiał wrócić do swojego przyjaciela. Przy okazji odwieziesz dziewczynę. Mam nadzieję, że Dziaduszka przekona Kamyka. Musimy uruchomić ten pociąg.

– Pojadę – zgodził się mechanik – jak tylko zobaczę to cudo techniki. Nie będę ryzykował na darmo.

– Już wkrótce...

* * *

Transporter opancerzony BTR-80 skręcił gwałtownie, z pełną prędkością zjeżdżając z nigdy niedokończonej drogi ekspresowej S8, zastawionej wrakami sprzętu budowlanego i mokrej jak diabli. Potężne opony zapiszczały, protestując przeciw niespodziewanemu manewrowi, pojazdem rzuciło, kiedy przeskoczył pełen błota rów odwadniający, a koła zabuksowały na grząskim terenie.

– Twój kawalerzysta mógłby zwolnić – zaproponował Kamyk, masując guza rosnącego na potylicy. – Zapieprza tak, że można się połamać.

– Czas ucieka – zauważyła lakonicznie Sonia.

– Jak wy to wytrzymujecie? Ja cały jestem poobijany.

– Kwestia przyzwyczajenia. Trzeba uważać. Zresztą niedługo dojedziemy na miejsce.

– Skoro o tym wspomniałaś... – chrząknął Kamyk, zerkając na skutego kajdankami okularnika, który jakiś czas temu dostał kolbę w skroń i teraz kiwał się nieprzytomnie między dwoma najlepiej

zbudowanymi mężczyznami w mundurach polowych. – Po co go tutaj ciągniemy? Nie lepiej byłoby... No wiesz.

– Ten facet jest oficerem białoruskiego wywiadu. W odpowiednim czasie go przesłuchamy.

– Ja bym go od razu kropnął.

– Wybacz, ale kompletnie nie znasz się na polityce.

– Na czym? – zaśmiał się. – Ja tu widzę grupkę przypadkowo dobranych przebierańców, bawiących się w partyzantów.

– Przykro mi, że tak nas postrzegasz.

– Jeśli dobrze rozumiem, jesteście kimś w rodzaju ruchu oporu?

– Powiedzmy, że zapędy naszej władzy niezbyt podobają się pewnym osobom.

– Ładnie powiedziane, ale według mnie ktoś tu chce wykiwać swoich dawnych kolegów i przejąć interesy przynoszące niemałe zyski. W grę przecież wchodzi nie tylko nadgraniczny obrót towarem. Nie myślę się, co? Sonieczka? Aleksiej Fiodorowicz, ten stary lis, poczuł pismo nosem już dawno temu. Polityka nie ma tu nic do rzeczy.

– Trochę mu popsuleś szyki, wykręcając ten numer z pociągiem – skrzywiła się kobieta.

– A ja przez cały czas myślałem, że tylko robisz z nim interesy. Kiedy cię zwerbował?

– Ludzie sami garną się do walki. Organizują się. Przywódcy nie są potrzebni. A Aleksiej wyjaśnił mi pewne sprawy, pokierował mną. Otworzył mi oczy. Pomógł uzbroić ludzi.

– Ten transporter to też pewnie z jego prywatnego demobilu. Kupiony prosto z wojskowego magazynu za skrzynkę piwa.

– Nie szydź. Twoje zachowanie kiedyś mnie bawiło. Teraz wkurza.

– O! A to dlaczego? Gdzie jest ta Sonia, którą kiedyś znałem? Ta wesoła dziewczyna, z którą można było się pośmiać, obalić flaszkę samogonu i gadać do białego rana?

– Ty wciąż nie rozumiesz – pokręciła głową – że nie chcemy doprowadzić do wojny domowej. Tylko tyle. Takie rewolucje zwykle kończą się nie najlepiej.

– One kończą się źle dla przegranych – zauważył Kamyk. – Nie dla zwycięzców.

– Chodziło mi o kraj. O państwo. No, ale skąd ty – bezpieczeństwa – możesz coś o tym wiedzieć.

– Bezpaństwowiec – mruknął z uznaniem – to mi się podoba. Trafiłaś w sedno.

Patrzyła na niego przez chwilę jakby z wyrzutem.

– Nie rozumiem, jak można było doprowadzić do takiego upadku – powiedziała wreszcie. – Sami zniszczyliście własny kraj.

– Promieniowanie go zniszczyło...

– Pieprzysz – wycedziła. – Takie samo promieniowanie było u nas, na Białorusi, w Niemczech, Czechach, Hiszpanii. Na całym świecie. Ale inne państwa jakoś funkcjonują. Odradzają się. Ludzie dawno temu wyszli ze swoich kryjówek, schronów czy gdzie tam egzystowali. Pracują i przede wszystkim żyją. U was panują bandyci, cwaniacy i walka o kawałek złomu. Egzystujecie na pasie ziemi niczyjej. Nie macie nic.

– Mamy swobodę. Nie muszę nikomu płacić podatków i takie tam.

– Niczego nie rozumiesz – zacisnęła usta. – A ilu z twoich rodaków żyje jak niewolnicy? Uzależnieni od miejscowych królów podziemia? Chociaż to złe słowo, bo u was przestępcy funkcjonują zupełnie legalnie.

– Pancerna dama.

– Co?

– Pancerna dama. Tak będę cię nazywał.

– Nie tak dawno uratowaliśmy ci tyłek, nie zapominaj o tym. Nie liczę już, ile razy sama osobiście ci pomagałam. Twoje szyderstwa...

– A no właśnie – uśmiechnął się sztucznie. – Nie, żebym był niewdzięczny, ale... Jakim to zrzędzeniem losu znaleźliście się w odpowiednim miejscu, o właściwym czasie? No, nie patrz się tak na mnie. Naprawdę mnie to interesuje.

– Kamyk.

– No?

– Daruj sobie.

– Od kiedy mnie śledziliście? Jak tylko wyjechałem od Aleksieja?

Sonia nie odpowiedziała. Odrzuciła warkocz i spojrzała gdzieś w bok.

– Mogli mnie zabić już na ulicy. Doskonale o tym wiedziałaś.

– Zatrzymują wszystkich podejrzanych podróżnych. Mamy coś w rodzaju stanu wyjątkowego. Służby węższą.

– Służby zabijają, obsadzają kluczowe stanowiska swoimi ludźmi. W tej chwili zabicie kogoś nie stanowi problemu, bo zawsze można

twierdzić, że się zlikwidowało szpiega. Sonia, mogłem zginąć na tej ulicy.

– Ale sobie poradziłeś. Jak zawsze – ucięła.

– W porządku – podniósł ręce w geście poddania. – Wykorzystałaś mnie. Nie mam o to żalu. Teraz wiesz, gdzie są cysterny z paliwem. Zamknęci w stalowej puszcze bez problemu wystrzelacie włochate towarzystwo, grasujące w kamieniołomach. Aleksiej nieźle to wszystko wymyślił. Pewnie nawet sam zadzwonił na milicję po moim wyjściu. Niech no ja tylko spotkam tego starego lisa...

– To raczej niemożliwe – powiedziała cicho Sonia.

– Dlaczego? – Kamyk autentycznie się zaciekał. Nagle skojarzył. – O kurwa!

– Co znów? – zapytała Sonia z niesmakiem.

– Teczka. W aucie pograniczników została teczka, którą miał ten skurwiel – wskazał nieprzytomnego okularnika. – To znaczy... ja ją wcześniej miałem... Kurwa, kurwa! Nie możemy zawrócić?

Rozejrzał się po wnętrzu transportera. Dostrzegł wbite w siebie twarde spojrzenia. Twarze skryte za kominiarkami pozostawały anonimowe, ale oczy mówiły wszystko.

Nagle zgrzytnęły hamulce. Siła hamowania rzuciła wszystkimi pasażerami transportera do przodu. Rozległo się kilka przekleństw, pojawiło się parę nowych siniaków.

– Co jest? – Sonia przepychała się do przedziału kierowcy.

– Chyba... – bojownik siedzący za kółkiem bezradnie rozłożył ręce. – Chyba kogoś przejechałem.

– Tego nam tylko było trzeba – parsknęła. – Musimy wyjść. Zobaczyć. A ty dokąd? – zwróciła się do Kamyka.

– Idę zobaczyć...

– Nie, ty zostaniesz tutaj – jej wyciągnięty palec celował w jego pierś.

– Jak chcesz – wzruszył ramionami. – Ty tutaj rządzisz.

– Dobrze, że o tym pamiętasz.

Trzasnęły drzwiczki i dwóch zamaskowanych mężczyzn prześlizgnęło się przez właz. Pozostali nerwowo zerkali przez wizjery. Operator wieżyczki z kaemem pocił się pod kominiarką, zaciskając ręce na przyrządach celowniczych.

– I jak? – Sonia pomogła wejść pierwszemu ze swoich ludzi. – Gdzie Kostia?

– Rzyga.

– Aż tak źle to wygląda?

– Wbiegł wprost pod koła – tłumaczył kierowca.

– Jego mózg jeszcze jest na pancerzu – relacjonował mężczyzna wysłany na rekonesans. – Przejechaliśmy go dwoma kołami. Nie ma czego zbierać. Flaki... I tak dalej. Nie wiem czy to ważne, ale...

– Mów.

– Ten koleś był w jakimś fartuchu czy czymś takim. Jak lekarz. Wszystko jest we krwi, ale ten fartuch rozpoznałem. Wygląda jak czerwone prześcieradło... Znalazłem też to. – W wyciągniętej ręce trzymał stłuczone okulary w rogowej oprawie.

– Teraz to już nie ma znaczenia! – krzyknęła Sonia. – Kostia idziesz? Musimy jechać.

Odpowiedział jej dźwięk kolejnej fali wymiotów targającej bojownikiem. Kostia wgramolił się w końcu do transportera i wycierał rękawem usta. Kamyk beznamiętnie przyjrzał się jego rzadkiemu zarostowi, piegom zdobiącym młodą, najwyżej dwudziestoletnią twarz i westchnął z dezaprobatą. Może zbyt głośno, bo kilka głów odwróciło się w jego stronę.

– Coś ci nie pasuje? – odezwała się jedna z kominiarek.

– Wszystko. A najbardziej nie lubię współpracować z amatorami. Bo tym właśnie jesteście. Bandą amatorów. Powiedzcie piegowatemu, żeby założył kominiarkę, bo jego gębę już znam. Brodaty oficer wywiadu właśnie się obudził i tylko udaje, leżąc z zamkniętymi oczami. Możecie mu poprawić kolbę karabinu, tylko mocniej niż za pierwszy razem. A teraz, skoro już mnie wciągnęliście do waszej tajnej organizacji, może zapoznacie mnie z waszymi planami? Jeszcze jest czas, by uratować wasze tyłki.

– Jesteś strasznie pewny siebie – zauważyła Sonia.

– Bo ja jestem u siebie. W przeciwieństwie do was. Brniecie bezmyślnie gdzieś w pustkowia, rozjeżdżacie ludzi, rzygacie na widok krwi... Nie podoba mi się to. Dokąd właściwie jedziemy. To chyba możesz mi powiedzieć.

– Właśnie dojeżdżamy – oznajmił kierowca.

– Jak słyszałeś – uśmiechnęła się blondynka – już jesteśmy na miejscu.

Transporterem zatrzęsło, gdy zjechał z wąskiej, ale wyasfaltowanej

drogi ciągnącej się przez las. Zaczął się przebijać przez zarastającą ścieżkę. Wpadł w końcu na pozbawioną drzew przestrzeń, zwolnił przejechawszy kilka metrów po grząskim błocie, po czym wjechał do czegoś przypominającego tunel. Świat widziany za wizjerami skrył się w ciemności, bojownicy otworzyli włązy i zaczęli wysiadać. Bezceremonialnie wyciągnęli brodatego oficera, więc Kamyk również ruszył swoje cztery litery, ale zatrzymał się kiedy poczuł na ramieniu rękę Soni.

– Co jest. Zaaresztujesz mnie? – próbował zażartować, ale zacięta mina kobiety sprawiła, że się zamknął.

– Aleksiej zastrzelił się zaraz po twoim wyjściu – szepnęła. – Wiem, to nie twoja wina. On... Po prostu miał już wszystkiego dość. Nigdy nie mieliśmy większych szans, by wygrać z Nowym Kijowem. Wspiera ich Nowa Rosja, ale to pewnie już wiesz. Mają przewagę we wszystkim. Dosłownie we wszystkim. Nas jest garstka. Cały czas szukaliśmy jakiegoś nowego rozwiązania, czegoś, co dałoby nam jakiś atut. Kartę przetargową...

– Aleksiej...? – zająknął się Kamyk.

Milczał dłuższą chwilę, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Znam faceta, który szukał tego samego, co wy. Ba, nawet działał w porozumieniu z... Aleksiejem. Może i dobrze się stało, że to wy wykorzystacie to przekłete paliwo. Domyślałam się, że przyjechaliśmy w okolice Czerwonego Boru. Dawnej jednostki wojskowej i tak dalej. Znam opowieści o tym miejscu. Znam mrzonki o tajnej broni, która nawet nie wiadomo czy istnieje.

– Istnieje – skinęła głową Sonia. – Przekopaliśmy się do niej. Widzisz, wszystko tutaj zostało zabetonowane lub zasypane ziemią. Obiekt zamknięto i zapomniano o nim na wiele lat. Szef... Aleksiej dotarł do dokumentów z jakiegoś archiwum i zrozumiał, że to może być jedyne wyjście z sytuacji.

– Jest jeden problem – zauważył Kamyk. – W jednostce stacjonuje oddział byłych czy tam emerytowanych żołnierzy GROM-u. Z tego, co wiem, to zdobycie tej meliny jest średnio wykonalne. To nie są niedzielni żołnierze, w przeciwieństwie do twoich chłopców.

– I dziewczyn.

– Hę?

– W naszych szeregach są też dziewczyny.

– Tym gorzej, bo widzisz w tej jednostce, czy raczej w podziemnym kompleksie...

– Już dwa razy moi ludzie próbowali zdobyć jednostkę – przerwała mu. – Straciliśmy dwa transportery, nikt żywy nie wrócił.

– Błędne posunięcie.

– Musieliśmy spróbować. To był pomysł Aleksieja.

– Aha, czyli nic nie wiesz o doświadczeniach prowadzonych w bazie znajdującej się pod terenem jednostki.

– Jakie doświadczenia? – Jej mina mówiła wszystko. – Tam znajduje się zespół generatorów dużej mocy. Aleksiej nic nie mówił...

– On mówił to, co chciałaś usłyszeć. Jak zawsze zresztą i wobec każdego. Stary lis... Przepraszam. Przykro mi. Wiem, że był dla ciebie jak ojciec.

– Był – powiedziała ze smutkiem. – Jak ojciec.

– Sonia! – krzyknął ktoś i po chwili we władze ukazała się brudna twarz pięćdziesięciokilkuletniego mężczyzny, z samego wyglądu przypominającego twardego sukinsyna bawiącego się w górnictwo. – Idziesz?

– Idę.

– Nawet emerytów macie na składzie – parsknął Kamyk, ale zignorowała jego uwagę.

Zgrabnie wyskoczyła z transportera, a on ponownie zawadził głową o jakiś wystający element przedziału transportowego pojazdu. Zaklął, potknął się i wpadł wprost na stertę gruzu. Ktoś wetknął mu w dłoń latarkę, ktoś inny zaśmiał się głośno.

– *Priviet* Sonia – ten przypominający górnika zamknął blondynkę w objęciach

– *Priviet* Misza. I jak tam? – zapytała Sonia, kiedy już wyrwała się z jego ramion.

– Znaleźliśmy to – oznajmił z triumfem.

– Słyszałam. Jak się domyśliłeś, gdzie to jest?

– Widzisz, dużo nam pomogła ta dziewczyna od ciebie.

– Anna.

– Właśnie.

– Ta Anna? – wtrącił Kamyk.

– Co to za jeden? – zainteresował się Misza.

– Spokojnie. Przyjaciel.

- Aha. Skoro tak mówisz. Ma dziwny akcent.
- Bo to Polak, jak ty.
- Ach, Polak – przyjął wyjaśnienie, ale nieufnie spoglądał na rodaka.
- Poznajcie się. Misza, Kamyk. Kamyk, Misza... Znaczący Michał. Najemnik i spec od śmiercionośnych zabawek. No to już się znacie.
- Chodźmy – zakomenderował Misza. – Szkoda czasu.

Tunel, którym ruszyli, oświetlony był słabo – nieliczne lampy wyznaczały w zasadzie kierunek marszu między hałdami ziemi i odłamkami betonu. Wędrówkę dodatkowo utrudniały podkłady i szyny, o które Kamyk potykał się co chwila. Prowadził Misza, a pochód zamykało dwóch ludzi Sonii. Pozostali czekali przy wylocie z tunelu.

- Jak wiesz – relacjonował Misza – Anna pochodzi z tych stron i jak tylko wspomniała o tym wzgórzu, coś mi zaświtało. Tory kolejowe, tak jak podejrzewaliśmy, nie kończyły się w jednostce wojskowej, ale biegły wprost do tego wzgórza. Tę odnogę rozebrano na długo przed zlikwidowaniem stacjonującego tutaj pułku. Szyn nie tknięto. Może komuś się nie chciało, może nie mieli czasu. Nie usunięto też śladu po nasypie. Dzięki niemu tutaj trafiliśmy. We wzgórzu wykonano tunel czy też może całą konstrukcję przykryto dużą ilością ziemi, bo to wzgórze jest sztucznie usypanym tworem. Ten tunel biegnie po łuku. Od razu skojarzyłem, że to typowa konstrukcja wojskowa. Celowo nie przebito się przez to wzgórze w linii prostej, by ewentualna fala uderzeniowa po wybuchu – czy to jądrowym, czy konwencjonalnym – nie przeszła przez tunel i nie zmiotła wszystkiego i wszystkich po drodze. W połowie długości znajdowała się odnoga maskowana ruchomą, betonową ścianą. Ledwo ją znaleźliśmy. Niestety nie udało się nam dobrać do mechanizmu i musieliśmy ją wypier... wysadzić. Ta konstrukcja to był majstersztyk. Oczywiście jak na tamte lata.

- Szkoda, że nie można tu wjechać transporterem.
- Niestety, nie mieliśmy tyle czasu, by uprzętać zwały betonu. Ze względów bezpieczeństwa nie chciałem składować urobku poza tunelem. Rzucałby się w oczy. Miejscowi i tak nie są zbyt przyjaźnie nastawieni. Wprawdzie nastawialiśmy im gorzały, a i po atakach na jednostkę zaczęli przymykać oko na naszą obecność, ale...
- Wiecie skąd pochodzi najlepsza wódka? – głupio wtrącił się Kamyk.
- Z Gródka. To taka przygraniczna osada... Rymuje się, nie?

– Wiem, gdzie to jest – warknął Misza i spojrzał znacząco na Sonię.
– Zastanawia mnie tylko jedno – ciągnął niezrażony przemytnik. – W jaki sposób chcecie tutaj dociągnąć tory?

– Jakie znów tory? – blondynka wzięła się pod boki. – I po co mielibyśmy to robić?

– No bo w jaki niby sposób chcecie wyjechać stąd tym pancernym pociągiem?

– O jakim pancernym pociągu, u diabła, mówisz? – Sonia zatrzymała się i spojrzała na niego z wyraźnym zdziwieniem.

Misza i pozostali również patrzyli na Kamyka jak na wariata.

– Przecież go znaleźliście, tak? Mówił o nim Cierń... Znaczy taki jeden... No, co jest?

– On nie wie? – skrzywił się najemnik.

– Nie było okazji... – chrząknęła blondynka. – Nie wiedziałam, czy...

– Można mi ufać? – dokończył Kamyk.

– Teraz już trochę za późno. – Misza ruszył dalej, nie oglądając się na pozostałych.

Dotarli w końcu do bocznej odnogi, zabezpieczanej przez wojskowy posterunek, składający się tym razem nie z młodzieńców, ale twardych i uzbrojonych po zęby Białorusinów o wyglądzie żołnierzy Specnazu. Może zresztą nimi byli. Rozpoznali przybyłych, przywitali z uśmiechem Sonię, a Kamyka poczęstowali przyjacielskim pacnięciem w plecy.

Kilkadziesiąt metrów dalej natrafili na wielką, stalową grodz, blokującą tunel. Prostokątny otwór wejściowy z poszarpanymi krawędziami powstał prawdopodobnie przy pomocy palnika.

– Nie umiałem jej otworzyć – wyjaśnił Misza. – Najwyraźniej potrzebne byłoby zasilanie. Wyszczepienie tego ustrojstwa też byłoby nieco ryzykowne. Gdyby to się zważyło, cała nasza praca poszłaby na marne. Teraz patrzcie pod nogi. Pełno tutaj przewodów, wiązek elektrycznych i innego badziewia. Nawet nie wiem do czego to wszystko służy. Anka rozpracowuje schematy, nawet nieźle jej idzie. Niestety nasz przenośny generator daje za mało prądu, by oświetlić całą halę. Jest zbyt duża. Trochę ją zbadaliśmy za pomocą latarek, ale potrzebujemy zewnętrznego źródła prądu. Według planów, znajduje się ono w podziemnym kompleksie pod jednostką wojskową.

– No i lipa – mruknął Kamyk, wchodząc przez wypaloną dziurę.

Terkot znajdującego się za grodzią generatora, zwielokrotniony

akustyką pomieszczenia tylko potwierdzał przypuszczenia, co do wielkości hali czy może hangaru. Tutaj również umieszczono lampki, wskazujące kierunek poruszania się.

– Idziemy tam. – Misza wskazał metalową klatkę schodową, której stopnie ginęły w ciemności nad ich głowami. – Jest dość stromo, więc trzeba uważać. Osobiście nie chciałbym spaść z samej góry.

Łomot butów na stalowych stopniach przypomniał Kamykowi podobne schody w Strażnicy po Białoruskiej stronie Bufora. Kiedy osiągnęli poziom galerii rozchodzącej się w dwóch kierunkach, poświecił latarką w przestrzeń za barierką, ale snop światła wyłowił tylko wirujący kurz.

– Tędy. – Umorusany najemnik prowadził ich ku pancernym drzwiczkom, również otwartym za pomocą palnika.

Pomieszczenie pełne konsol z zegarami, wskaźnikami, pokrętkami i mrowiem przycisków, oświetlała dużej mocy przenośna lampa, której blask odbijał się w przeszklonej ścianie sterówki. Na podłodze walały się wydruki z ciągami liczb i skomplikowane schematy, będące istną płataniną linii i opisujących je symboli. Kamyk schylił się by podnieść jedną z kartek, ale znajomy głos natychmiast przywołał go do porządku, a snop z latarki zatańczył na jego twarzy.

– Niczego nie dotykać! – kobieta w zbyt dużym mundurze wynurzyła się spod obudowy jednej z konsol. – Wszystko ma zostać tak jak jest. Ach... To ty?

– Ja. – Przemysłownik z głupią miną gapił się na swoją ostatnią klientkę, którą razem z córką przerzucał nie tak dawno za Bufor.

– Co on tu robi? – spojrzała na Sonię.

– Może nam się przydać. Wiem co robię.

– Mam nadzieję.

– Nie musisz mi dziękować – skrzywił się Kamyk. – Nie ma za co.

– Jasne – prychnęła Anna.

– A gdzie mała Zu? – Rozejrzył się z zainteresowaniem. – Chyba nie zostawiłaś jej samej w chutorze na Białorusi...

– Skończcie te zabawy – wszedł mu w słowo Misza. – Mamy ważniejsze sprawy. Swoje kłótnie odłóżcie na później.

– Jeśli będzie jakieś „później” – powiedział pod nosem Kamyk.

– Że co? – zapytał Misza groźnie.

– Nie, nic. – Przemysłownik postanowił odpuścić.

– Dobrze – skwitował najemnik. – W takim razie kontynuujemy.

– Jak postęp prac? – Sonia podeszła do szklanej ściany, za którą widać było tylko ciemność.

– To cholernie skomplikowane – westchnęła Anna. – Tutaj przydałby się jakiś inżynier... Trzeba by doprowadzić zasilanie, by ta maszyna zaczęła pracować. Sprawdzić obwód po obwodzie. Nie da się zrobić teoretycznego rozruchu.

– A gdyby podłączyć większy generator? Przywieziemy z Białorusi, będziemy mieć zapas paliwa...

– To może nie wystarczyć. Przypominam, że pierwotnie to prądnicą z pobliskiej jednostki wojskowej miała dostarczać energię elektryczną do tego obiektu. Oczywiście w wypadku odcięcia państwowych linii.

– No, a ten tunel, o którym mówiliśmy?

Anna rozpostarła poźółtkły plan, spoglądała na niego chwilę i stuknęła palcem w jedną z linii.

– To kanał techniczny. Biegnie nim cała instalacja z podziemnego kompleksu wprost do tej hali. Zaczęliśmy go eksplorować na samym początku. Niestety, mniej więcej w połowie długości odkryliśmy zawał. Według schematu powinniśmy się nim dostać do węzła, rozdzielczego już w obrębie schronów. Zaczęliśmy się przez niego przebijać, ale idzie powoli. Bardzo powoli.

– Musimy usuwać urobek, robić szalunki – wyjaśnił Misza. – Żmudna i długotrwała robota. Jednostka jest w odległości jakichś trzech kilometrów w linii prostej. Został nam kilometr kopania. Nie wiadomo też, czego możemy się spodziewać w samej podziemnej bazie.

– Już widzę, jak witają tam was z otwartymi ramionami – parsknął Kamyk. – Uzbrojone podjazdy też kończyły nieciekawie. Ilu ludzi straciliście?

– Zamiast krytykować – hardo spojrzała na niego Anna – mógłbyś coś doradzić.

– Na początek – podszedł do szyby i osłoniwszy oczy rękami próbował dostrzec cokolwiek w ciemności – moglibyście mi wyjaśnić, co tu właściwie macie.

Nagle zabłysł reflektor zamontowany gdzieś na zewnętrznej ścianie, powyżej szyby. Snop światła wyłowił z mroku matowy korpus oznaczony literami CCCP. Tępo zakończony nos rakiety połyskiwał złowieszczo, nawet teraz – po latach – wywołując dreszcz na plecach

ludzi zgromadzonych w sterówce.

– O kurwa – skomentował znalezisko Kamyk.

– Rakieta balistyczna średniego zasięgu, produkcji sowieckiej – oznajmił Misza. – Na to właśnie patrzysz.

– Czy to... jest sprawne?

– Chyba tak.

– Chyba? Gdyby to pierdyknęło jeszcze w silosie... Wiecie co? Ja stąd wychodzę – odwrócił się na pięcie, chcąc opuścić sterownię.

Zatrzymał się, słysząc szczęk broni.

– Raczej nigdzie nie pójdziesz – stwierdził Misza. – Sonia, kogo ty ze sobą przyprowadziłaś?

– Myślałam, że przyjaciela. Porozmawiam z nim.

– No nie wiem...

– Misza...

– No dobra – odpowiedział Misza po chwili namysłu. – Zabierz go do jednego z pomieszczeń obok. I nie pozwól uciec. Może nam narobić kłopotów.

– No chodź – pociągnęła Kamyka za ramię.

Na galerii zaświeciła latarką wprost w jego oczy.

– Co ty robisz?

– Ja? Raczej, co wy robicie?

– Chodź, wejdźmy tutaj. Porozmawiajmy na spokojnie.

– Co wy planujecie? – zapytał, kiedy znaleźli się w niewielkim pokoiku zastawionym urządzeniami przypominającymi magnetofony szpulowe. – To jest wasza cudowna broń? Wycelujecie ją w Moskwę? Czy w co?

– Nie rozumiesz...

– Nie muszę. Wiem tylko, że jeśli ktokolwiek naciśnie czerwony guzik... W imię jakichś tam interesów... Kurwa, chcecie wywołać kolejną wojnę? Tym razem światową?

– Jeśli będzie trzeba...

– Zdajesz sobie sprawę, że tym razem może nastąpić prawdziwy koniec? Koniec wszystkiego?

– Przeżyliśmy jeden Armagedon, przeżyjemy kolejny.

– Raczej wątpię czy ktokolwiek przetrwa. Nie tym razem. Arsenały nadal są pełne broni jądrowej. Jedną bombką nie będziecie w stanie trzymać w szachu kogokolwiek. Ostatnim razem skończyło się na kilku

rakietach, bo jakiś debil za szybko zesrał się ze strachu. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy, żeby wypuścić atomówkę. Teraz Wielki Rusek może się zdenerwować. Chcecie ratować swój kraj kosztem naszego?

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zależało ci na własnym państwie, czy raczej na tym, co z niego zostało.

– Zależy mi na ludziach. Dlaczego w ogóle przyciągnęłaś tutaj tę kobietę? Ankę?

– Mówiłam ci już. Okazało się, że ona pochodzi z tych stron. Pamiętała opowieści o tych obiektach. No i jest kumata, jeśli chodzi o schematy elektryczne i różne takie. Sporo pomogła Miszy. Znaczący Michałowi. On zna się na broni, rakietach, czołgach.

– Widzę, że wasza bojówka ma w swoich szeregach doborowe towarzystwo z całego świata. Brakuje jeszcze dziada z babą. Ale nie dacie rady. A ja wam nie pomogę. Będziesz musiała mnie tutaj zamknąć, bo przysięgam, że zrobię wszystko, by pokrzyżować wasze plany.

– Skoro tak... – Sonia wyciągnęła makarowa i szybko cofnęła się za drzwi. – Przemyślisz to. Wrócę tutaj za jakiś czas razem z Miską i dasz nam odpowiedź. Za dużo nas to wszystko kosztowało, żebyś teraz wszystko popsuł. Miłych snów.

Kiedy zatrzasnęła drzwi, znalazł się w kompletnej ciemności. Usłyszał szczęk rygla i natychmiast zaczął przeszukiwać kieszenie. Wiedział, że miał gdzieś schowaną zapalniczkę. Uśmiechnął się do siebie, gdy namacał zimny przedmiot. Potarł kółko i pomieszczenie rozjaśnił tańczący i rzucający cienie płomień ze starej benzynówki. Znalazł przełącznik lampki stojącej na biurku i przekręcił go. Tak jak podejrzewał, radiowęzeł też miał zasilanie z generatora. Odetchnął z ulgą, gdy mała żarówka zamrugnęła. Spaliła się chwilę później, ale on odnalazł pokrętło radiostacji i gruszkę z mikrofonem. Miał tylko nadzieję, że po drugiej stronie ktoś odbierze jego wiadomość.

Chwilę później betonowe ściany zadrżały.

Rozdział 10

Happy end?

Dzikus przestał czuć cokolwiek, kiedy po raz pierwszy zabił człowieka. Któryś z kompanów Kostucha powiedział mu, że z każdym odebranim istnieniem mordowanie przychodzi coraz łatwiej. Dzikus po prostu pociągnął za spust, nawet nie patrząc na swoją pierwszą ofiarę – krwawiącą resztkę mężczyzny, taplającego się we własnych flakach, którego zasnute mgłą oczy nawet nie widziały swego kata. Umierający nie usłyszał nawet charakterystycznego „ka-czing”, przeładowywanego pistoletu ani pyknięcia pocisku, przechodzącego przez chałupniczo wykonany tłumik. Resztką świadomości uleciała razem z mózgiem, wylewającym się z przestrzelonej głowy. A Dzikus zamiast pochwały otrzymał karę. Niespodziewane uderzenie otwartą dłonią spadło na jego czoło.

– Karna blacha za głupotę, młody – syknął wtedy Kostuch. – Zmarnowałeś nabój na to ścierwo.

– On jeszcze żył – odpowiedział, próbując przegonić gwiazdy, krążące mu pod powiekami. – Miałem mu poderznąć gardło? To byłoby bardziej ludzkie?

– Zaczynasz główkować młody – kiwnął łysą głową chudzielec i przyklęknął obok jęczącej dziewczyny. Z jej nosa i ust wypływała krew wymieszana z bąbelkami powietrza. – Z tym, że ludzkie odruchy nie mają tutaj nic do rzeczy. Jest tylko zwykła chłodna kalkulacja. Ta tutaj dostała odłamkiem w płuca. Beznadziejny przypadek.

– Co masz zamiar...?

– To, co zrobię, nie będzie – jak to powiedziałeś – ludzkie. Ale będzie roztropne – wyjaśnił Kostuch.

Wyciągnął długi nóż i oparł jego czubek tuż pod brodą rannej, po czym nacisnął rękojeść. Dzikus odwrócił wzrok i kaszlnął.

– Zapamiętaj młody – chudzielec wytarł klingę o ubranie wstrząsanej śmiertelnymi drgawkami dziewczyny i wstał – twoje szanse na przeżycie tutaj zmniejszają się wprost proporcjonalnie do ilości zmarnowanej amunicji. A teraz do roboty, moi panowie. Spuścić psy. Znaleźć i dobić rannych, przeszukać ścierwa, zebrać fanty. Nie mamy całego dnia na zabawę. A raczej całej nocy. Jazda.

Puste – zdawałoby się – zakamarki płonącego osiedla nagle ożyły. Szare postaci oderwały się od skrytych w mroku załomów i stert gruzu, warczące i toczące pianę widma przemknęły przez rozświetlone pożarami uliczki, wściekle węsząc w poszukiwaniu pożywienia. Dzikus wiedział, że te bestie za chwilę znajdą kogoś żywego, zaczną szarpać ciepłe ciało dopóki Hieny nie odciągną ich od swej zdobyczy. Nie wiedział, że niebawem sam będzie musiał przełknąć kawałek bijącego jeszcze serca nieszczęsnego mieszkańca, jednego z tych, którzy przegrali walkę o swój dom, swoją dzielnicę. Nie była to wojna Dzikusa ani tym bardziej Kostucha i jego Hien. Oni tylko korzystali na bratobójczej walce o tereny, o osiedla, bloki, o każdy metr wolnej przestrzeni. Ktoś zaproponował chudzielcowi, by przyłączył się do ludzi skupionych wokół niejakiego Maksymiliana. Samozwańczy prorok nowych czasów pojawił się znikąd i gładkimi słówkami oraz obietnicami świetlanej przyszłości zjednoczył dzikie bandy, grasujące wśród niszczonego miasta, będącego kiedyś stolicą Podlasia. Kostuch zbył delikwenta wzruszeniem ramion.

– Nie interesuje mnie dzielenie się czymkolwiek. Słuchanie czyichś rozkazów też jakoś nie leży w mojej naturze – powiedział wtedy.

Ale pomysłodawca zaczął podburzać Hieny, opowiadać im o lepszym życiu, własnych klitkach i własnej kobiecie do wyłącznego użytku. Ostatni argument nawet zyskał poklask wśród tej zbieraniny morderców i rabusiów, a ich przywódca musiał pewnej nocy wbić swój długi nóż prosto w serce mąciwody. Kiedy go uciszył, przyciągnął jedną z wziętych żywcem dziewczyn, kazał położyć się na stygnącym trupie i brutalnie ją zgwałcił. Po nim wzięła ją każda Hiena, a na koniec oddano ją bojowym psom. Zwierzęta zdążyły się już nażreć ludzkiego

mięsa, więc tylko trącały zakrwawioną ofiarę nosami i odchodziły znudzone. Ostatecznie Kostuch zadusił ją gołymi rękami, napawając się chwilą jej śmierci. To właśnie wtedy Dzikus postanowił uciec, wiedząc, że zimnooka bestia nigdy mu tego nie daruje. Na szczęście Kostuch już zdechł... A może to była bujda na resorach? Może on naprawdę żył wiecznie?

Dzikus otworzył gwałtownie oczy, gdy znajome „ka-czing” rozległo się tuż koło jego ucha. Poczul gwałtowny dreszcz i rozejrzał się przestraszony, ciągle mając przed oczami widma przeszłości. Dostrzegł tylko dziewczynę w dziwnym, różowym kostiumie i skórzanym płaszczu Kostucha narzuconym na ramiona.

– Co jest? – zapytała Bibi, bawiąc się pistoletem.

– Nic, nic – westchnął, rozpoznając wnętrze swojej dziupli, chaty schowanej wśród lasów. – Tylko się nie postrzel.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami, odkładając jednak broń.

– Gdzie... Gdzie ona jest?

– Lenka? Pojechała.

– Co? Kiedy?

– Jak spałeś – wzruszyła ramionami.

– Faktycznie. Spałem dość mocno.

– I długo. To jakieś lecznicze mazidła i zioła? – Wskazała szklane pojemniki stojące na koślawym regale za jej plecami. – Czy coś do jedzenia?

– Mazidła – mruknął. – Szkoda, że nie działają na koszmary. Dokąd ona pojechała?

– Coś taki ciekawy? – Dziewczyna spojrzała na niego z uwagą. – Pojechała załatwić swoje sprawy. Tak powiedziała. Aha, zabrała ci coś.

– Co?

– Nożyk. Miałeś schowany w ubraniu taki malutki nożyk. Dziwne, że tamci go nie znaleźli.

– Właśnie takie było jego przeznaczenie. Pozostać nieodnalezionym w razie czego...

– No... Więc ona odda ci tę zabawkę przy najbliższej okazji. Tak powiedziała.

– Jeśli ta okazja kiedykolwiek się nadarzy. Zgaduję, że Lena postanowiła komuś zapłacić pięknym za nadobne.

– Kurde, ale z ciebie filozof. – Pokręciła głową Bibi. – Ciągle tylko

Lena i Lena. Masz tu coś do jedzenia? Bo zaraz umrę z głodu.

– Taaa... – wymruczał Dzikus. – Jest suszone mięso. Nie pytaj z czego. Smakuje nieźle.

– Jak podeszwa?

– Nie pasuje, nie jedz. A tak przy okazji... Nie chcesz przebrać się w coś... stosowniejszego? Te różowe fatałaszk i za duży płaszcz... Hmm... Sama wiesz. Nie pasują do wystroju wnętrza.

Dziewczyna rozejrzała się po surowo urządzonej chacie, wyposażonej jedynie w niezbędne narzędzia i meble własnej roboty.

– No – kiwnęła głową. – Trochę tu ponuro. Chcesz, to posprzątam. Widziałam tutaj trochę rupieci, które trzeba by wyrzucić...

– Niczego nie dotykaj – wycedził. – Niczego nie wyrzucaj.

– Tak, trzeba tutaj kobiecej ręki. Dałabym kilka różowych dodatków... – zachichotała.

Zignorował jej pomysł i zamknął oczy. Zdążył się już przyzwyczać do specyficznego poczucia humoru dziewczyny, która nawet zaczynała mu się podobać. Nagle jej głos zaczął się oddalać. Odpływać. Za to Dzikus coraz wyraźniej czuł pulsowanie złamanych kończyn. Szpryca zaaplikowana przez ludzi Kostucha wyparowała dawno temu. Pamiętał, jak Lena zaczęła mu nastawiać rękę i nogę, następnie usztywniła je za pomocą fragmentów rozbitego wcześniej, koślawego krzesła i kawałka sznura. Nawet nie stracił wtedy przytomności, mimo wszystko dziękując rzezimieszkom Kostucha za zbawienny zastrzyk. Chwilę później zapadł w twardy sen. Jednak zdawał sobie sprawę, że niezbędna jest pomoc szeptuchy.

Stara Zinaida, która szczęśliwym zrzędzeniem losu przeżyła wszystkie te lata w swojej ziemiance na odludziu, potrafiła zdziałać cuda za pomocą leczniczych naparów. Nauczył się od niej kilku receptur, kilku sztuczek. Nie wszystkie działały tak jak powinny, bo Zinaida podczas ich przygotowywania mruzczała swoje zaklęcia. Dzikus nie znał tych modlitw wypowiedzianych w dziwnym języku, kopiował więc skład mikstur, ciesząc się, jeśli przynosiły jakikolwiek efekt. Wiedział, że tym razem nieudolnie przygotowane maści i napary to za mało. Sam nie będzie w stanie dojść do schronienia starej szeptuchy ani nawet się doczołgać. Jeśli poprosi o pomoc tę różową dziewczynę...

Otworzył oczy, wciąż kalkulując i rozważając swoją sytuację.

– Hej – mruknął, nie odwracając się.

– No?

– Będziesz musiała... sprowadzić do mnie kogoś. Potrzebuję czegoś w rodzaju leku.

– A te zasuszone liście nie wystarczą?

– Obawiam się, że nie. To niedaleko stąd, wyjaśnię ci jak...

– Zaraz, chwileczkę. – Chwyciła go za ramię i odwróciła, nie zważając na okrzyk bólu. – Że niby miałabym sama iść do lasu?

– Obawiam się, że nie masz innego wyjścia. Ja nie mam innego wyjścia.

– A te wszystkie mutanty, o których tyle się słyszało?

– Widziałaś kiedyś jakiegoś?

– No...

– Ja na nie poluję. W każdym razie polowałem – chrząknął. – I powiem ci jedno – niezwykle trudno wytropić którąkolwiek z bestii. Wiesz dlaczego? Bo one wymierają. Środowisko, w którym narodziły się te wybryki natury, już nie istnieje. Nawet w południe możemy poruszać się w pełnym słońcu, co jeszcze kilka lat temu było nie do pomyślenia. Niedobitki mutantów wychodzą na żer jedynie w nocy. Ty pójdziesz w dzień. Zaraz.

– Przecież leje...

– Dlatego pójdziesz właśnie teraz. Żaden mutant nie wyjdzie ze swojego legowiska w deszcz. Tak już jest i nie pytaj dlaczego, bo nie wiem.

– Ale biorę broń. – Podniosła pistolet Kostucha.

– Dom szeptuchy znajdziesz bardzo łatwo, musisz tylko pamiętać...

– Kogo?

– Szeptucha – wyjaśnił – to taka znachorka...

– Ale my już byliśmy u tej szeptuchy. Brzydka jak noc i nieprzyjemna. Mieszka w takiej jamie w...

– Co ty opowiadasz?! Kiedy?!

– Kilka dni temu. Jak tylko przyjechaliśmy do tej chałupy, kazałeś się wieźć po bezdrożach... No i zawiozłyśmy cię. Ja i Lenka. Nie pamiętasz?

Zrozumiał, że gorączka trwała dłużej niż myślał. Że nawiedzające go sny, w których rozmawiał z różową dziewczyną niekoniecznie były tylko snami. Zaczął sobie przypominać urywki zdań, fragmenty rozmów...

– Słuchaj... Pewnie gadałem głupoty... Wiesz, w malignie.
– Nie takie znów głupoty. Nawet chciałeś, żebym została twoją żoną.
– Ż... Żoną?
– No. Aleśmy się wtedy śmiały z Lenką. To może jednak tutaj posprzątam – zmieniła temat.

Dzikus jęknął, odwracając się tyłem do dziewczyny. Starał się nie słuchać jej krzątania i uwag odnośnie do wyposażenia chaty.

„Masz babo placek” – pomyślał i zamknął oczy.

* * *

Lena nawet nie zwolniła, przecinając drogę numer dziewiętnaście. Holownik wyskoczył z zarośniętej dróżki, którą pędziła na złamanie karku poprzedniej nocy, i zniknął po drugiej stronie szosy. Celowo wybrała mało uczęszczaną boczną drogę, by uniknąć ewentualnego spotkania z kolegami Tatki i Szeryfa. Podejrzewała, że Stację już zaczęli grabić miejscowi, o ile nie robili tego sami pseudopolicjanci. Wolała jednak dmuchać na zimne. Z zadowoleniem stwierdziła, że nawierzchnia drogi jest w niezłym stanie i docisnęła pedał gazu. Od rana padał deszcz, który z każdą chwilą zdawał się przybierać na sile, ale szerokie opony zapewniały dobrą przyczepność nawet na mokrej nawierzchni. Czarny potwór z rykiem połykał kilometry, a ona zastanawiała się, jak rozegrać pewne sceny, które pojawiały się w jej głowie. Wcale nie miała pewności, czy chce zobaczyć ojca, czy chce się na nim mścić. Dla niego wystarczającą karą były pewnie lata spędzone na poszukiwaniu córki... O ile rzeczywiście chciał ją odnaleźć. Znała go. Wiedziała, że jest przebiegłym sukinsynem. Świetnym mówcą, porywającym tłumy. Doskonałym przywódcą, a ojcem na końcu. Zrealizowanie ideałów było dla niego wszystkim. Córka – jak się okazało – jedynie środkiem do osiągnięcia celu.

Poprzedniego dnia poprzysięgła sobie, że go zabije. Kiedy słońce wzeszło ponownie, już nie była tak zdeterminowana. Sama nie wiedziała, czego chce. Miała mętlik w głowie. Pewnie powinna zostać przez kilka dni w kryjówce Dzikusa. Nabrać sił, zregenerować organizm, odpocząć. Dopilnować, czy z samym tropicielem nie dzieje się nic złego. Zamiast tego ruszyła w drogę. Jak za dawnych lat. I jak

za dawnych lat nie mogło się obyć bez niespodzianek. Pierwsze ukłucie niepokoju poczuła, kiedy dostrzegła w lusterku wstecznym zbliżający się punkt. Holownik nie był demonem prędkości i nadjeżdżający pojazd wyprzedził ją bez trudu. Liczyła, że jest to przypadkowe spotkanie z innym uczestnikiem drogi. Myliła się.

Kierowca samochodu, wyglądającego jak klatka pospawana z rur doczepiona do silnika pozbawionego tłumika, gwałtownie zjechał na jej pas, po czym wcisnął hamulec. Lena zdążyła tylko zakręcić kołem kierownicy, by nie uderzyć w tył dziwnego auta. Głupi odruch, bo co niby miałoby się stać z potężnym holownikiem. Jego kratownica zmiotłaby pirata drogowego z szosy bez żadnego problemu. Najwyraźniej na taką właśnie reakcję liczył kierowca zajeżdżający dziewczynie drogę. Przednie koła holownika natychmiast wbiły się w rozmywany deszczem piach pobocza, tyłem zarzuciło i ciężki pojazd przewrócił się na lewy bok, zsuwając się do rowu i skutecznie uniemożliwiając opuszczenie szoferki. Lena splunęła, czując w ustach krew z rozciętej wargi i niewiele myśląc, wykopała przednią szybę pokrytą siateczką pęknięć, po czym wyczołgała się na zewnątrz. Pomyślała, że powinna była poszukać obrzyna, który teraz prawdopodobnie leżał gdzieś pod siedzeniem lub w innym, równie trudno dostępnym miejscu. Nie zdążyła wślizgnąć się z powrotem do szoferki. Napastnik już był za nią. Kopnął dziewczynę w żebra, chwycił za włosy i pociągnął w kierunku swojego wehikułu. Wierzgnęła, próbując podciąć mu nogi, ale jego drugi kopniak odebrał jej jakąkolwiek ochotę do obrony. Zdołała jednak usłyszeć kolejne auto, tym razem złożone z przypadkowych części karoserii, którego kierowca na pierwszy rzut oka wyglądał na zawodowego bandytę. Mężczyzna podjechał bardzo blisko i wystawił paskudną gębę przez zakratowany otwór w drzwiach.

– Niezła dziwka! – usiłował przekrzyczeć jazgot silnika, pracującego na wolnych obrotach kratowozu.

– A jak! – odpowiedział kopiący Lenę pirat drogowy.

– Szef będzie zadowolony. Pomóc ci?

– Pojebało cię? Nie mam zamiaru się nią dzielić.

– Jak tam se, kurwa, chcesz. Jak odgryzie ci jaja...

– To tylko mała, paskudna dziwka – kopnął Lenę jeszcze raz. – Poradzę sobie!

– To chuj ci w... – Ryk silnika zagłuszył jego ostatnie słowa.

Auto ruszyło z piskiem opon, niemal potracając pierwszego bandytę, który, klnąc na czym świat stoi, wepchnął dziewczynę do tylnej części swojego pojazdu. Zatrzasnął drzwi wykonane z pospawanych rurek i zabezpieczył je dodatkowo wielką, przerdzewiałą kłódką. Przedział pasażerski okazał się odrębną klatką służącą do przewozu uprowadzanych ludzi. Lena już wiedziała, na kogo miała nieszczęście trafić. Zauważyła, że poprzeczki klatki umieszczono niezbyt gęsto i przy odrobinie szczęścia zdołałaby włożyć między nie ramię i dźgnąć bandytę w szyję zabawką pożyczoną od Dzikusa. Auto na pewno wylądowałoby w rowie, ale lepsze to niż zostać sprzedaną przez handlarzy żywym towarem. Może udałoby się jej rozbić nie najsolidniej wyglądającą kłódkę. Namacała nożyk schowany w wewnętrznej stronie pasa, zacisnęła na nim palce. Jednak zdała sobie sprawę, że kierowca pędzącego przed nimi wehikułu na pewno dostrzeże brak kompana i zawróci w poszukiwaniu zguby. Nie wyglądał na bardziej cywilizowanego niż jej porywacz. Postanowiła zaczekać.

Bandyta zajął swoje miejsce w pojedynczym fotelu przykręconym na środku ramy i wrzucił bieg. Ruszył gwałtownie, przypalając sprzęgło. Pędzili drogą prowadzącą do Białego Miasta, ale Lena wątpiła, czy porywacze kierują się właśnie tam. Kilka kilometrów dalej jadące przed nimi auto skręciło w podrzędną drogę. Porywacz podążył w tym samym kierunku. Na końcu gruntowej drogi, spowita dziwnym oparem majaczyła ni to góra, ni wzniesienie. Wysypisko śmieci. Zrozumiała, że porywacze pewnie tam mają swoją bazę. Tymczasem bandzior zakręcił kierownicą jednocześnie dodając gazu. Kratowozem zarzuciło, zwieszenie zatrzeszczało, ale pojazd poradził sobie z tym nagłym manewrem. Kierowca pędził na złamanie karku, nie zwalniając wpadł przez bramę, niemal przejechał kilku mieszkańców wysypiska i z całej siły wdepnął pedał hamulca tuż przed wielką hałdą śmieci. Obok zaparkowano kilka innych, równie cudacznie wyglądających pojazdów. Nie interesując się więźniem, zeskoczył z fotela i pomaszerował w kierunku blaszanej hali przekształconej na skupisko prymitywnych kwater. Po chwili zniknął w gąszczu ścianek z dykty, koców i szmat pełniących rolę parawanów.

Lena została sama. Wyciągnęła rękę i spróbowała pociągnąć za kłódkę. Bez rezultatu. Kawał metalu nawet nie drgnął. Zrozumiała już,

dlatego porywacz nie obawiał się jej ucieczki. Podejrzewała, że śledzą ją oczy niewidocznych wartowników, więc dała sobie spokój z szarpaniem drzwi. Wehikuł był pobawiony dachu. Strugi deszczu lały się na jej głowę przez kraty i nagle zrobiło się jej zimno. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami, jednocześnie przyglądając się olbrzymiej, wyschniętej hałdzie odpadów.

Po raz pierwszy usłyszała o tym miejscu dawno temu – jeszcze za czasów Squatu Centrum. Żyjący na wysypisku śmieciarze byli upośledzonymi wygnańcami, których traktowano jak wybryki natury, mutanty, choć nimi nie byli. Wszyscy trzymali się z dala od tego miejsca, bali się zdeformowanych ludzi, niejednokrotnie będących ofiarami zwykłych sąsiedzkich porachunków lub bijatyk o kolejne bloki czy osiedla. Człowiek pozbawiony ręki lub nogi stawał się niepotrzebnym ciężarem dla wspólnoty, chociaż zdarzały się wyjątki. Kalecy mieszkańcy sami odchodzili, bądź ich wyrzucano. Ci, którzy zdołali przebrnąć przez ruiny miasta, osiedlali się właśnie na tym wysypisku. Nigdy nie zastanawiała się, jak wygląda ich życie, aż do tej chwili.

Obecność bandytów w tym miejscu trochę ją zaskoczyła i podejrzewała, że wykurzyli stąd śmieciarzy. Naraz dostrzegła jednego z nich. Postać ubrana w łachmany i uzbrojona w długi kij grzebała w morzu śmieci, schylając się co chwila i oglądając znalezisko. Jakby czując na sobie wzrok Leny, łachmaniarz odwrócił głowę schowaną pod kapturem i dostrzegłszy dziewczynę ruszył w jej kierunku, ostrożnie kuśtykając po stromym zboczu hałdy. Najwyraźniej miał problemy z chodzeniem, bo opierał się na kiju i poruszał z wysiłkiem. Kiedy znalazł się całkiem blisko okratowanego wehikułu, zatrzymał się i przysiadł. Z widoczną ulgą wyprostował jedną nogę, spod łachmanów wyciągnął skręta i podpalił go, chowając w dłoni przed deszczem. Poczula znajomy zapach narkotyku. Taką woń miały palce Dzikusa. Taką woń pamiętała z czasów Wojenki. Śmieciarz wpatrywał się w nią długo. Nie widziała jego twarzy skrytej pod kapturem, ale wiedziała, że ją obserwuje. Po kilku minutach znużyła ją obecność kuternogi.

– Co się gapisz – mruknęła. – Zjeżdżaj stąd.

Usłyszała chichot, ale łachmaniarz nie ruszył się. Dopalił spokojnie fajkę, resztkę zielska z peta pieczolowicie schował gdzieś pod ubraniem.

- Dopadli i ciebie, dziewczynko – zacharczał.
- Wypad.
- Bo co? Pogonisz mnie?
- Oni cię pogonią.
- Pozwalają nam zjadać resztki. W zamian przynosimy im różne takie części znalezione tutaj. W hałdzie. Wiedzą, że jesteśmy nieszkodliwi, a nawet pożyteczni. Więc nie strasz mnie nimi, dziewczynko.
- Nie jestem dziewczynką – warknęła.
- Sprzedają cię właścicielowi Temidy. To lokal z dziewczynkami, więc jesteś dziewczynką. Wszystko jasne?
- Jasne. Temida powiadasz? Chodzi ci o tę spelunę niedaleko lotniska? Lotniska Krywlany?
- A znasz jakieś inne w okolicy – znów się zaśmiał. – W zasadzie masz szczęście, że tam trafisz. Kiedyś wywozili panienki do...
- Więc to ta sama speluna...
- Oho – powiedział cicho śmieciarz. – Na ciebie już czas.

Lena odwróciła się i dostrzegła swojego porywacza brnącego przez błoto, zataczającego się przy każdym kroku. Towarzyszyło mu dwóch innych mieszkańców blaszanego hangaru, równie paskudnych z wyglądu. I równie pijanych. Kiedy podeszli do auta, zaryzykowała rzut oka na śmieciarza, ale on już zniknął. A może po prostu zakopał się w stercie odpadków.

- To ta? – burknął jeden z przybyłych.
 - Kurwa, ta – odpowiedział ten, który zepchnął ją z drogi.
- Dopiero teraz Lena dostrzegła, że przez jego prawy policzek i brodę przebiega paskudna blizna.
- Niezła lufa – przyznał drugi.
 - Jedziemy? Czy będziecie ją oglądać do jutra?
 - Dobra już, dobra.

Dwaj mężczyźni wczepili się w kratownicę po obu stronach auta. Pozbawiony tłumika silnik ryknął i wehikuł potoczył się w kierunku bramy. Tym razem kierujący nim bandyta jechał powoli, majestatycznie pokonał dziurawą drogę dojazdową do wysypiska i dodał gazu dopiero na prostej prowadzącej do Białego Miasta. Przy rozgrabionej jednostce wojskowej skręcił w dawną ulicę Ciołkowskiego i minąwszy zdewastowany stadion odbił w wąską ścieżkę, prowadzącą ku znajdującemu się tutaj kiedyś aeroklubowi. Lena doszła do

wniosku, że bandyta postanowił sobie skrócić drogę i dostać się do Temidy, przecinając pas lotniska. Myliła się. Auto wjechało do hangaru obok niszczonego budynku Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Dokoła straszły szkielety helikopterów i szkoleniowych jednopłatów. Tymczasem bandyci przetrząsnęli kieszenie i rozpoczęli targ.

- Ja mam zegarek.
- Kurwa – cmoknął porywacz – niezłe cacko. Działa.
- Eee, nie. Ale bransoleta...
- No. Błyszczący się jak psu jaja. Skąd go masz?
- Wykupił się nim jeden typ. Wiesz, założyliśmy minę na drodze. No i wjechał na nią taki czarny bus... Chłop jakimś cudem przeżył, chociaż pozostali się spalili. Znaleźliśmy go w rowie. Niezłe go osmaliło, ale poza tym wyszedł bez szwanku. Co się tak patrzysz?
- Wzięliście zegarek i puściliście go wolno? Nie poznaję was.
- Chłop miał broń.
- A, to co innego. A ty, co masz? Pokazuj. Co to za złom?
- Cztery świece do silnika. Mam też pasek klinowy.
- To za mało. Co wy se, kurwa, myślicie?
- Ale zegarek...
- Co, kurwa, zegarek. Nawet nie działa.
- Hej, jak pójdziemy do Temidy, to taniej dostaniemy dupę.
- Tamte dupy są wyeksploatowane. A ta tutaj świeżutka. Za pół darmo jej nie zerżniecie.
- Dodatkowo stawiamy kolejkę w barze. Mamy otwarty rachunek.
- Skoro tak... – wyszczerzył się porywacz i wysupłał klucz do kłódki.
- Po kolei panowie, nie przepychać się, nie uszkodzić towaru. Bo nogi z dupy powyrywam...

Lena wiedziała, że nie może czekać, aż któryś z bandytów wejdzie do klatki, blokując jej w ten sposób swobodę ruchu. Wyciągnęła nożyk i zacisnęła na nim palce. Oparła stopy o szczeble drzwi klatki, czekając, aż drzwiczki staną otworem, po czym wybiła się wpadając prosto na tego z blizną. Szybkim ruchem dźgnęła go ostrzem w ucho, upadła tuż obok wyjącego mężczyzny, przeturlała się, przy okazji wbijając nóż w łydkę kolejnego amatora kobiecych wdzięków. Zerwała się gotowa do walki, ale trzeci bandzior wziął nogi za pas i popędził przez cmentarzysko samolotów. Lena kopnęła w skroń trzymającego się za nogę, skamlącego niedoszłego gwałciciela, chwyciła go za głowę

i przegięła do tyłu. Coś chrupnęło, koleś zwiotczał. Tego z blizną nie musiała dobijać. Zabrała fanty – w tym zegarek, który wydał się jej dziwnie znajomy – i wskoczyła za kierownicę kratowozu. Uciekiniera dopadła w połowie długości pasa startowego. Kiedy usłyszał warkot ścigającego go wehikułu, zaczął biec naprawdę szybko. Zderzak trafił go prosto w plecy, podwozie pojazdu zmiażdżyło jego dalszą część do życia. Lena zatrzymała auto, wrzuciła wsteczny bieg i jeszcze raz przejechała bandytę. Ot tak, dla pewności.

Nie interesując się więcej zakrwawionym trupem, ruszyła w stronę głównego wyjazdu z lotniska. Mijając podziurawioną kulami tablicę „Airport Krywłany” doświadczyła *déjà vu*. Zbyt wiele jej emocji i uczuć wiązało się z tym miejscem. Odetchnęła głębiej i skręciła na ulicę Mickiewicza.

* * *

Przybytek rozrywek wszelakich, znany pod nazwą Temida, nie pachniał zbyt pięknie. Nawet najbliższa okolica cuchnęła moczem i ekskrementami. Lokal ulokowano na parterze niezłe zachowanego budynku sądu. Pozostałe pomieszczenia wykorzystywano w innych celach. Jakim cudem, sąsiadujący z lotniskiem Krywłany, obiekt przetrwał tyle lat, pozostawało tajemnicą. Być może Temida spoglądająca z fasady budowli onieśmiała grasujących tu niegdyś rzezimieszków, bandytów i Wolnych Ludzi. Nie przeszkodziło to jednak komuś w zorganizowaniu tancbudy, hurtowni używek i burdelu. Jeszcze przed czasami Maksymiliana i jego bojowników można tu było zaznać płatnej miłości na stole w pokojach sędziów czy asesorów. W szafach wisiały resztki ich tog. Lena nie zdziwiłaby się, gdyby pierwszym właścicielem Temidy okazał się właśnie były sędzia lub adwokat.

Zaparkowała kratowóz na odległym krańcu rozległego parkingu, otaczającego gigantyczny gmach. Wcisnęła się między przerdzewiałe gruchoty, pozbawione kół i różnych elementów nadwozia, łudząc się, że głośna praca silnika nie przeniknęła przez grube mury budynku. Spokojnie przeszła kilkadziesiąt metrów w strugach ulewnego deszczu. Wdrapała się po stromych schodach i pchnęła duże, chyba oryginalne,

bo nadal przeszklone, drzwi.

Barman siedział za długim, marmurowym kontuarem, złożonym z kilku przypadkowo dobranych płyt, wyrwanych zapewne w innych pomieszczeniach sądu. Pociągał mętny płyn z butelki i toczył nieprzytomnym wzrokiem po wnętrzu wypełnionym poźółkłymi, plastikowymi stolikami ogrodowymi i koślawymi krzesłami podobnego koloru. To był ten sam mężczyzna, który wiele lat temu obsługiwał Maksymiliana i jego ludzi. Postarzał się, wysechł na wiór, ale dalej nie rozstawał się z alkoholowym wspomagaczem. Lena pomyślała, że musiał mieć ze sto lat. Podobnie jak wiekowy magnetofon, odtwarzający nagrane na kasecie smętne melodie. Rolki napędzające nośnik trzeszczały co chwila i piszczały.

Barman obrzucił nowoprzybyłą niechętnym wzrokiem i z dezaprobatą spojrział w sufit, kiedy usiadła przy stoliku ulokowanym w kącie obok drzwi wejściowych. Wolałby, żeby sama pofatygowała się do baru. Nie chciał mu się ruszać.

Na drugim końcu sali Lena dostrzegła dwóch rozwalonych na plastikowych krzesłach koleś, zapewne ochroniarzy lokalu.

– Kurwa, wyjebali go w kosmos, rozumiesz? – Jeden z nich opowiadał coś głośno koledze.

– Taaa?

– Kurwa, Stacja będzie się paliła przez wiele dni. Ktoś miał jaja, żeby rozwalić Tatkę.

– Niezła afera. A co na to Szeryf?

– Kurwa, jego też zdjęli.

– No co ty?

– Odjebali go na drodze, tuż koło radiowozu. Słyszałem, że to jakaś nowa banda. Nowa siła przejmuje interesy.

– Pierdolenie – wtrącił trzeci głos, należący do zaszuszonego barmana, który właśnie zbliżył się do dyskutantów.

– Ciebie też mogą odwiedzić.

– Niech spróbują – potrząsnął pięścią i spojrział gdzieś w bok. – A ty tu czego?

Lena dopiero teraz dostrzegła skąpo ubraną, młodziutką dziewczynę, przemykającą między filarami dużej sali.

– Ta nowa źle się czuje – powiedziała nieśmiało, podchodząc do starca.

– No i co? – warknął barman. – Mam jej podać lekarstwo czy jak?

– Nie wiem...

– Zawsze możesz jej zrobić lewatywę.

Dwaj ochroniarze zarechotali, a dziewczyna zrobiła krok do tyłu. Lena wyłowiła wzrok zaszczutej nastolatki i spróbowała się uśmiechnąć. Nie wyszło jej.

– Podać coś? – przestraszył ją głos starca, który pojawił się nagle obok jej stolika.

– Może być woda.

– Że co?

– Woda.

– Chyba wóda?

Ochroniarze ponownie ryknęli śmiechem, a Lena skrzywiła się.

– Niech będzie. A tak przy okazji... Szukam kogoś.

Zasuszony barman wydał wargi. Przyglądał się jej dłuższą chwilę i machnął głową, wskazując ochroniarzy.

– Chcesz, żeby ci panowie się tobą zajęli?

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Przecież nie zrobiłam nic złego.

– Ale pewnie masz zamiar zrobić.

– To już moja sprawa.

– W tym miejscu – rozejrzał się po sali – nie załatwia się żadnych spraw. Pije się, dupcy, płaci i wychodzi. Jeśli ktoś ma problem z tym ostatnim, to zostaje wyniesiony na kopniakach. To wszystko. Nie udzielam informacji o klientach. Jeśli szukasz kłopotów, rób to na własną rękę.

– Człowiek, na którego mówią Mały. O niego mi chodzi. – Postanowiła zaryzykować. – Zapłacę, jeśli mi pomożesz.

– Zapłacisz, powiadasz. – Starzec potarł zarośnięty policzek. – Czym?

Rzuciła na stół zdobyczny zegarek. Mężczyzna pochylił się nad stołem i oglądał chronometr długo i podejrzliwie. Jego szczególną ciekawość wzbudziła bransoletka. Podniósł go w końcu, potrząsnął, przyłożył do ucha.

– Nie działa – zauważył. – Masz coś jeszcze?

– A to mało? Sama bransoletka...

– Mam takich złomów całą szufladę.

– Chwila, chwila. – Pogrzebała w kieszeniach i wyłuskała świece zapłonowe.

– Taki szajs mnie nie interesuje. Mam tego pełno na parkingu. Wystarczy pójść i wykręcić.

– W takim razie...

– Możesz też u mnie popracować – chrząknął. – Dogadamy się jakoś.

Patrzyła na niego przez chwilę, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. W końcu załapała.

– Co to, to nie – warknęła.

– Głupiaś. Mam wolny etat na zmywanie garów i jazdę na szczotce, jakby co. Za te fanty mogę ci dać... – myślał przez chwilę – trochę gorzały i coś na ząb. I, dla własnego dobra, zniknij stąd przed zmrokiem. Zjeżdża się tu sporo szemranego towarzystwa. Samotna, bezbronna dziewczyna w takim miejscu... Sama rozumiesz. Za moje panienki trzeba płacić. Ciebie mieliby za darmo. Przez długi czas...

– Mogą próbować – mruknęła. – To dostanę żarcie?

– Dostaniesz.

Zasuszony barman okręcił się na pięcie i zniknął gdzieś za marmurowym kontuarem. Pojawił się po chwili z butelką śmierdzącego płynu i plastikowym talerzykiem, pełnym czegoś przypominającego błoto.

– Co to jest?

– Domowy bigos z kiełbasą – odparł zdziwiony samym pytaniem.

– Nie widzę tu żadnej kiełbasy.

– Widać nie nabrała się na warząchew... – Uśmiechnął się nieszczercze. – Albo kucharka ją zżarła. To stare, podłe babsko. No, ale w końcu moja żona... Ech...

Mimo wszystko uśmiechnęła się i kiedy podniosła do ust łyżkę z paskudztwem stwierdziła, że breja jest całkiem smaczna.

– Nieźle – przyznała.

– Aha – pokiwał głową starzec, rzucił okiem na ochroniarzy i chrząknął. – Ten Mały zjawia się nieregularnie. Zwłaszcza ostatnio, po tym całym zamieszaniu...

– Nie rozumiem?

– Skąd ty się urwałaś? Wygnańcy zrobili jakąś burdę w Białym Mieście. Puścili z dymem akademiki, później powyrzynali się nawzajem, czy coś... Nie wiem zbyt dokładnie. Ten Mały przyjeżdża tu świętować z kumplami. Powinni być niebawem.

– Zaczekam.

– Czekaaj, jeśli chcesz. Ale nie tutaj. Nie chcę żadnych burd. To, wbrew pozorom, spokojny interes. I takim ma pozostać.

– W porządku. Zjem i znikam.

– On przyjeżdża takim dostawczakiem z żółtą plandeką. Nie sposób go przeoczyć. Odkąd wzniecił tę całą rewolucję... Ech, szkoda gadać. Zmienił się. To już nie jest ten sam człowiek co kiedyś.

– Dziękuję za radę.

– To nie rada, tylko ostrzeżenie.

– W porządku.

– Talerzyka nie wyrzucaj. Umyje się i wykorzysta następnym razem. Smacznego.

Lena pochłonęła bigos błyskawicznie. Był tak niewiarygodnie smaczny, że z trudem powstrzymała się od wylizania plastikowego naczynia. Pokonując wewnętrzny sprzeciw, łyknęła z butelki, skinęła głową w podziękowaniu i wstała. Świat zakołysał się, ale postawiła pierwszy krok i trzymała fason aż do przeszklonych drzwi. Trunek musiał mieć moc, bo parking pokonała szlaczkiem, wpadła do pierwszego zardzewiałego wraku i z ulgą położyła się na śmierzdzącej kanapie. Tutaj przynajmniej nie padało jej na głowę. Przez moment myślała, że starzec dosypał jej czegoś, ale kiedy alkohol zaczął grzać, zrozumiała, że to jedyne sposob na wyziębienie organizmu. Ponownie podniosła do ust butelkę i przełknęła kolejny łyk trunku. Teraz zrobiło się jej całkiem ciepło. Całkiem przytulnie...

Obudził ją warkot pojazdów. Poprzerabiane do granic możliwości auta krążyły po parkingu, paląc gumę na mokrej nawierzchni i kręcąc kółka. To z żółtą plandeką dostrzegła od razu. Stało zaparkowane całkiem blisko zbiorowiska wraków. Lena zaczekała, aż klienci Temidy znudzą się zabawą, odstawią swoje pojazdy i udadzą się w wiadomym celu wprost do dawnej ostoji prawa. Kiedy upewniła się, że ostatni maruder zamknął za sobą szklane drzwi, przemknęła przez parking i wślizgnęła się pod plandekę dostawczaka. Zakłęła, kładąc się na pace uwalanej białym pyłem i kawałkami gruzu, ale zagryzła zęby i czekała.

Mały pojawił się dopiero po zmroku. Pożegnał się wylewnie z jakimś kompanem, po czym z hałasem wgramolił do szoferki.

– Kurwy i stare raszple – wymamrotał, uruchamiając silnik. – Zajeżdżają człowieka.

Lena mocniej wcisnęła się w burtę paki, chwyciła jakiś wspornik

i miała nadzieję, że nie spadnie, bo Mały najwyraźniej miał ciężką nogę. Pruł przez dziurawe ulice, wciskając gaz do dechy. Chociaż zdawało się, że klekoczący silnik lada chwila wyda z siebie ostatnie tchnienie, nie zwalniał na zakrętach i wybojach. Kiedy w końcu wcisnął hamulec, Lena zorientowała się, że nie odjechali daleko od Temidy. Nie wyglądała przez plandekę, zresztą i tak była już noc. Usłyszała tylko, że Mały wysiadł z auta. Mocował się przez chwilę z jakąś bramą czy drzwiami, po czym wjechał do dużej i pustej hali, gdzie klekot dostawczaka powrócił zwielokrotniony przez echo.

Mały zatrzymał auto i zgasił silnik. Siedział przez chwilę w szoferce, paląc papierosa. W końcu wysiadł, beknął donośnie, po czym błyskawicznie odciągnął plandekę, chwycił Lenę za nogi z brutalnie ściągnął z paki. Spadła prosto na posadzkę. Przez dłuższą chwilę nie mogła złapać oddechu, pociemniało jej w oczach, ale całkiem wyraźnie słyszała jego śmiech.

– Co ty se, kurwa, myślałaś? – pochylił się na Leną i zacisnął wielką łapę na jej szyi. – Chłopaki od razu mi powiedzieli. Głupia dziwka. Myślałaś, że jesteś taka cwana? Jak tatuś?

– Puuu...

– Co tam mamroczesz?

– ...uuuść.

– Mam cię puścić, suko? – Oderwał dłoń i poczęstował ją kopniakiem w żebra. – Proszę bardzo.

Zwinęła się w kłębek, ochraniając przedramionami głowę, ale kolejne uderzenie nie padło.

– Popatrz no na to.

Ostrożnie rozchyliła ramiona i w ciemności dostrzegła snop światła z latarki, który najpierw ją oślepił, a następnie wyłowił z mroku czerwony, piętrowy autobus. Taki sam, w jakim urządził swoje centrum dowodzenia jej ojciec. A może to był właśnie ten autobus?

– Pamiętasz? Nie. Ty wolałaś się szlajać z tymi obdartusami, którzy uznawali siebie za wojowników lepszej sprawy.

– Ty też tam byłeś. Razem z nami.

– Gównu. – Splunął i pochylił się nad nią. – Gównu o mnie wiesz. Tak samo jak twój stary. Dla niego liczył się cel, nie ludzie. Ale ty wiesz o tym najlepiej. Przekonałaś się na własnej skórze, jak tatusiek załatwia interesy i dobija targu. Nadal boli?

– Pilnuj własnego nosa – warknęła.
– Cieszę się, że tutaj jesteś. Że sama wlałaś mi w ręce. Szukałem cię.

– Na jego polecenie?

– Sporo wiesz – wyprostował się – albo tak ci się tylko wydaje. Fakt, spełniałem prośby Maksymiliana. Nie rozkazy. Nie wiem, czy mi ufał, czy nie. To już nie istotne. Nie obchodzi mnie, czy uważał mnie za „swojego człowieka”. Werbowałem ludzi, by załatwiali sprawy człowieka, który ich kiedyś zdradził. To nie mogło się skończyć dobrze.

– Dlaczego mi o tym wszystkim mówisz?

– Bo to właśnie chciałaś usłyszeć, czyż nie? Nie po to zadałaś sobie trud, by mnie odnaleźć?

– Czego on chciał? Po tych wszystkich latach...

– Tego się już nie dowiesz. Moi ludzie i tak mieli się ciebie pozbyć. Takie było ich jedyne zadanie. Tatuś nigdy cię nie odzyska. W tej chwili powinien już gryźć piach.

Niespodziewany cios pięścią w skroń sprawił, że Lena ponownie upadła na betonową posadzkę. Natychmiast spróbowała się podnieść, podźwignąć na łokciach, ale Mały przydusił ją kolanami. Szarpnęła się. Znowu uderzył, tym razem w tył głowy. Kość policzkowa uderzyła w beton i natychmiastowy ból rozsadził niemal jej czaszkę. Zawyla jak zranione zwierzę, wypluwając krew z przygryzionego języka.

– Nie wierzgaj, mam tu coś... – sapał Mały, sięgając na pakę dostawczaka.

Wykręcił Lenie ręce i związał kawałkiem sznura. Po chwili na szyję założył drugi, grubszy i zacisnął. Sprawdził pętlę i zatarł ręce, cmokając z zadowolenia. Zaciągnął dziewczynę do piętrowego autobusu, drugi koniec liny przerzucił przez rurę, biegnącą pod sufitem i naprężył ją tak, że Lena tylko palcami stóp dotykała podłogi.

– Musisz chwilę poczekać. – Śmiał się, przywiązując linę. – Nie umieraj od razu. Bo sprawisz mi zawód.

Podciągnął sznur, a ona zaczęła się dusić. Zmysły pozostawione w ciemności zwariowały, nogi zadrzały, ugięły się. Zadzierzgnięta pętla pozbawiła Lenę oddechu, stopy rozjechały się. Nie myślała o niczym konkretnym, wiedziała tylko, że za chwilę sznur odetnie dopływ krwi do mózgu, że śmierć nadejdzie o wiele za szybko.

Nagle wnętrzem targnął huk wystrzału i sznur zwiotczał. Lena

upadła, boleśnie uderzając głową w metalową podłogę. Mimo to poczuła ogromną ulgę.

– Tak wiele lat... – wymamrotał jakiś głos, który na pewno nie był głosem Małego.

Gdzieś już wcześniej go słyszała. Nie potrafiła jednak odpowiedzieć sobie, kim jest jej wybawiciel. Jęknęła i obróciła głowę, próbując dojrzeć postać oświetloną snopem światła z leżącej na podłodze latarki. Ten ktoś stał w wejściu, z dymiącym, błyszczącym rewolwerem w dłoni.

– Kto... – wycharczała. – Ktoś ty?

– Ja?

Wszedł do autobusu i mimo że widziała go jak przez mgłę, natychmiast rozpoznała ten charakterystyczny sposób poruszania się, ruchy ramion...

– Tato?

Zadrżał, słysząc jej głos. Opuścił rewolwer, ale go nie schował. Stał nieruchomo z szeroko otwartymi oczami. Nadal szumiało mu w uszach, ból pulsował w głowie i mógłby przysiąc, że wszystko, co działo się wokół niego, było snem. Wciąż nie pamiętał momentu, kiedy konwojujący go bus wyleciał w powietrze. Gdy odzyskał świadomość, ze zdumieniem spostrzegł, że leży w rowie. Z dopalającego się szkieletu samochodu buchał śmierdzący dym, a pokryte resztkami ciała szkielety komandosów spoglądały na niego z wyrzutem pustymi oczodołami. Później przyjechali jacyś bandyci. Groził im bronią i oddał zegarek. Nie wierzył, że odpuszczą tak łatwo, ale oni odjechali.

– Tato? Skąd się tu wzięłeś?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Błąkał się bez celu wśród opuszczonych, niszczących domów i straszących sterczącymi ze ścian drutami ruin. Noc spędził w piwnicy jakiegoś na wpół zawalonego budynku, dygocząc ze strachu przed nadejściem jakiegoś mutanta. Ścisnął w dłoni rękojeść rewolweru, wiedząc, że wystrzał mógłby sprowadzić więcej tych stworzeń. Nie usłyszał nawet najmniejszego hałasu, szurania łań ubrojonych w pazury czy kłapania kłów jakiejś wygłodzonej bestii. Nad ranem spadł deszcz. Zasnął kilka chwil wcześniej, jednak woda przedostająca się przez strop przemoczyła go w końcu do suchej nitki. Obudził się wstrząsany dreszczami i próbował rozpaść ognisko. Na szczęście nie zgubił

zapalniczki. Znalazł panel podłogowy, który jednak nie zajął się ogniem. Chcąc nie chcąc, opuścił swoją kryjówkę i podjął dalszą wędrówkę. Wieczorem dotarł do wielkiej hali magazynowej. Kiedy wewnątrz znalazł swój piętrowy autobus, nie od razu pojął, że to się dzieje naprawdę. Początkowo przypuszczał, że ciągle jest w szoku po wypadku i świadomość płata mu figle.

– Tato, skąd się tu wzięłeś?

– Skąd... Lena? To niemożliwe...

– A jednak...

Dostrzegł krzepnącą krew na twarzy swojej córki i westchnął.

– Co tu się właściwie dzieje? Dlaczego Mały...? Musiałem go zastrzelić.

– Od początku chciał mnie zabić. Nie miał najmniejszego zamiaru mnie uratować. Jego ludzie... Twoi ludzie...

– Ale... Dlaczego? – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Chciał mnie zabić. To wszystko.

– To niemożliwe.

– A jednak. Wszyscy, którzy na twoje polecenie szukali mnie po pustkowiach, otrzymali od Małego dodatkowe zadanie. Wyprawić mnie na tamten świat. Prawie mu się udało.

– Nie wierzę – kręcił głową. – W jakim celu miałyby to robić?

– Tato – Lena wstała – on wziął szturmem Białe Miasto. Nadal tego nie rozumiesz? Nie masz już nikogo, komu mógłbyś zaufać. Białe Miasto już nie należy do ciebie.

– Teraz mam ciebie. Myślę, że moglibyśmy...

– Mylisz się. Coś mnie tutaj przygnało, jakieś pragnienie odpłacenia ci... Ale to był błąd. Właśnie to zrozumiałam.

– Wtedy... – Maksymilian odłożył broń na stolik i usiadł na przykręconym do podłogi fotelu. – Wszystko wymknęło się spod kontroli. Działo się za dużo i za szybko. Zawsze miałem nadzieję, że to zrozumiesz.

– Taaa, jasne. Widzę, że dalej masz ten stary rewolwer. Działa?

– Pewnie działa – westchnął. – Dawno nie strzelałem... Lena?

Sięgnęła po śmiertcionośną zabawkę i podniosła ją, mierząc niedbale w ojca.

– Tak chcesz to zakończyć? – zapytał.

– Nie – spojrzała gdzieś ponad jego głową. – Ale muszę.

Kiedy huknął strzał, Maks odruchowo zasłonił głowę rękami, ale łomot upadającego za nim ciała sprawił, że zerwał się, chwytając latarkę leżącą obok jego stóp.

– Mały? Ale jak...?

– Odwykłeś od zabijania. Strzeliłeś mu w plecy, ale przeżył. Naprawiłam twój błąd.

– Popęniłem błędy, których nie da się naprawić – szepnął. – Co dalej?

– Tato, będę już spadać – westchnęła Lena. – Muszę wracać do domu, a później... Kto wie? Całe życie przede mną.

– Do jakiego domu?

– Ja, w przeciwieństwie do ciebie, mam jakiś dom.

Wetknęła rewolwer Maksymiliana za pasek spodni, chwyciła latarkę, przeskoczyła wstrząsane ostatnimi drgawkami ciało Małego i nie oglądając się na ojca, pobiegła w stronę jaśniejszego kwadratu drzwi, odcinającego się od ciemności panujących w hali.

Maksymilian został sam. Długo wpatrywał się w cienie rzucane przez lampę. Ściany autobusu zdawały się żyć, dawać mu tajemne znaki. Światło latarki przygasło, kiedy pierwsze promienie słońca wpadły przez matowe świetliki w dachu hali. Wielki Skurwiel dopiero teraz dostrzegł leżący u swoich stóp sznur zakończony pętlą. Podniósł go, zadarł głowę jakby szukając odpowiedniego miejsca do jego zawieszenia i wstał.

– Mimo wszystko, chyba powinienem cię przeprosić, córeczko – powiedział do szarzejących cieni.

Nie odpowiedziały mu. W milczeniu przywiązał powróż do wspornika obok stopni, prowadzących na drugie piętro autobusu, wdrapał się na metalową konstrukcję, zacisnął pętlę na szyi. Pomyślał jeszcze, że powinien się pomodlić. Nogi same ześlizgnęły się z perforowanej blachy i choć próbował się czegoś złapać, przeklinając swoją bezsensowną próbę zakończenia wszystkiego tu i teraz, nie zdołał wbić palców w nic poza nieruchomym powietrzem. Nie zdążył przeprosić córki, naprawić wyrządzonych krzywd, zadośćuczynić zdradzonym ludziom. Zdążył jedynie zakląć.

Epilog

Dziaduszka wyłączył radiostację i zamyślił się. Bezwiednie sięgnął do kieszeni po paczkę ze skrętami, włożył jednego do ust, jednak go nie podpalił. W domu nie palił. Spojrzał na potencjometry, martwe wskaźniki i milczący głośnik. Jego pobrużdżone zmarszczkami czoło przecięła kolejna bruzda, tym razem wyraźniejsza, grubsza od pozostałych. Wsłuchał się przez chwilę w deszcz bębniący o dach budynku. Zacisnął usta, zgniatając przy tym papierosa, odłożył gruszkę mikrofonu i wstał. Już miał opuścić swoją samotnię, gdy usłyszał dwa krótkie gwizdnięcia, dobiegające z poziomu dziedzińca. Znał ten sygnał. Podeszedł do małego okienka i z zainteresowaniem zaczął się przyglądać manewrom Szczurka, dającego znaki Kusej. Dziewczyna zajęła miejsce na szczycie murku koło bramy, mocniej chwyciła karabinek i zaczęła mierzyć w skryty za zasłoną lasu trakt. Szczurek przyczał się koło furty, mając oko na podjazd. Staruszek ze zdziwieniem zlustrował pleniącą się dziko zieloną ścianę zarośli, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Uchylił okienko i dopiero teraz usłyszał warkot zbliżającego się pojazdu. Sięgnął po swój SWD i oparł kolbę na ramieniu. Przyłożył oko do lunety i czekał. Dźwięk narastał, by w końcu zmaterializować się w postaci klekoczącego dostawczaka z żółtą plandeką. Pojazd przebrnął przez otwartą przestrzeń dzielącą ostatnie drzewa od bramy. Kilka razy rzuciło nim na rozmytej deszczem ścieżce i ostatecznie, wchodząc w poślizg, zahamował ostro tuż przed wjazdem do leśnego schronienia. Silnik pracował nierówno

na wolnych obrotach, kichając i prychnając co chwila. Dziaduszka naprowadził celownik na postać siedzącą za kierownicą i nagle wyprostował się, a papieros wypadł mu z ust.

– A niech mnie – mruknął, odkładając karabin.

Podniósł klapę w podłodze i, stękając, zszedł po metalowych stopniach. W drzwiach prowadzących do mieszkania zobaczył swoją żonę.

– Podasz mi narzutkę? Strasznie leje.

– Znów goście? – zapytała.

Ironia w jej głosie nie była w stanie zatuszować niepokoju.

– Bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Raczej dobra znajoma.

– Ten znów swoje – westchnęła, podając mu pelerynę. – Kiedy to wszystko się skończy?

– Eee tam! – Machnął ręką, założył płaszcz i pomaszerował dalej.

Trzy piętra niżej zatrzymał się, by złapać oddech, podciągnął spodnie i pchnął wzmocnione drzwi wejściowe, które zdążył już naprawić. Wyszedł na skąpany deszczem dziedziniec, gestem odwołując Szczurka. Chłopak z głupią miną schował jeden ze swoich granatów, ale Kusa nadal tkwiła na swoim posterunku, cały czas mierząc do auta. Dziaduszka westchnął i podreptał przez rosnące z każdą chwilą kałuże. Odepchnął Szczurka cały czas wyglądającego przez furtkę. Odryglował bramę i z niedowierzaniem spojrzał na kobietę siedzącą za kierownicą dostawczaka. Machnął ręką zapraszająco i, bijąc się z myślami, obserwował, jak pojazd z trudem rusza na błotnistym podjeździe. Silnik słabo wchodził w obroty, kichał przy tym i prychnął, mozolnie pchając tę kupę złomu do przodu. W końcu udało się mu przebrnąć przez dziedziniec. Klekot ustał, skrzypnęły drzwi i drobna blondynka wysiadła z samochodu. Deszcz natychmiast przemoczył ją do suchej nitki.

– Co tak będziemy mokli – powiedział drżącym głosem Dziaduszka. – Wejdźmy pod dach.

– Dzięki za zaproszenie. – Lena próbowała się uśmiechnąć, lecz jej nie wyszło. – Ale nie lubię, jak ktoś do mnie mierzy. Zwłaszcza bez powodu.

Znacząco spojrzała na Kusę, przez cały czas trzymającą broń w pogotowiu.

– Wszystko w porządku – Staruszek uspokoił dzikuskę. – Alarm

odwołany.

– Bo ja wiem? – skrzywiła się Kusa, zeskakując z muru.

– Wystarczy, że ja wiem – oznajmił staruszek. – Możesz iść się ogrzać, wysuszyć ubranie. Szczurek będzie miał oko na wszystko. Prawda?

– Ekhem – chrząknął zagadnięty, przez cały czas wlepiając oczy w Lenę.

Najwyraźniej wciąż nie dowierzał, że wróciła o własnych siłach.

– Bo ja wiem? – powtórzyła Kusa.

– Zrób sobie wolne. I to nie jest prośba. A my chodźmy...

– Może byście się pospieszyli – przerwał mu głos Babuszki, stojącej w drzwiach wejściowych. Kobięcina wyciągnęła rękę i czekała, aż Lena podejdzie. Położyła dłoń na jej policzku i spojrzała tak, jak się patrzy na dawno niewidziane dziecko.

– Boże, aleś ty zmokła – powiedziała z troską. – Idziemy, zaparzę ziół. Woda powinna się już gotować. Wstawiłam, jak tylko cię zobaczyłam przez okno. Moje dziecko...

– Ja bym do tych ziół dolał setę czystej – mruknął Dziaduszką. – Wtedy lepiej grzeje.

– Może być i seta – zgodziła się Lena. – Chyba dobrze mi zrobi.

Drogę na trzecie piętro pokonali w milczeniu. Lena nie zatrzymała się w kuchni, ruszyła prosto do pokoiku, w którym przespała kilka lat swego życia. Niepewnie weszła do środka, usiadła w skrzypiącym fotelu i patrzyła przez chwilę na szachownicę, jakby zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Tyle że wszystkie pola były puste, a pionki leżały porzrucane na podłodze.

– Dobrze, że wróciłaś – Dziaduszką przycupnął na łóżku polowym.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Przecież to jest twój dom.

– Zdaję sobie sprawę, że był nim przez wiele lat. Ja... Wiele rzeczy pamiętam. Kojarzę ludzi i głosy. Wydaje mi się, że znam was od dawna. Ale jednocześnie czuję, że jestem kimś obcym.

– Obcym?

– Tamtej Leny już nie ma.

– Jakiej „tamtej”?

– No... – wzięła głęboki oddech, ale nic nie powiedziała.

– Nie ma żadnego „wtedy” i „dziś”. Nie ma „tej” Leny i „tamtej” Leny. Najważniejsze, że wróciłaś cała i zdrowa.

– O! Poważnie? – dziewczyna naprawdę była zaskoczona słowami staruszka.

– A jeśli rzeczywiście przeżyłaś jakąś przemianę... Mam taką nadzieję, że on też się przy tobie zmieni. Najwyższy czas, by zmądrzał.

– On?

– Przecież wiesz, o kim mówię.

– Kamyk – westchnęła. – Gdzie on jest?

– Bo ja wiem? – rozłożył ręce Dziaduszka. – Wybył jakiś czas temu.

– Szukał mnie?

– Nie tylko on. Wywołałaś niezłe zamieszanie.

– Wiem – opuściła głowę.

– Najważniejsze, że już jesteś. I nic ci się nie stało. W każdym razie nic poważnego – chrząknął, zerkając na siniaki i zadrapania pokrywające jej twarz.

– Umiem o sobie zadbać.

– Nie wątpię – staruszek pokiwał głową. – W tych czasach to niezwykle potrzebna zdolność.

– No właśnie... Gdzie jest ta dziewczyna? Ta, z karabinem. Szczurka pamiętam jeszcze z czasów Wojenki, jej nie.

– Kusa? – zamyślił się Dziaduszka. – Nie szła za nami, prawda?

– Nie. Jest jakaś dziwna.

– Dziwna? Nie wydaje mi się... Pasuje do tych czasów. Jest ich częścią. Skoro już wróciłaś, to chciałbym ci coś pokazać.

– Co? – zdziwiła się.

– To tajemnica. Chodźmy.

– Dokąd to się wybieracie? – Babuszka właśnie wniosła kubek z parującą zawartością.

– Tylko na chwileczkę – uspokajał staruszek. – Zaraz wrócimy.

– Cały on – westchnęła, przepuszczając go w drzwiach. – A ty masz to wypić. Natychmiast, zanim się rozchorujesz.

Lena, chcąc nie chcąc, przełknęła kilka łyków gorącego naparu, parząc przy tym język. Spojrzała pytająco na babcię, która zabrała jej kubek i spojrzała w sufit.

– Idź już – powiedziała z udawaną dezaprobatą.

Dziewczyna wdrapała się po metalowych stopniach na stryszek w ślad za staruszką i pytająco spojrzała na Dziaduszkę, siadającego przy swojej radiostacji.

– Wiesz, co to jest? I do czego służy?

– Jasne. Do nadawania – odpowiedziała wzruszając ramionami. – I odbierania. Widziałam już coś takiego.

– Otóż... – przekręcił jakiś przełącznik i martwe dotychczas wskaźniki ożyły. – Od kiedy uruchomiłem tę stertę złomu, nasłuchiwanie stało się moją obsesją. Spędzałem tutaj długie godziny, z nadzieją wpatrując się w te zegary i kontrolki. Z czasem przestałem wierzyć, że ktokolwiek, kiedykolwiek się odezwie. Ostatnio przychodziłem coraz rzadziej... Wiesz, moim marzeniem było znów usłyszeć hejnał. Taką melodię... Nieważne. Nasze życie trochę się pogmatwało i straciłem zapał do tej zabawy. Ale pewnego dnia, a było to zaraz po wyjeździe Kamyka, usiadłem tutaj bez celu i bawiłem się pokrętłami. Zmieniałem częstotliwości, z szumu próbowałem wydobyć jakieś słowa. Zrozumieć przesłanie ukryte wśród trzasków i zakłóceń.

– Ktoś się kiedykolwiek odezwał?

– Nie. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o Kusą – wyjaśnił Dziaduszka. – Wyśledziłem ją. Raz czy dwa zakradła się tutaj w nocy. Najpierw myślałem, że dla kogoś szpieguje. Że umie się posługiwać radiem i tylko udaje taką... No wiesz. Później doszedłem do wniosku, że kierowała nią głupia ciekawość. Taka już jest. Dzika, nieufna i jednocześnie ciekawa wszystkiego, co dla niej nowe.

– Skąd ona się tutaj w ogóle wzięła?

– Z Białego Miasta. Przyciągnął ją Kamyk, czy też właściwie odwrotnie.

– No dobrze. Jaki z tego morał?

– Widzisz, ona potrafiła włączyć radiostację i ją wyłączyć. To żadna sztuka. Sztuką jest powiedzieć coś do mikrofonu, mając świadomość, że wypowiada się słowa, których nikt nie słyszy. I zdałem sobie sprawę, że ja również nigdy nie nadałem żadnej wiadomości. Ja tylko czekałem na nasłuchu. Co, jeśli dziesiątki podobnych nam ludzi też tylko czeka na nasłuchu?

– Dlaczego w takim razie nikt nie nadaje?

– Może ze strachu, że ktoś im odpowie. Że coś w ich życiu się zmieni.

– Mam pomysł. Włączmy to.

– Radiostację?

– Tak. Można to ustawić tak, żeby samo wyszukiwało sygnał?

– Aha – przytaknął i wcisnął przycisk zasilania. – Przeskanujemy

częstotliwości.

Oboje zbliżyli się do głośnika i czekali. Po godzinie wsłuchiwania się w szumy i trzaski postanowili dać za wygraną. I właśnie wtedy wskazówki drgnęły.

– Dzień dobry, Polsko – rozległo się w głośniku. – Jest tam ktoś? Słyszysz mnie ktoś? Elo...

Lena spojrzała na staruszkę i zdała sobie sprawę, że on również gapi się na nią z głupią miną.

– Może... – sięgnął po gruszkę mikrofonu, ale ona była szybsza.

– Słyszysz mnie – rzuciła. – Skąd nadajesz?

– Tu Czerwony Bór. Słuchać mnie?

– Słuchać, słuchać.

– Chwila... – Staruszek pomajstrował przy radiu, wyciszając szumy. – Ten głos jest jakby...

– Jak się nazywasz? – Ponownie podniosła do ust mikrofon.

– A ty?

– No co za typ – westchnęła. – Lena. Powtarzam, Lena.

– Lena... Co? Skąd nadajesz?

– Stąd.

– No, kurwa...

Dziaduszka w końcu włączył odpowiedni filtr i z głośnika popłynął nieco zniekształcony przez fale eteru głos Kamyka.

– Powtarzam, skąd nadajesz?

– To ja, ojciec. – Staruszek zabrał gruszkę Lenie. – Gdzie ty u licha jesteś? I kiedy wrócisz? Czekamy... Lena też tutaj jest... Aha, to już wiesz...

– O kurwa. Chwilowo mam małe kłopoty...

– Że też mnie to nie dziwi. – Skrzywiła się dziewczyna.

– Sam chyba się stąd nie wydostanę. W dodatku ktoś właśnie próbuje wywołać kolejną wojnę światową.

– Musisz nam wszystko opowiedzieć. Co tam się dzieje?

– Obawiam się, że nie zdążę...

– Ruszamy natychmiast. – Lena nachyliła się do mikrofonu. – Ale to trochę potrwa. Dysponuję raczej powolnym autem. Trzeba wszystko zorganizować... – Spojrzała na staruszkę i zapytała: – Mamy jakąś przenośną krótkofalówkę?

– Oczywiście – rozpromienił się Dziaduszka.

- Trzeba utrzymać kontakt. Nie wyłączaj swojej radiostacji.
- Nie wiem jak długo to potrwa...
- Musisz dokładnie wytłumaczyć gdzie jesteś.
- Dobra, ale...
- A jak tam już przyjadę, jak cię dorwę...
- To co? - Metaliczny śmiech rozbrzmiał w głośniku.
- Zobaczysz. Mam też złą wiadomość.
- Jaką?
- Białe Miasto przestało istnieć. Wygnańcy się zbuntowali i zrobili zadymę. Chyba wrócą czasy squatów.
- Hej, to jest jedyna dobra wiadomość, jaką słyszałem od wielu dni.
- Nie chciałbyś... Nie myślałeś, żeby teraz...
- Wrócić tam i zrobić porządek?
- Aha.
- Nie. Widocznie tak już miało być. Lena?
- Tak?
- Jedź szybko. Musisz zdążyć zanim...
- Zdążę.

Koniec

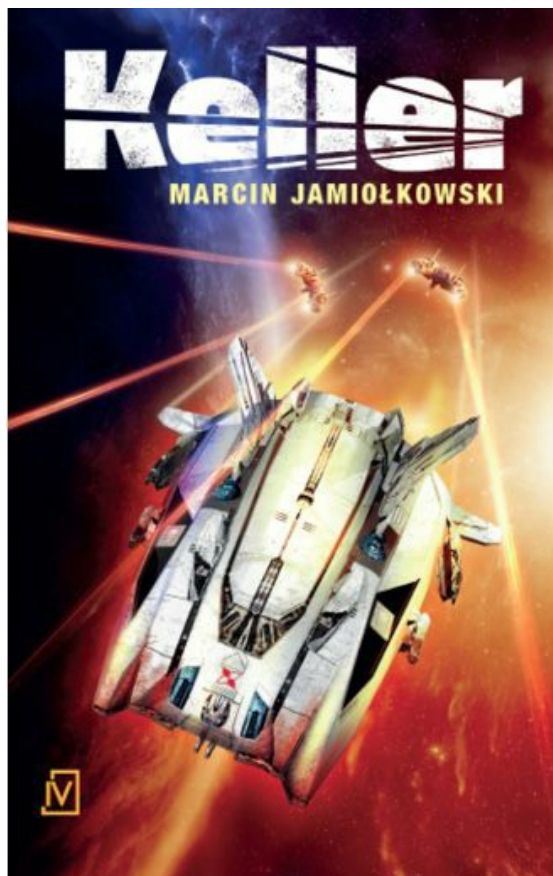
Tak zaczęła się apokalipsa...
polecamy S.Q.U.A.T.



Świat po Rozbłysku przypomina niegościnną pustynię. Kraj jest niemal doszczętnie zniszczony wskutek promieniowania oraz szkodliwej ludzkiej natury. Przy wschodniej granicy utrudniony jest ruch przez Bufor. Białe Miasto zostaje odebrane tym, którzy je zbudowali. Widmo rewolucji wydaje się coraz bliższe. Czy Kamykowi, ostatniemu z Wolnych Ludzi, uda się zmierzyć z urzeczywistnionym koszmarem? Kim jest Lena i jak potoczą się jej losy? Zwycięsko z walki o przetrwanie wyjdą ci, którzy wykażą się siłą, sprytem i... są najlepiej uzbrojeni.

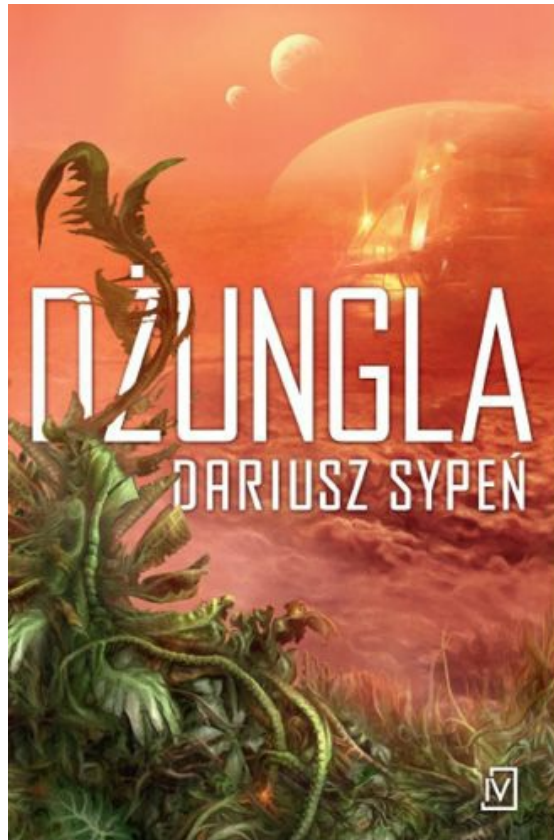
Postapokaliptyczne uniwersum Konrada Kuśmiraka zaskakuje świeżością wizji, wciąga wartką akcją i niespodziewanymi jej zwrotami, a niejednokrotnie też przyprawia o dreszcze... To droga, z którą musisz się zmierzyć!

CZWARTA STRONA FANTASTYKI



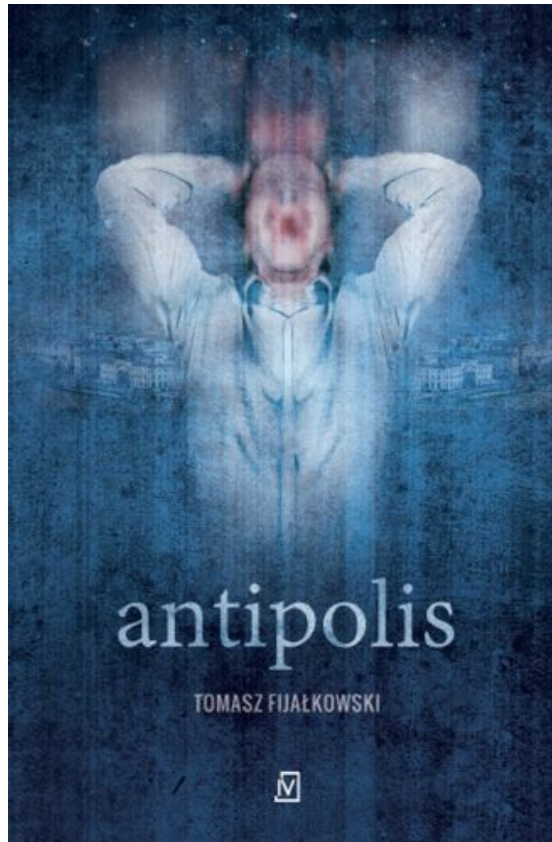
Jeżeli jesteś fanem „Gwiezdných wojen” i „Stalowego szczura”, to jest najbardziej awanturnicza powieść science fiction w naszej galaktyce!

Poznaj Iana Kellera, kosmicznego zabijakę i przemytnika, wykonującego szaloną i pełną niebezpieczeństw misję.



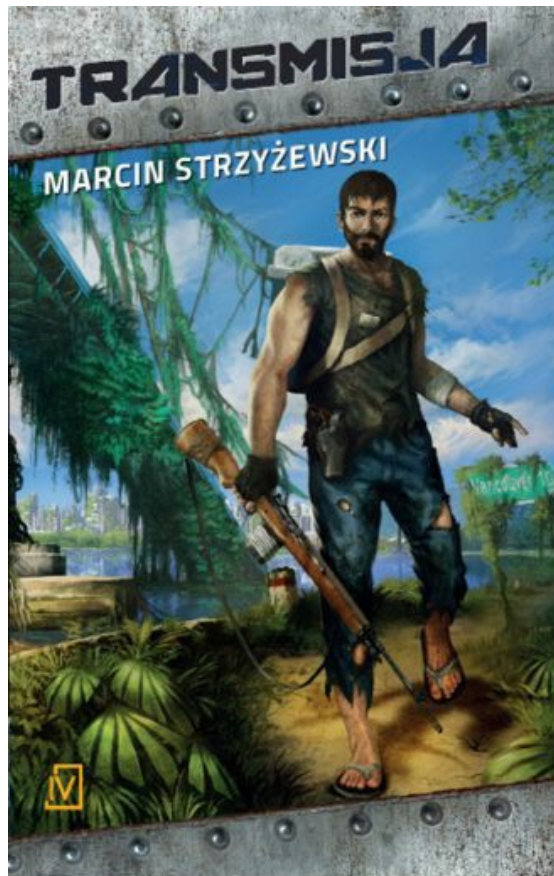
Science fiction w klimacie cyberpunk, hołdujące klasykom, a zarazem wpuszczające powiew świeżego powietrza w polską fantastykę.

Ludzkość zadomowiła się na Marsie, ale wiedzie życie jałowe i puste. Czy w obliczu zagrożenia cywilizacja cofnie się przed napierającym tworem?



„Antipolis” tylko z pozoru jest typową powieścią fantasy. To jedno z najciekawszych dzieł ostatnich lat w swoim gatunku, łamiące wszelkie konwencje i igrające z czytelnikiem!

Alternatywna wizja Polski po 1936 roku, będącej światową potęgą...



Niesamowite reality show prosto ze zniszczonej nuklearnie Ameryki!

Niebezpieczeństwo, zwroty akcji, tajemnica skrywana przez ludzi u władzy oraz misja niemal niemożliwa, w trakcie której można zatracić swoje człowieczeństwo...